



ELIZA KORPALSKA

REGUŁA LUKRECJI

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

ELIZA KORPALSKA

REGUŁA LUKRECJI



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Eliza Korpalska, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Redakcja: Jolanta Zientek-Varga

Korekta: zespół

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Ekaterina Yudina | Depositphotos.com,

© Juan Aunion | Depositphotos.com

978-83-66613-00-3



Oficynka

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Karolinie

Wszystkie postacie i wydarzenia przedstawione w niniejszej książce są wytworem wyobraźni autorki. Wszelka zbieżność z rzeczywistymi sytuacjami jest przypadkowa.

Spis treści

[Rozdział 1 KURZ PO BITWIE](#)

[Rozdział 2 SZUKANIE WYTRYCHÓW](#)

[Rozdział 3 CIOSY NA OŚLEP](#)

[Rozdział 4 ODWRÓCONE SOJUSZE](#)

[Rozdział 5 UROKI](#)

[Rozdział 6 CORAZ BLIŻEJ](#)

[Rozdział 7 FRANCUSKA OBOJĘTNOŚĆ](#)

[Rozdział 8 NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ](#)

[Rozdział 9 SAMOTNOŚĆ](#)

[Rozdział 10 KORYTARZ DO RAJU](#)

Rozdział 1

KURZ PO BITWIE

Gładziła ręką chłodny blat potężnego biurka. Było dla niej za duże. Niknęła za nim. Jej głowa ledwie wystawała ponad stos chaotycznie ułożonych dokumentów.

Kuriozalne! - pomyślała. A więc tu jestem. Zabębniła w lite drewno paznokciami z przezroczystym manicure. Lekko bolała ją głowa. Ćmiła nieprzerwanie od dawna, nie pomagały żadne tabletki. Cholerne zmęczenie. Zaraz ustąpi. Od kilku tygodni wprowadzała tu prawdziwą rewolucję, nie dała sobie chwili odpoczynku po ostatnich tragicznych przeżyciach. Nie teraz, to mogłoby jej przynieść zgubę. Musi wszystko uporządkować, ułożyć po swojemu, zanim zszokowani i rozbici przeciwnicy otrząsną się, ponownie zbiorą siły i skoczą jej do gardła. Nie zamierza dawać im przewagi czasowej. Element zaskoczenia okazał się w tym przypadku efektywny ponad wszelkie oczekiwania, ale wiadomo, że jego piorunujące działanie trwa krótko. Jej wrogowie... Trzeba zidentyfikować wszystkich w masie fałszywie uśmiechniętych twarzy, wybrać z tłumu, jak pisklaki z gniazda, zawczasu przewidzieć i udaremnić ich poczynania. Na przyszłość należałoby również znaleźć choć kilku wątpliwych przyjaciół. Anna Litewski, świeżo mianowana na stopień generała i powołana na stanowisko szefowej Specjalnej Agencji Wywiadowczej, dawny pseudonim operacyjny Lukrecja, postanowiła, że od tego zacznie działania w nowej roli.

W szpitalu miejskim wszystkie dni ciągną się jednakowo. Długie godziny, dni i noce zlewające się w lepką, szarawą maź. Cierpienie przytłumione lekami, lecz nigdy niezwalczone do końca, umysł w bolesnej malignie przerywanej przebłyskami świadomości.

Docierają szmery, urywki zdań.

- Co to za facet?

- Już mu się poprawia.

- Odzyskał przytomność? Nie, jeszcze nie. Wczoraj na moment, ale znów stracił.

- Jak się pan nazywa? Proszę pana, czy pan pamięta, jak się nazywa? Może pan mówić? Jak pan ma na imię, halo!

Tysięczna kroplówka sączy się przez plastikowy wężyk. Każda z milionów kropelek zaczynała od jego wlotu, nabrzmiwała powoli, nieuchronnie, wreszcie wpadała do żyły przez metalową igłę, co kilka dni wkłuwaną w inne miejsce na ciele. Najpierw w obrębie jednego ramienia, później drugiego. Następnie w nogi. Na końcu w głowę, jak u niemowlęcia. I tak przez minuty, godziny, miesiące.

Paul Horn, kapitan Specjalnej Agencji Wywiadowczej, leżąc w pampersie, gapiąc się w sufit i starając opanować piekący ból odleżyn, miał wiele czasu na myślenie.

- To cud, że jest pan znów z nami - szczebiotą sympatyczna, pyzata pielęgniarka.

Starął się do niej uśmiechnąć.

- Będę musiał od nowa nauczyć się chodzić - zaczął.

- O tym zdecyduje lekarz. Ale niech się pan nie martwi, do wszystkiego pan dojdzie pomalutku. Teraz nie ma pan siły. Już chcieli pana odwieźć do hospicjum. Długo pan zajmuje u nas miejsce, inni chorzy czekają, ale ordynator się uparł. - Z wyraźnym wysiłkiem próbowała obrócić go na bok. Paul chciał jej pomóc, ale nie dał rady. Wychudł straszliwie, a mimo to bezwładne ciało zdawało się ważyć ponad tonę. - Spokojnie, spokojnie - zapewniała poczerwieniała na twarzy dziewczyna - mam wprawę. - I tak szczęściarz z pana! Ledwie pana odratowaliśmy. Jacyś ludzie znaleźli pana leżącego przy drodze, całkiem wyczerpanego, z rozwaloną głową, z maltretowanego, przestraszyli się. Nawet myśleli, że z pana trup, później ich policja ciągle pytała o pana, ale oni nic nie wiedzieli. Dokumentów żadnych pan przy sobie nie miał, telefonu nie znaleźli, musiał ktoś pana okraść. Teraz to człowieka napadną i za parę groszy, tak jak tego spod piątki. Zęby mu wybili, dwa żebra złamali i za co? Za paczkę papierosów, nie uwierzy pan! A pan coś pamięta? - spytała badawczo.

Horn pokręcił lekko głową i przymknął oczy. Chciał przerwać ten potok słów, ból w skroniach rósł nieubłagane.

- I tak jest lepiej. Jest już o wiele lepiej - powtarzał sobie

w kółko.

- Droga Erdo! - generał Peter Twigg z nabożeństwem ucałował dłoń dawnej asystentki. Wyglądał na szczerze ucieszonego z jej odwiedzin. Przez trzydzieści lat służby kobieta nigdy nie przekroczyła progu jego rezydencji. Nawet wówczas, kiedy trzeba było dostarczyć uprane koszule lub zakupy. W żadnej z sytuacji. Ani wtedy, gdy z niesmakiem otwierała drzwi kolejnej młodej dziewczynie ubranej w służbowy uniform składający się z obcisłej spódniczki, wciętego w talii żakietu i niebotycznie wysokich szpilek, ani nawet wówczas, gdy Security poinformowało ją kiedyś, że z okien willi generała wydobywa się dym. To był zresztą tylko spalony toster, przegrzany do czerwoności z powodu uszkodzonego kabla. Nie był to wystarczający powód, by wejść do środka, choć jako jedyna miała zapasowy klucz. Dziś zapukała zdecydowanie do drzwi, nawet walnęła w nie kilka razy pięścią, choć wiedziała, że nie wypada i szef pomyśli, że to do niej niepodobne.

- Przyjaciółko! - objął ją lekko w pasie i delikatnie wprowadził do środka. Usadowił troskliwie w fotelu, jak cenny skarb. Ileż by za to dała przez dziesiątki lat. Dziś jej to nie wzruszyło. Wszystko się przedawnia. Patrzyła na niego, zaspokajając kilkumiesięczną tęsknotę. Schudł i przygarbił się. Posiwał jeszcze bardziej. Zmarniał jakoś. Nie powie mu tego.

- Czego się napijesz? Whisky, wino, gin? Może kropla koniaku?

- Twigg uświadomił sobie, że nie wie, jaki alkohol ona lubi. W gruncie rzeczy nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział kierowniczkę swojej kancelarii pijącą. Może czasem symbolicznie dotykającą ustami kieliszków szampana na niezliczonych imprezach, za których organizację była odpowiedzialna. Tak, Erda trzymała się zawsze trzeźwo, w każdym znaczeniu tego słowa.

- Podwójną whisky z lodem, poproszę - zażyczyła sobie niespodziewanie. Twigg napełnił dwie szklaneczki. Erda już posyłała mu karcące spojrzenie, ale szybko spuściła głowę.

- A więc sprawa jest poważna - zauważył generał. Nie zaprzeczyła.

- Jak pan się czuje? Słyszałam plotki o udarze - zaniepokojony wzrok kobiety znów powędrował w kierunku jego szklanki. Wypatrywała pozostałości po opuszczonym kąciku ust, mniejszej ruchomości policzka, niezdarność palców. Starła się to robić dyskretnie, ale wiedziała, że zauważył.

- Przesadzone, jak widać - posłał jej dziarski uśmiech. - Jest dobrze. To chyba ja powinienem się zmartwić. Nigdy nie piłaś.

- Teraz też nie nadużywam alkoholu. Bez względu na okoliczności.

- W to nie wątpię - odrzekł z przekonaniem. Nie pytał, po co przyszła. Dawno nie było tu nikogo życzliwego.

- To koniec - wyznała Erda. Skubała nerwowo nitkę wystającą ze szwu szarej spódnicy. Nerwica natręctw. Jeszcze niedawno jej nie miała. Garderobę zawsze dobierała nienagannie schludną. Było nie do pomyślenia, by nosiła ślady choć minimalnego obszarpania. Co za przykra zmiana!

- Koniec z nami - powtórzyła. Wpatrywała się w niego intensywnie, jakby chciała zbadać, przez co naprawdę przeszedł, brutalnie odsunięty, strącony ze stanowiska za pomocą przewrotnej intrygi. Co czuł, ściskając dłoń swojej oprawczyni Anny Litewski, gratulując jej awansu i życząc powodzenia? Chory i samotny, na bocznym torze. Zawsze z klasą, nieodmiennie szykowny, silny, doświadczony, stary wyga, imponujący i bez wątpienia nadal przyczajony jak niedźwiedź w mateczniku.

- Cierpliwości, moja droga - ujął ją za rękę. - Nic tak nagle się nie kończy. Czy wytrzymasz jakiś czas? Zawsze będę cię chronił, ze wszystkich sił - obiecał, a ona chciała wierzyć.

- Czy potrzebujesz pieniędzy? Wstał nieco zbyt szybko i uchylił drzwiczki pancерnej szafki stojącej pod biurkiem. Nie były zamknięte, z niczym się nie krył. Wyciągnął sporo grubych paczek banknotów przewiązanych banderolami. - To na razie, Erdo. Ona cię usunie, z mojego powodu. Jestem ci to winien, małe zabezpieczenie, dopóki tam nie wrócimy.

- Mam pieniądze, dobrze u ciebie zarabiałam. Głos sekretarki złamał urywany szloch. - To niepotrzebne, niczego nie wezmę, Peterze - po raz pierwszy w życiu zwróciła się do niego po imieniu.

Rzucił pieniądze, podszedł do niej i objął mocno. Nienazwana ostateczność zapadła między nimi, porozumienie zranionych do żywego ciała, upokorzonych do dna jestestwa wyniosłych dusz.

- Jestem przy tobie, Erdo, dopóki żyję - powiedział poważnie, patrząc na kobietę, którą przez ostatnich trzydzieści lat traktował jak kawałek drewna. Sztywnego, użytecznego, milczącego dyskretnie. Trzeba było spaść na dno, by ją dostrzec. - Największą karą jest kompromitacja, Erdo. Publiczna infamia - tłumaczył. -

Uwierz mi, ona nie porządzi długo. Zgadnij, kto o to zadbał? Pamiętasz Phila Sandersa?

Na dźwięk wypowiedzianych imienia i nazwiska wzdrygnęła się. Oczywiście. Jak mogłaby zapomnieć zastępcę generała, którego ten

na wiele lat wsadził do więzienia; plotkowali, że to prywatna zemsta. Szeptali też, że pułkownik Sanders był kochankiem Anny Litewski. I że zgromadził tajne archiwum, nim zginął od strzału podczas rozróby, do jakiej doszło na ślubie obecnej szefowej SAW. Ślub ostatecznie się nie odbył z korzyścią dla instytucji rodziny. Tak uważała Erda. W sprawie porachunków z Lukrecją też miała inne zdanie. Hańba to za mało. Nawiasem mówiąc, znieśliwić można osobę honorową, a za taką obecnej przełożonej nie uważała.

- Ich miłość nie była prawdziwa - kontynuował Twigg.

- To źli ludzie. Tacy nie umieją kochać. Warci siebie nawzajem - przytaknęła pogardliwie.

- Sanders nie ufał Lukrecji. Co można o nim powiedzieć, to można, ale na pewno nie był durniem. W każdym razie do czasu - przez twarz generała przebiegł cień. - Ona teraz najbardziej boi się tego, co po sobie zostawił. Materiały na słodką kochankę. Wykopię je spod ziemi.

Asystentka potrząsnęła głową.

- To niebezpieczne - powiedziała. - Odpocznij, nie szukaj. Sprawiedliwość jest na świecie.

Generał spojrział na nią kpiąco. Nie zraziła się. Ujęła jego dłoń, odwróciła wnętrzem do góry i ucałowała powolnie, jednocześnie wtulając się w nią mokrym policzkiem.

- Hej! - zaśmiał się zmieszany. Był zbyt dobrym psychologiem, by nie domyślać się jej uczuć. Przezornie jednak nigdy nie chciał ich zauważyć. Erda nieprzerwanie prezentowała powściągliwość doskonałą.

- Nie całuje się faceta w rękę - nie wiedzieć czemu starał się nieco zmniejszyć znaczenie tej sceny. Erda była Erdą. Aż i tylko. -

Ja to powinienem zrobić - mruknął na wpół namiętnie, zblazowanym tonem wielkiego aktora. Rutynowo pochylił się i musnął ustami srebrny pierścionek na jej kciuku, największą ekstrawagancję, na jaką kiedykolwiek się zdobyła.

- Wiem - odpowiedziała.

- Ile czasu tu jestem? - Horn starał się poukładać w głowie wszystko od nowa.

- Dziewięć miesięcy. Wynudził się pan, co? - Pielęgniarka poprawiała poduszkę i, na chwilę popadając w głębokie skupienie, odczytywała dawkę substancji czynnej na nowo zakładanej na stojak ampulce, po czym znów zagadywała go chaotycznie.

Paul siedział w łóżku, podparty na regulowanym wezgłowie.

Było mu niewygodnie, wszystko go uwierało, twardo napierało, gniozło umęczone ciało, choć pościel i materac podłożyli miękkie i delikatne. Miał uczucie, że złośliwa sprężyna przebiła się przez poszycie i boleśnie wwierciła pod żebro. W rzeczywistości dała znać o sobie jedna z wielu ranek, niepozornych, ale głębokich, dokuczliwych, jak sto diabłów. Mimo oklepywania, masowania i nacierania specjalnymi maściami, nie chciały się goić.

Dziewięć miesięcy. Szmąt czasu. Przez ostatnie tygodnie poczynił ogromne postępy. Wstawał i chodził po kilka kroków, opierając się na wypożyczonym z oddziału geriatrycznego chodziku zwanym balkonikiem. Był dla niego za niski. Z tego powodu ćwiczenie kroków sprawiało trudność. Z ulgą, wstrętem i poczuciem wstydu pozbył się pieluchy. Całymi dniami, leżąc w łóżku, napinał i rozluźniał poszczególne partie mięśni, zastanawiając się, gdzie jeszcze mogą się znajdować. Wyszukiwał na nosie, pod łopatkami, po bokach kolan. Na początku wcale ich nie czuł. Obawiał się, że jest sparaliżowany. Ale nie. Strumień świadomości, uparcie do nich kierowany, pobudzał zmartwiałe połączenia nerwowe. Powoli wracała władza w rękach, nogach, tułowiu. Stopniowo docierała do najsłabszych obszarów, które wydawały się najdłużej wyłączone. Parametry życiowe wracały do normy, malała amplituda wahań.

- Chce pan poczytać? - siostra podsunęła mu gazetę, strzepując jednocześnie cienką kołdrę.

- Chętnie - to też ćwiczenie. - Na początku miał problem ze złożeniem liter, co nie martwiło go wcale. Dopiero później, w miarę lawinowego napływu świadomości, uzmysłowił sobie z przerażeniem, że nie potrafi czytać, nie rozumie słów. Ale i to wróciło, na szczęście i to.

Leniwie przerzucając strony, natrafił na krótką wzmiankę. Małą relację z briefingu niedawno mianowanej pani generał na temat spadającej przestępczości i wzrostu skuteczności działań prewencyjnych. Na czarno-białym zdjęciu widoczna była kobieta z włosami upiętymi w sztywny kok, w niemodnych okularach i niezbyt zgrabnie uszytej garsonce.

- Suka dodaje sobie z dziesięć lat - warknął chrapliwym głosem. Przestraszona pielęgniarka spojrzała na niego zaskoczona. -

Wygląda jak stara baba. - Dłoń dziewczyny zadrżała. Herbata, którą miała zamiar mu podsunąć, chlapnęła na biały fartuch. - Ciekawe, w co teraz gra? - Paul urwał, gazeta wysunęła mu się z dłoni. Monitor nad łóżkiem zapiszczał gwałtownie. W korytarzu rozległy się szybkie kroki.

- Coś się stało doktorze, nagle znów stracił przytomność!

Mężczyzna w jasnym kitlu pochylił się nad pacjentem

z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Co jest? - mruknął. - Przecież było już dobrze.

Kapitan budował formę. Po niespodziewanej zapaści postanowił jedno: ta była ostatnia. Zrozumiał, że oprócz pracy nad kondycją fizyczną musi też zająć się psychiką. Nie wykluczał, że z powodu urazu głowy i długotrwałej niesprawności i ona jest w kiepskim stanie. Nie mógł być pewien, czy do końca zdaje sobie z tego sprawę. Słabości fizycznej towarzyszy zazwyczaj niemoc duchowa. To fakt opisany szeroko w podręcznikach medycznych. Nie pozwoli, aby na widok Lukrecji ciało i umysł odmawiały mu posłuszeństwa. Zawsze był silnym mężczyzną, asem wywiadu, ponadprzeciętnie wysportowanym, szybkim i bystrym. Nie stronił od ryzyka; bawiło go, podnosiło poziom adrenaliny, utrzymywało na wysokich obrotach. Kpił z niebezpieczeństw, szarżował, igrał z życiem. Paradoksalnie, gdy prawie je stracił, kiedy ciało Herkulesa stało się bezwładnym workiem w pampersie, a przenikliwy mózg z trudem odtwarzał synapsy odpowiedzialne za podstawowe funkcje i umiejętności, wtedy dopiero zaczął je cenić. To nic, że choroba, niedołęstwo, cierpienie. Zyskał inny napęd. Nienawiść do Anny Litewski. Kobiety, która zakpiła z jego uczuć i ambicji, wciągnęła w realizację planu mającego wynieść ją na szczyty władzy, a w końcu wydała na niego wyrok i przykuła do szpitalnego łóżka. Wbrew planom zresztą, bo chciała zatrzaskać nad nim wieko trumny. Wraz z przyływem sił rosły w nim wściekłość i determinacja. Zagryzał zęby, ćwiczył, sylabizował zdania, z pokorą poddawał się żmudnej rehabilitacji. W jednym celu. Po to żył, o czym pani generał nie wiedziała. Szczęśliwie dla niego, a bardzo pechowo dla siebie. Kiedy po raz pierwszy spróbował się samodzielnie ogolić, w lustrze, zamiast przystojnego trzydziestoparolatka, zobaczył starego dziada. I choć ten widok nim wstrząsnął, uśmiechnął się pod nosem na samą myśl:

- Nadchodzę, Lukrecjo!

Tymczasem w lokalnym świecie przestępczym wrzało. Jak wszystkie inne środowiska, a może nawet bardziej, nie znosi on próżni, więc po gwałtownej śmierci Tao Guna, legendarnego, złowieszczego *padrino*, zakotłowało się nie na żarty. Bossa bossów zastrzelono podczas niesławego, fikcyjnego ślubu Lukrecji ze skorumpowanym senatorem Albertem McKenzie. Impreza przetasowała karty

zarówno wśród bandytów, jak i stróżów prawa. Sfingowana ceremonia zdawała się majstersztykiem gry operacyjnej, podczas której kilka ważnych osobistości zamierzało upiec smakowite pieczenie na jednym ogniu i wzajemnie się ograć. Generał Twigg chciał wykończyć odwiecznego wroga Tao Guna, wyciągając za pośrednictwem Lukrecji od jej przyszłego małżonka, który siedział w kieszeni *padrino*, obciążające gangstera dowody. Tao zaśmiewał się z fortelu, który wywinął dawnemu koledze, i zaskoczenia, jakie odmaluje się na jego twarzy, gdy dowie się, że małżeństwo doszło do skutku za jego sprawą, więc nici z dalszych planów. Anna planowała, korzystając z okazji, wyciągnąć z więzienia pułkownika Philipa Sandersa, dawnego zastępcę generała i jej byłego kochanka, i, dzięki pomocy kapitana Paula Horna umożliwić mu ucieczkę. Rzekomo. W rzeczywistości chciała się go pozbyć. Stanowił dla niej potencjalne źródło zagrożenia - miał niewygodną wiedzę o jej przeszłości. Horn wierzył święcie, że uratuje niewinnego Sandersa i skompromituje uwikłanego w brudną działalność Twigga, a przy okazji zyska zaszczyty, włącznie ze stanowiskiem szefa Specjalnej Agencji Wywiadowczej i względami ukochanej kobiety. Tak się nie stało. Został wystrychnięty na dudka. Kilkaset nieświadomych niczego osób przyszło się zabawić, a kilkanaście postrzelać, w tym oboje państwo młodzi - Anna, realizując część tajnego planu, i senator McKenzie, w którego psychice poniżanego arystokraty coś pękło i zapragnął zemsty na dręczycielach. Trudno się było w tym połapać. Niektórzy do dziś obstają przy błędnych wersjach wydarzeń. Dawne czasy. Teraz wszyscy ich uczestnicy są już w innym miejscu. Niektórzy pod ziemią, inni na bocznym torze, a ona na szczycie.

I tak niedoszła oblubienica naraziła się mafiosom, którzy czerpali niemałe dochody z interesów robionych z Tao, podobnie jak wpływowym oficjelom, zyskującym to samo dzięki konszachtom z Twiggiem. Nie dbała o to. W całym galimatiasie tylko jej udało się osiągnąć cel. Przejęła władzę w SAW i pozbyła się najpotężniejszych przeciwników. Nie na długo. Pretendentów do objęcia schedy po *padrino* pojawiło się wielu. Kilku samozwańczych przywódców gangów przedwcześnie ogłosiło się jego następcami, bo zawiadywali jedynie częściami uszczuplonego imperium. W ciągu zaledwie trzech miesięcy doszło do kilkunastu morderstw dokonanych przez nieznaną sprawców, spalono kilka domów, wysadzono w powietrze siedem samochodów i jeden mały most, jak

się okazało, nieco za późno, bo akurat chwilę po tym, kiedy przejechał nim niejaki Docent, niegdyś bliski współpracownik Guna. Na polecenie Lukrecji służby interweniowały opieszale, chroniąc własne zasoby i koncentrując się raczej na wzmożonej obserwacji. Paradoksalnie traktowała ów zamęt jako względny spokój, przynajmniej do chwili, aż z chaosu wyłoni się jeden silny przywódca. Co do tego, że kiedyś to nastąpi, nie miała wątpliwości. Oby jak najpóźniej. Za nic nie chciałyby przegapić tego momentu. Stąd zarządzona wzmożona infiltracja środowiska.

- Niech się wyłuką między sobą - zakończyła jedną z odpraw, z milczącym, aprobującym i oczywiście nieoficjalnym zrozumieniem obecnych na niej oficerów wywiadu.

W grze o kanały przerzutowe narkotyków i broni, w coraz okrutniejszej aurze bezwzględności i przemocy, stare twarze mieszały się z nowymi. Razem z Tao zginęło kilku jego zaufanych przybocznych. Ich imion nikt zbyt często nie wspominał, ale pozostawili wyrwę, w którą, jak magma, wpływała brudna fala nowego zła. Podejrzliwość rosła. Spiski zawiązywały się i rozwiązywały, podobnie jak nieszczerze koalicje. Ludzie mający chęć do siebie strzelać, uśmiechali się, poklepywali po plecach, podawali wzajemnie dzieci do chrztu i pili wódkę. Następnego dnia porywali sobie żony, wymuszali ustępstwa, okradali, używając przemyślnych sposobów i zastawiali pułapki. Wśród nich nieźle radził sobie Libor Kovacz, niepozorny pionek, nikt, kto miałby choć odrobinę znaczenia. Przybłęda - mówili starzy wyjadacze, skąd on jest? Znikąd. Słowak chyba, a może Słoweniec, zresztą, kto ich rozróżni. Nikomu w szemranym towarzystwie nie przyszło do głowy, żeby bawić się w takie subtelności, bo i komu to potrzebne. I Libor rzeczywiście był nikim. Cynglem, prostym gościem. Dość młody, około czterdziestki, jednak już na tyle stary i doświadczony, że jakby miał się wybić, to by się wybił. Jednak gdyby okazał się na tyle głupi lub nieuważny, żeby dać się odstrzelić, też już by się to stało. Milczący, zacięty, ani znany, ani nieznany, ani lubiany, ani nielubiany, nie miał kumpli ani nieprzyjaciół, o ile można tak twierdzić w tym wrogim z natury świecie. Ktoś coś o nim słyszał, ktoś coś widział, ale czy wczoraj, czy dwa miesiące temu, nie pamięta. Słowak nie miał kasy ani koneksji, ale odznaczał się jednym przymiotem, cechą, która go wyróżniała z tłumu rzezimieszków: pragnął najbardziej. Gdyby miał szansę się kształcić, ze swoimi zdolnościami i inteligencją zaszedłby wysoko.

Los sprawił jednak, że wykorzystywał je w większości do niecznych celów. Nikt się na nim nie poznał, bo i nikt się nim nie interesował. Bezwzględny, kiedy musiał, okrutny, gdy było to konieczne. Zuchwały i nieprzenikniony. Pozornie z boku, nieepatujący niepotrzebną brawurą, jak czyniło to wielu innych. Nie ulegał pokusom, gdyż nie miał ich zbyt wielu. Nie stosował się do reguł, bo skąd miałby je znać? Przepis na sukces? Niekoniecznie, bo to nie zawsze wystarczy. Ot, skryty potencjał. Dobrze zakamuflowany pod maską pokory. Czy urodził się taki? Nie. Taki się stał. Musiał. Przez lata ucieczki, nędzy, strachu i poniżeń. Przetrwiał dzieciństwo i młodość, to najlepsza rekomendacja. Nie zaślepiała go nienawiść czy niechęć do kogokolwiek, tak powszechna wokół, w każdym razie nie na tyle, by decydować się na gwałtowne ruchy albo ulegać żądzy nieprzemyślanej zemsty. Miał charakter kłusownika, lubiącego zastawiać wnyki na otoczenie. Nie był tchórzem, ale nie wyrwał się z niepotrzebną odwagą. Nigdy nie występował wprost, z otwartą przyłbicą. Nauczyła go tego egzystencja w kanałach życia. Przez to był jeszcze groźniejszy. Nikogo nie kochał ani nawet nie lubił, nie miał rodziny i niczego, na czym by mu zależało lub co można by mu odebrać. Od dziecka biedny. Nieszanowany. Musiał się kryć. Jak to przybłąda. A takim czasem sprzyjają przypadki.

Kiedy przekroczyli nielegalnie zieloną granicę, Libor miał szesnaście lat. Kumplował się z chłopakiem o imieniu Vavriniec, który miał szczęście, bo jego matka żyła. Kovacz był sierotą, a może nie, w każdym razie nie znał biologicznej rodziny. Opuścił słowacki dom dziecka, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Po prostu uciekł z niego, gdy wyrósł na tyle, by udawać pełnoletniego. Przyłgął do nieciekawego towarzystwa, żył z drobnych włamań i rozbojów. Aż trafiła się szansa dalszej ucieczki, tym razem z kraju, w którym chętnie - nie bez jego winy - zamieniono by mu sierociniec na więzienie. Traf i zagmatwany splot okoliczności sprawiły, że przyłączył się do grupy planującej nielegalną emigrację. Nie miał forsy na opłacenie przewodnika, ale odpracował swój wkład, dokonując kilku drobnych przestępstw. To wystarczyło. Przebyli trudną i niebezpieczną drogę, aż dotarli do miejsca, które miało stać się dla nich domem.

Nie mieli niczego. Pieniądzy, znajomych, dachu nad głową, nie znali języka. Znów kradli. Dziewczyny się prostytuowały. Zamieszkali w wielkomiejskim, obskurnym i groźnym getcie. Aż matka kumpla wyrwała dla nich kawałek ziemi. Na skrawku niby

niczyjego terenu, który należał chyba do przedsiębiorstwa kolejowego, pomiędzy ułożonymi w dole torami a wznoszącym się nasypem, na którym poprowadzono drugą ich nitkę, wynalazła mały płaski placyk porośnięty trawą i chwastami. Wokół otaczały go szyny i aby się tam dostać, trzeba je było przekraczać. Pani Bednar twierdziła, że to świetnie, gdyż tak położonej działki nie trzeba ogradzać. Jakże się myliła! Na razie jednak pielęła i przekopywała grunt metr po metrze, wyciągała odporne korzenie perzu, walczyła z ostami i pokrzywami. Ze śmietnika przytaszczyła połamane krzesło, na którym odpoczywała. Później stolik na trzech nogach, w sam raz na kubek i butelkę z wodą. Syn pomagał jej kopać, Libor też się przyłączył, trochę z nudów, a trochę z powodu obietnicy, że wkrótce pani Bednar poczęstuje go pomidorami z własnych upraw, co wydawało się kompletną abstrakcją. Po dwóch tygodniach wyłoniło się długie, prostokątne, starannie wygrabione poletko, na którym mama Vavrinca uformowała grządki i obsiała je nasionkami, które jakimś cudem zdobyła na podmiejskim targowisku. Przypuszczalnie ukradła, ale po co o tym wspominać. Rzadko je podlewali, z trudem targali wodę przez tory - codziennie po dwa wiadra każde z nich. Nie było to dużo. Pozostawało zdać się na naturę i czekać, aż roślinki wzejdą. Mama Vavrinca dbała o nie, a chłopcy przynieśli kolejne krzesło i kawał płyty wykonanej z pleksi. Na czterech palikach zamontowali daszek i ukrywali pod nim swoje skarby. Gratów przybywało. Dzbanek, opona, szafka kuchenna, stare radio, przy którym Vavriniec majsterkował. Poletko zazieleniło się, kobieta z dumą i niemal czułością pielęgnowała wchodzące delikatne pędy. Mieli własną działkę rekreacyjną. Próbowali grać na niej w piłkę, ale matka zabraniała, żeby nie stratowali upraw i nie wpadli pod lokomotywę, zatracając się w ferworze meczu. Pracowali wspólnie i odpoczywali, leżąc wyciągnięci pod daszkiem na prawie nowym, przyciągniętym spod zsypu materacu. Żartowali i śmiali się. Huk przejeżdżających pociągów zagłuszał ich rozmowy, ale i tak wydawało im się, że zbudowali kawałek prywatnego raj. Zwłaszcza Libor, który nigdy nie miał niczego własnego - w sierocińcu wszystko było wspólne, słabej jakości i było tego za mało - poczuł się jak poważny właściciel ziemski. Z niechęcią wracali wieczorem do sutereny. Kolegom opowiadali, że spędzają wakacje w ogrodzie. Tak tylko mówili, bo sami nie do końca wiedzieli, co to znaczy wakacje, a pani Bednar też nie umiała im tego jasno wytłumaczyć.

- Ludzie się na nas gapią, mamó - mówił Vavriniec, wskazując toczące się wagony.

- To nic - odpowiadała. - To porządni ludzie, jadą do pracy, do

szkoły. Zarabiają, męczą się. Ale i tak nie wszyscy mają takie piękne działki, jak nasza.

Latem grządki zaczerwieniły się od pomidorów, które, zgodnie z umową, Libor jadł do woli. Na rabatach wiły się ogórki, wzeszła dorodna marchewka, a później zazłociły się kabaczki i dynie. Wyrosły mięta i szalwia, które kobieta zamierzała ususzyć i naparami z nich poić chłopców zimą dla wzmocnienia odporności. Nawet kwiatki kwitły.

- Widzicie, wszędzie można się urządzać. Skąd inaczej wzięłabym dla was tyle witamin? - cieszyła się mama Vavrinca.

Pewnego wczesnego ranka, gdy radośnie przytaszczyli do ogródka zdobyte na tyłach tartaku deski, by zbić z nich altankę, ich oczom ukazało się pobojowisko.

Owoce i warzywa ktoś zebrał do ostatniej sztuki, część roślin wyrwał, a i tak uszkodzone wcześniej przedmioty połamał w drobny mak.

Pani Bednar zaniósła się przeraźliwym płaczem.

- Okradli nas! Zabrali wszystko!

Vavriniec w bezsilnej złości i żalu płakał razem z nią. Próbował objąć matkę, ale ta zlekceważyła jego gest i padłszy na kolana, starała się z powrotem wcisnąć do dziur w ziemi powyrywane rośliny.

Jej syn odgrażał się, że dorwie złodziei i wyszarpie im z gardeł wszystkie marchewki.

Libor długo stał obok z zaciśniętymi pięściami. A później odwrócił się, po raz ostatni przeskoczył przez tory i poszedł dalej sam. Opuścił kolejny niegościnnie kraj i znalazł się w sąsiednim, równie nieprzyjawnym, w którym z braku innych możliwości przystał do bandy niejakiego Krogulca. Nie szukał już domu. Dochodził do wieku męskiego w przeświadczeniu, że na wyrzutków społecznych, takich jak on, w każdym miejscu czeka identyczny świat, który zawsze traktuje ich tak samo.

- Pani Erdo! Poproszę do mnie! - Tak, to jest część porządków, które trzeba zaprowadzić w pierwszej kolejności. Pozbyć się ludzi wiernych staremu generałowi.

Kostyczna sekretarka, starsza, niezwykle elegancka, wyprostowana jak struna, wkroczyła z kamienną twarzą. Postawiła na biurku Lukrecji filiżankę z parującą kawą.

- Nie prosiłam o kawę, proszę spocząć, porozmawiamy.

Kobieta usiadła z godnością, widać było, że spodziewa się

przebiegu tej rozmowy.

- Długo pracowała pani z generałem Twiggim, prawda?

- Trzydzieści lat.

- Wiem, że wysoko cenił pani kompetencje. Ja mam takie samo zdanie.

- Dziękuję.

Szefowa przyglądała się nieprzeniknionej twarzy Erdy. Bulterierka generała, strzegąca drzwi jego gabinetu jak najcenniejszej twierdzy. Parząca mu ziółka, kupująca skarpetki, dobierająca krawaty, utrzymująca pedantyczny porządek w papierach, umawiająca dyskretnie na randki zwane spotkaniami biznesowymi. Bezgranicznie oddana i lojalna. Czy z nim sypiała? Niewykluczone, chociaż ostatnią cechą Erdy był seksapil. Na pewno go kochała. Poświęciła mu życie. W zamian wystarczyły jej zapewne wpatrzone w nią z uwagą magnetyczne oczy i troska, którą jej okazywał, kiedy się przeziębila, proponując, by wcześniej wyszła do domu i odpoczęła. W firmie krążyły na jej temat legendy.

- Zastanawiałam się, pani Erdo, czy zechce pani ze mną dalej pracować? Wiem, że niezwykle szanowała pani generała. Rozumiem to - Lukrecja przeciągała, chcąc dać tamtej szansę na uniesienie się honorem i złożenie rezygnacji. Nie skorzystała z niej.

- Chcę pracować - odpowiedziała bezbarwnym głosem - jeśli pani sobie tego życzy. Mogę być nadal przydatna.

- Bez wątpienia - ucięła Lukrecja, widząc, że nie ma co przeciągać. - Jednak zamierzam wprowadzić głębokie, strukturalne reformy w całej agencji, w tym także w kancelarii. Nie wątpię, że w końcu odnalazłaby się pani w nowej rzeczywistości, sądzę jednak, że przyszedł czas na poważne zmiany. Mogłaby pani do nich nie przywyknąć, zresztą jest pani już chyba w wieku emerytalnym, prawda?

- Tak - odpowiedziała spokojnie kobieta, ignorując niegrzeczny wydźwięk tych słów.

- Zatem dziękuję pani za wieloletnią służbę dla nas i dla kraju. Bezbłędnie wypełniła pani wszystkie przydzielone zadania. Poprosiłam dział kadr, by przygotował stosowną odprawę, w wysokości, która pozwoli pani odpocząć i długo niczym się nie martwić. Zawsze będę panią podziwiał. - Lukrecja wstała i wyciągnęła rękę. Asystentka ujęła ją bez entuzjazmu.

- Dziękuję - odpowiedziała - ja też wysoko panią cenię. - Bez słowa podeszła do drzwi, a szefowa usiadła ciężko i wzięła do ust łyk aromatycznego płynu. W progu Erda odwróciła się na pożegnanie, oczy kobiet zetknęły się lekko, czerwona lampka w głowie Lukrecji rozbłysła rażącym światłem. Struga wyplutej

kawy rozprysnęła się na dokumentach, lśniącym biurku i puszystym dywanie. Sekretarka skrzywiła się z pogardą. Generał nie zachowałby się tak nigdy, przenigdy! Nawet gdyby miał umrzeć.

- Świnia - powiedziała półgłosem Erda. I wyszła.

Przeprowadzona na cito analiza chemiczna zawartości porcelanowej filiżanki wykazała obecność cyjanku potasu. Odwieczna sprawdzona klasyka. Tymczasem Erda zdążyła rozpląnąć się w powietrzu. Anna Litewski przeżyła już nie takie rzeczy, przetrwała o wiele groźniejsze ataki i miała do czynienia z nieporównywalnie bardziej niebezpiecznymi ludźmi. A jednak historia małej czarnej przelała ogromną czarę niegodziwości. Sekretarce udało się uzyskać jedną ważną rzecz, której wcześniej nie osiągnął nikt inny: Anna Litewski zaczęła się bać.

Dalsze zwolnienia pracowników odbywały się bez kurtuazyjnych rozmów. Pani generał opuściła wiejską posiadłość i zamieszkała w strzeżonym apartamencie w pobliżu siedziby SAW, a okoliczne budynki zostały wynajęte, by uniknąć niechcianego sąsiedztwa. Dom Lukrecja zostawiła pod opieką Kornelii Huckelberry, wieloletniej przyjaciółki i mentorki. Powierzyła jej również oficjalne stanowisko w swoim bliskim otoczeniu. Ważne, lecz nieeksponowane. Kornelia bowiem, mimo licznych atutów, nie nadawała się do bezpośredniego kontaktu z klientami. Za bardzo lekceważyła zasady savoir vivre'u i zachowania powszechnie przyjęte w społeczeństwie. Lukrecja ściągnęła też do pracy Anthony'ego Moora, arcyinteligentnego, młodego mężczyznę, od urodzenia niewidomego. Stworzyła mu optymalne warunki techniczne, komfort i miłą atmosferę, w zamian żądając jednego - możliwości korzystania z jego geniuszu zjednywania sobie ludzi i umiejętności hakerskich.

Jaka zemsta będzie najwłaściwsza? Paul nie miał wątpliwości. Za zdradę i krzywdy, które mu wyrządziła, jedyna możliwa, to śmierć. Wyobrażał ją sobie na różne sposoby, układał wymyślne scenariusze. Dla pieszczenia zmysłów, nakarmienia fantazji. Wiedział, że w rzeczywistości musi się zdecydować na proste rozwiązanie. Doświadczenie podpowiadało mu, że takie będzie

najskuteczniejsze. Wymierzenie mitycznej sprawiedliwości stawało się przy tym coraz trudniejsze - oglądając wiadomości na migającym ekranie szpitalnego telewizora, czytając gazety podrzucane do kliniki z dwudniowym opóźnieniem, wreszcie wyszukując wszelkie informacje w internecie, dostrzegał rosnący mur, którym Lukrecja odgradzała się od świata. Najpierw miała dwóch ochroniarzy, później sześciu, a ostatnio czternastu. Nie byli zatrudniani na stałe. Ich twarze, choć niewyeksponowane publicznie, przy odrobinie spostrzegawczości można było rozpoznać. Zmieniały się często. Wyraźnie nie ufała swoim. Gdy ktoś zbliżył się za bardzo, był natychmiast wymieniany jako potencjalnie słabsze ogniwo otaczającego łańcucha. Podatny na wpływ, szantaż, sprzeniewierzenie się. Coś o tym wiedziała. Kiedy wybierała się w podróż, fotografowała się na dworcu kolejowym tylko po to, żeby w programach informacyjnych pojawić się na miejscu, wysiadając z samolotu. Myliła tropy. Jej podejrzliwość stale rosła. Miód na serce kapitana Horna. Anna Litewski bała się o życie, spodziewała zamachu. Z wolna popadała w obsesję.

- Chodź tu, Kornelio, nie wykręcaj się. Czy jesteś pewna, że on nie żyje?

Madame Huckelberry nie znosiła tych pytań.

- Ile razy mam powtarzać, że tak. Zostawiłam go martwego.

- Więc gdzie jest ciało?

Starsza pani nie za bardzo chciała tłumaczyć, że celowo przysypała je płytko, by ktoś je znalazł i pochował. Temu chłopcu należał się godny pogrzeb. A ona nie była morderczynią. Nigdy nie zgodziłaby się uczestniczyć w czymś podobnym, gdyby życie Anny nie było zagrożone. Napaść, męczenie kogoś to nie dla niej. A później trochę samo tak wyszło. Nie zabijała młodych mężczyzn, raczej chętnie ratowała ich z opresji, a ten był niewiele starszy od jej zaginionego syna, Emila. Wierzyła w karmę. Wołałaby pomoc zagubionemu w akcji kapitanowi Hornowi, zwłaszcza że chyba łączyło go kiedyś z jej przyjaciółką silne uczucie. Może wtedy, gdzieś na krańcu świata, inna kobieta pomogłaby jej synkowi. Bo on żyje, na pewno żyje. A po tym zabójstwie, cóż... aż nie mogła o tym myśleć. Ani się pomodlić. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. To był przypadek. Obrona konieczna Anny. Paul wpadł wtedy do ich domu rozwścieczony, odkrył spisek i swoją marną w nim rolę. Gdyby nie Kornelia, Lukrecja dziś by tu nie siedziała. To tyle na temat wdzięczności.

Pani general nie zostawiała takich spraw przypadkowi. Pod pozorami a to konieczności znalezienia zaginionej nastolatki, a to wykrycia niewybuchów pozostałych po toczących się w tej okolicy sześćdziesiąt lat temu bitwach, poszukiwania zarządzano trzykrotnie. Rozstawieni co dwa metry funkcjonariusze przeczesali teren wzdłuż i w szerz, użyto georadarów, a psy co prawda podejmowały trop, ale przy drodze go gubiły. Przy okazji odnaleziono zbiorową mogiłę pełną ludzkich kości, których pochodzenie datowano na czas wojny, a także dość świeżą ludzką nogę, odciętą przed około trzema miesiącami. Na razie nie udało się ustalić, do kogo należała. Szczątków kapitana Horna nigdzie nie było.

- Zwłoki leżą w lesie, dobrze zabezpieczone, nie chcę do tego wracać. Nie podobało mi się to ani wtedy, ani teraz, mówiłam ci tysiąc razy - powtarzała Kornelia, rumieniąc się przy tym mocno, a jej oddech skracał się. - A o psach mi nie opowiadaj, skąd mogę wiedzieć co ma w głowie wilczur? Na co liczysz? Że ci go wykopie? Zresztą zawsze wołałam koty. Przecież to jest las, wiele zwierząt pada z przyczyn naturalnych, jest życie, ale i śmierć. Przyrodniczy cykl.

- Nie znaleziono go tam.

- Kiedy ja coś ukryję, nikt tego nie znajdzie - pani Huckelberry uśmiechnęła się triumfalnie. Anna nie dowierzała.

- Nie ma ciała, nie ma trupa. Prosta zasada. Jeszcze raz opowiedz mi wszystko, proszę. Z najdrobniejszymi szczegółami, każdy niuans ma znaczenie. To polecenie - dodała, widząc, że starsza pani zbiera się do wyjścia - jestem twoją szefową.

Problem jednak w tym, że Kornelia Huckelberry nie uznawała niczyjego przywództwa.

- To była brutalna, prostacka robota - odpowiedziała z niesmakiem. - Bez niuansów. Męczysz mnie.

I tak padło między nimi pierwsze ziarno nieufności.

Libor Kovacz gromadził wokół siebie coraz więcej ludzi. Przyciągał siłą i udanymi akcjami, nie mógł jednak pozbyć się otaczającego skrytego lekceważenia. Zamierzał wypalić je gorącym żelazem, ale na razie, cóż... Facet z pozycją i majątkiem, nawet nieuczciwie zdobytym, może pozwolić sobie na wiele, okazje same pchają mu się do rąk. A jak może zaistnieć przybłęda? Musi dokonać spektakularnego wyczynu, zrobić coś, na co nie porwaliby się inni, tłuści, ustawieni, obrośnięci w piórka. Leniwi, bo już nie musi im się

chcieć. Bezwiednie dryfujący w stronę marginesu historii. Libor nie bardzo wiedział, co by to mogło być, co zrobić. Może okraść bank centralny albo sprzątnąć kogoś z wierchuszki kraju. Najlepiej w biały dzień, na oczach kamer, bezradnych ochroniarzy i zagubionej policji. Od biedy mógłby to być jakiś ważniak z ministerstwa albo szef policji. Co z tego, że takich rzeczy się nie robi, że istnieją podobno niepisane zasady. On ich nie szanował, nie zamierzał chodzić utartymi ścieżkami. W dniu, w którym tu przybył, nawet nie za dobrze umiał czytać w ich języku. Nie znał mowy tych obcych, przystojniejszych, zasobniejszych i spokojniejszych od niego. Niech wieść się niesie, a sława rośnie. Dzięki temu od razu wskoczyłby na szczyt. Ostracyzm skończyłby się jak nożem uciął. Jak głosi teoria podświadomości, to, czego najbardziej pragniemy, również do nas zmierza. Coś, co na początku wydaje się niemożliwe, w miarę upływu czasu nabiera realnych kształtów. Szanse przychodzą niezapowiedziane, trzeba tylko schwytać je w lot. Snuł mrzonki na jawie. Zastanawiał się, czy kropnąć stanowego sędziego, wysokiego przedstawiciela armii albo tę, o której ostatnio rozpisywały się gazety, Annę Litewski? Zawsze to łatwiej uderzyć w kobietę. Może nawet za bardzo by go nie ścigali? Libor był dobrym obserwatorem. Zdawał sobie sprawę, że pani generał nie cieszy się wśród swoich tak wielką estymą, jak poprzednik. Wielu tęskniło za nim skrycie i życzyło sobie jego powrotu. Rozumiał to. Sam by nie chciał, żeby rządziła nim baba.

Najnowszy nabytek Lukrecji szybko stał się najbliższy jej sercu. Nic dziwnego, przecież zatrudniła go właśnie z uwagi na jego niezwykłą zdolność pozyskiwania sympatii i powszechnego zaufania. Anthony Moore miał dwadzieścia trzy lata i nigdy nie widział świata. Nie rozumiał, co znaczą kolory, światło, cień, zmrok i świt. Urodził się z ciężką wadą wzroku i od zawsze otaczała go nieprzenikniona, gęsta, jednorodna czerń.

Kiedy miał cztery lata, rodzice oddali go do ośrodka, gdzie uczył się samodzielności. Przebywał w nim jedenaście lat, po dwanaście dni z rzędu. Ojciec zabierał go do domu co drugi weekend aż do ukończenia przez Anthony'ego szkoły podstawowej dla dzieci niewidomych i niedowidzących. Rozłąka była dramatem dla całej rodziny. Wszyscy płakali przed każdym powrotem chłopca do placówki. Rodzina przyjeżdżała w odwiedziny, kiedy tylko było to możliwe, ale nie udawało się to często. Szkoła z internatem była oddalona o sto siedemdziesiąt kilometrów od domu, a rodziców nie

zawsze było stać na paliwo.

- Brakowało mi ramion mamy - powiedział kiedyś Lukrecji. -

Zdziwiła się. Jej też ich brakowało, co uznawała za naturalne zjawisko. - Byłem bardzo mały. W ośrodku fala jak w wojsku. Wiesz, wszyscy myślą, że niewidomi są z automatu dobrzy, a w rzeczywistości jesteśmy przecież normalnymi ludźmi. Izolacja i tęsknota wyzwalają niskie instynkty. Nie mówiąc o poczuciu bezradności...

Szefowa nie miała ochoty słuchać gorzkich wynurzeń.

- Ale bezsilność mijała w miarę, jak coraz bardziej panowałeś nad kalectwem, prawda?

- Panowałem nad kalectwem? - powtórzył Anthony zdumionym głosem. - Niby jak? W jaki sposób można nad nim panować?

- Przecież radzisz sobie świetnie. Bez porównania lepiej niż kiedyś.

- Tak - przyznał. - W głównej mierze dzięki tobie.

Fakt. Anna zadbała o każdy szczegół. Wykorzystała speców od zaawansowanych technologii i najwymyślniejszych nowinek technicznych. Dzięki nim ogromny pokój Anthony'ego przypominał centrum dowodzenia NASA. Wyposażono go w ciekłe ekrany, interaktywne fotele, zestawy czytające i opisujące głosowo wyświetlane obrazy, aparaty telefoniczne ze specjalnymi wyświetlaczami oznakowanymi alfabetem Braille'a, przemysłne urządzenia interaktywne wyposażone w sygnalizację dźwiękową i odbiorniki uderzeń fal o zróżnicowanych częstotliwościach i nasileniu wibracji. Chłopak używał bransoletki z wbudowanym mechanizmem echolokacji, który umożliwiał mu precyzyjne określanie odległości i kształtów otaczających przedmiotów. Śmiał się, że stał się prawie nietoperzem.

-Nie umiem tylko latać.

- Załatwimy i to - żartowała Lukrecja - jeszcze nie wiedziała, że proroczo. Żaden mebel w gabinecie Anta nie był elementem zwyczajnego wystroju wnętrza. Wszystkie w przystępny sposób dostarczały informacji o świecie i zapewniały komfort użytkowania. A jednak po wejściu do pomieszczenia jako pierwsza rzucała się w oczy tradycyjna, biała laska, oparta o kosmiczne biurko.

- W ostateczności mogę polegać tylko na niej - mówił, co złościło panią generał, która przeznaczyła na urządzenie jego pokoju jakieś dwa miliony dolarów.

Rzucało się w oczy coś jeszcze. Kiedy pewnego dnia odwiedziła go pani Huckelberry, nie mogła się powstrzymać przed mocnym wyrażeniem dezaprobaty.

- Tu wszystko jest szare, czarne lub metaliczne.

- No i co? - wzruszyła ramionami Lukrecja.

- Jest ponuro.

- Jakie to ma znaczenie? Przecież Ant jest niewidomy. Nie mam wpływu na to, że aparaturę produkują w takich kolorach.

- Ale jest otoczony smutną energią. Tylko ekrany, dźwięki, piski, sygnały. Gdyby tu dodać barw, byłoby mu weselej.

- Wątpię - skrzywiła się szefowa.

- Kanarka trzeba by kupić, niechby mu śpiewał. Nie siedziałby wiecznie sam.

- Przecież nie jest sam, ma nas. Ciągłe jest zajęty. A ptak zaraz by uciekł i byłoby mu przykro.

Ale pani Huckelberry nie dała za wygraną. Jak wszyscy, lubiła Anthony'ego, i pewnego dnia przytaszczyła do jego pokoju wielki, kolorowy fotel.

- Jest zielony - tłumaczyła - na obiciu ma wyhaftowane czerwone kwiatki obrębione złotą nitką. A przeszycia modre, czy jak tam mówią, turkusowe. Ale prawie ich nie widać, mienią się tylko lekko, dają subtelną poświatę.

- Jest piękny! - uśmiechnął się, jakby wiedział, o czym ona mówi. - Dziękuję.

- I mięciutki, delikatny jak puszek, nawet dla ciebie - zachwalała. - Wiem, że jesteś wrażliwy, chłopcze.

Ant pogłaskał poręcz, zdjął rękawiczkę, którą zawsze nosił, chroniąc dłonie przed szorstkością dotykanych powierzchni, i znów lekko przeciągnął po niej ręką.

- Aksamit i jedwab w jednym - zgodził się.

Pani Huckelberry triumfowała.

- Jeszcze trochę, a zaczniesz smażyć mu konfitury i karmić rosołkiem. Taka z ciebie dobra ciotka - zżymała się Anna, której wcale nie podobała się rosnąca zażyłość tych dwojga. Wolałyby, żeby bardziej koncentrowali się na celach, jakie przed nimi stawiała. Było ich z dnia na dzień więcej, coraz bardziej skomplikowanych. Przymilanki to strata czasu.

- Gdybym umiała gotować, to bym mu przynosiła - odcinała się pani Huckelberry, bo młodzi chłopcy zawsze wzbudzali w niej tęsknotę i matczyne uczucia. Zwłaszcza ten biedak tutaj.

- Nie możesz zagracać mu pokoju - wściekała się Anna. -

Powinien mieć dużo przestrzeni, bez pułapek, w które mógłby wpaść. Fałszywa troska wyjdzie mu bokiem. Kiedyś zaczepi o fotel, rozwali sobie głowę albo coś złamie. Ten mebel jest nieprzydatny i kompletnie nie pasuje do reszty. Ani ten styl, ani w ogóle. Co za bzdurny pomysł!

Ale fotel został. Od tamtej pory to o niego Ant opierał białą

laskę.

Szefowa SAW była filantropką z konkretnych powodów. Doceniała niezwykle, wręcz paranormalne zdolności Anthony'ego. Jak większość osób, u których nie działa jeden zmysł, zastąpił go innymi, jednak zrobił to w stopniu zdawałoby się doskonałym. To, że przyciągał do siebie ludzi, było miłe i cenne. Na zebraniach, spotkaniach czy podczas nieformalnych narad wszyscy, którzy początkowo podchodzili do niego z rezerwą, najpóźniej po kwadransie otaczali go ciasnym kołem i starali się zaskarbić jego łaski. Ludzie, którzy nigdy nie zetknęli się z ułomnością, nieuleczalną chorobą lub innym poważnym nieszczęściem, nie wiedzieli, jak się zachować w jego towarzystwie. Pamiętali ze szkoły, żeby robić to naturalnie i nie okazywać litości, która często odbierana jest jako wywyższanie się. Naturalnie, czyli jak? Może lepiej zwać i niczego nie widzieć? Przy Ancie uczyli się szybko, co znaczy normalność. Był słoneczny, roześmiany, życzliwy. Osoby onieśmiałe jego niepełnosprawnością, szybko chciały zostać najlepszymi kumplami Anthony'ego. Pragnęły, żeby zwrócił na nie uwagę, porozmawiał, zażartował. Wyrastał na gwiazdę. Moore zawdzięczał to charyzmie, choć czasami znaczenie miała opinia o jego wpływie na szefową SAW. Taka korytarzowa pogłoska, niewykluczone, że rozpowszechniana przez niego, zresztą zgodna z prawdą. Anna podejrzewała, że to część strategii przetrwania. Nie interesowało jej to zbyt. Chciała korzystać z jego zmysłu dotyku, tak wysublimowanego, że musiał nosić specjalne rękawiczki, by przy najlżejszym zetknięciu z twardymi powierzchniami nie bolały go opuszki palców. Z jego wycucia ruchu, którym, nie wiadomo, w jaki sposób, odnotowywał nawet przejście po ścianie pająka. Z inteligencji i wiedzy, które czasem umożliwiały stworzenie wrażenia, że widzi, tak plastycznie i dokładnie opisywał świat i zachodzące w nim zjawiska. Chciała też korzystać ze zwierzęcego węchu, którym z daleka rozpoznawał radość, odprężenie lub strach rozmówcy. Jakby emocje wisiały w powietrzu niczym lekkie kuleczki zawierające mikroskopijne cząstki potu, perfum i drgających fal energetycznych. I jeszcze z przenikliwej intuicji pozwalającej wyczuwać prawdziwe intencje. I z lojalności, bo Anthony Moore, jako jeden z niewielu, pozostawał jej szczerze oddany.

Rzadkie i cenne – myślała Lukrecja. Warte o wiele więcej niż dwa miliony dolarów.

Nie chciała przyznać jeszcze czegoś. Unikatowe zmysły

chłopaka pomagały mu w wyciąganiu nad wyraz trafnych konkluzji na temat rozwoju zdarzeń. Ani ona, ani on nie chcieli nazywać tego jasnowidzeniem. Ant nie miał wizji, kpił z hochsztaplerów wieszczących bzdury o przyszłości i zarabiających na tym niezłe pieniądze. Wyciągał jedynie logiczne wnioski, wykorzystując więcej danych, niż przeciętny człowiek, nawet mający dostęp do wyników specjalistycznych badań. Tak przynajmniej twierdził. Ale kto go tam wie...

- Udało się - ordynator zęgnął go z szerokim uśmiechem, kryjącym zadowolenie z kunsztu własnego i kolegów, bo nie ma potrzeby, by pacjent zdawał sobie z tego sprawę. I tak nie zrozumie zakresu i stopnia skomplikowania zagadnienia. Dorobek profesorski zaś wzbogaca się o opis nietypowego, zwieńczonego sukcesem, przypadku.

- Proszę dbać o siebie. - Ordynator przyglądał się uważnie pacjentowi zza okularów w cienkich oprawkach. Szpakowate włosy, dystynkcja w ubiorze i ruchach wzbudzały zaufanie. Przystojna, poważna twarz wyrażała troskę.

- Dziękuję, że pan wierzył. Inaczej wywieźliby mnie do jakiejś umieralni i pewnie już dawno byłoby po mnie. - Kapitan Horn rzadko spotykał się ze zwyczajną, ludzką pomocą. Ścisnął dłoń lekarza, wkładając w ten gest nienaturalnie dużo wysiłku. Chciał, by doktor odniósł wrażenie, że uścisk jest pewny i mocny. Zdrowy jak u normalnego faceta. W rzeczywistości nie do końca go kontrolował.

- To naprawdę było cudowne uzdrowienie - powiedział spokojnie lekarz. - Ma pan w sobie niesłychaną wolę życia. Tacy jak pan wychodzą z najgorszych opresji. Proszę jednak uważać. Tym razem chyba jednak pan przeszarżował. Podobno limity szczęścia są ograniczone.

- Mam coś do załatwienia. Nie mogłem jeszcze zejść - uśmiechnął się Paul.

- Więc niech pan podziękuje temu czemuś.

- No nie wiem... Na razie dziękuję panu, doktorze. Taka bezinteresowność zdarza się dziś rzadko. Gdyby czegoś pan potrzebował... Potrafię się odwdzięczyć, o ile pamiętam - roześmiał się Horn, szczęśliwy, że za chwilę opuści mury szpitala.

- Mam nadzieję, że nie proponuje mi pan koniaku - westchnął lekarz.

- Myślę, że zasługuje pan na coś lepszego.

Rozdział 2

SZUKANIE WYTRYCHÓW

Kornelia Huckelberry mogła kochać i okazywać lojalność wybranym osobom, poświęcać czas na doskonalenie umiejętności teoretycznie przydatnych w skrajnych sytuacjach, na które była przygotowana w związku z prowadzonym trybem życia. Była gotowa zrobić dowolne głupstwo lub postąpić w sposób społecznie nieakceptowany, gdyż w gruncie rzeczy na niczym jej nie zależało. Gdyby jutro skończył się świat, odetchnęłaby z ulgą. Ach, uwolnić się od koszmaru, zasnąć, zniknąć na wieki, odetchnąć, zapaść się w niebyt... Jednak nie może sobie na to pozwolić. Gdyby wygrała główną nagrodę w międzynarodowej loterii, wzruszyłaby ramionami. Wyczytywanie jej nazwiska w telewizji i aplauz zazdrosnych tłumów traktowałaby niczym brzęczenie natrętnej muchy. Pewnie nawet nie znalazłaby czasu i ochoty, by ją odebrać. „Och, co za pech!” – krzyczeliby w mediach. Wzywaliby ją kilka razy dziennie do stawienia się w najbliższej kolekturze; im bliżej przypadku fortuny, tym częściej. „Lepiej, żeby ta osoba nigdy nie dowiedziała się o wygranej, nie odnalazła zagubionego losu po terminie, bo mogłoby to skończyć się dla niej tragicznie” – ostrzegaliby dyżurni psychologowie. Nic bardziej błędnego. Madame Huckelberry zajmowało tylko jedno: odnalezienie syna. To stanowiło sens jej życia. Od lat szukała, węszyła, straszyła, przebijała głową mury. Ale Emila jakby pochłonęła czarna dziura. Gdyby, chociaż dla towarzystwa wciągnęła całą galaktykę, nie oszczędzając zgębionej matki. Może byłoby mu wtedy łatwiej. Jej byłoby lżej.

Na razie, traktując to jako novum w sprawie, postanowiła skorzystać z proroczych umiejętności Anta.

Ten, rozemocjonowany, bardzo starał się pomóc. Z nieco chaotycznej relacji wydobywał fakty i szeregował je. Na nich zamierzał oprzeć dedukcję.

- Co tam widzisz, synku? - dopytywała. - Co masz w głowie? Wyświetlasz obraz Emilka?

- Musi mi pani opowiedzieć więcej, Kornelio. Każdy szczegół, najmniej ważny, nawet taki, który wydaje się zupełnie nieistotny. Jakie kolory lubił? Jakich zapachów nie znosił? Czego się bał? Za czym tęsknił? Czy miał ulubioną zabawkę, ukochaną dziewczynę, wybraną markę samochodu? Czy kiedyś skaleczył się mocno w rękę? Długo sypiał? Dobrze czy źle się uczył? Potłukł talerz z owsianką, a pani krzyczała czy wtedy go przytuliła? Wszystko, wszystko, wszystko. Chcę poznać jak najdokładniej tę historię. Przeanalizujemy ją wspólnie.

Kornelia bujała się w przód i tył, niczym małe dziecko dotknięte chorobą sierocą.

- Emil jest największą radością mojego życia... To cud, że go w ogóle miałam...

- Dlaczego?

- Popatrz na mnie. Jestem inna od kobiet w moim wieku. Koledzy śmiali się z niego, że ma matkę-słonia. Każdy z chłopców chwalił się, że jego mama jest najśliczniejsza, najfajniejsza, że jest księżniczką. Emil milczał lub uciekał z płaczem... Ach tak, przepraszam, ty tego nie widzisz.

Ant ściągnął rękawiczkę i ostrożnie wyciągnął dłoń w stronę, z której dobiegał chropawy głos. Musiał podnieść rękę wyżej niż się spodziewał, pani Huckelberry miała ponad dwa metry wzrostu. Delikatnie przeciągnął dłoń po jej policzkach, opuszkami zbadał oczodoły i powieki, przesunął palcem wskazującym po grzbiecie nosa i wargach, włożył całą dłoń pod kanciasty, masywny podbródek. Wyczuwał tępą szorstkość naskórka, liczne wyłobienia zmarszczek, połacie skóry lekko cieplejsze od innych, co świadczyło o rozszerzonych naczynekach krwionośnych i czerwonych, nieestetycznych plamach na twarzy. Zjechał po waleczkach tłuszczu na szyi, zanurzył palce w nadspodziewanie gęste i mocne włosy.

- Jest pani piękna - powiedział z powagą. - Taka... ciepła.

Spojrzała z niedowierzaniem.

- Oj, dziecko - zbyła go. - Tobie wszystko jedno. Nie masz porównania, nie gniewaj się, kochany.

- Widziałem wiele kobiet - upierał się Anthony.

- Oj tam, nieważne. Nie ma znaczenia. Miałam Emila, mojego synka.

- A jego ojciec? Może on odgrywa jakąś rolę w tej sprawie?

- Jego stary to nic dobrego. Kawał gangstera i łobuza. Wiecznie pijany, nawet nie wiem, czy żyje.

- Miał kontakt z synem?

- Ale skąd! Nawet nie ma pojęcia o jego istnieniu. Kiedy powiedziałam mu, że jestem w ciąży, wyśmiał mnie. Na tym urwał się nasz kontakt. Nie wiedział, czy i kiedy urodziłam. I dzięki Bogu. Nie był mi do niczego potrzebny, a na małego miałby zły wpływ. Żyliśmy we dwoje. Ach, jaki Emilek był słodki! Wyciągał do mnie rączki, wołał: „Mamo! Kocham cię!” - Głos starszej pani przeszedł w pisk. - Nie było z nim żadnych kłopotów.

- Na pewno?

- No później trochę tak, ale to przez to, że był bardzo wrażliwy. Szukał aprobaty w gronie rówieśników, imponowali mu starsi, trochę łobuziaki, może szukał tego swojego cholernego ojca z piekła rodem... No i ja nie mogłam mu wszystkiego zapewnić. Gdybym zarabiała tak dobrze, jak teraz, ale wtedy było ciężko, a Emilek ma wyrafinowany gust, jak książkę. Nie zadowolili się byle czym, zawsze taki był, od małego. Mój narzeczony od siedmiu boleści, zblazowany bufon, zanim mnie zauroczył, tfu, tfu, przekłety oszust, opowiadał, że miał cioteczną praprababkę hrabinę... Może to po niej, jeśli to w ogóle prawda, bo wierz mi, synu, że drań nigdy nie splamił się stwierdzeniem rzeczy zgodnie z faktami... Kiedy Emilek wszedł w wiek nastoletni, coraz bardziej się mnie wstydził. To moja wina, nie potrafiłam się ubrać ani zadbać o siebie tak, jak te laleczki z wywiadówek. Przychodziły wyszykowane, a ja... Nigdy nie kradł, stał tylko na czatach. Wciągnęli go, był uległy, za dobry. Potem trochę grał, dla rozrywki. Ruletka mu nie szła, popadł w długi. Wtedy już lepiej mi się powodziło, pospłacałam je raz i drugi. Był taki wdzięczny. Mówił: „Mamusiu, mogę liczyć tylko na ciebie”. - Potężny szloch rozdarł potężną pierś. Pani Hucleberry nie mogła się uspokoić.

- Może dokończymy później? - zaproponował Anthony, zmieszany.

- Kiedy to już prawie koniec - wychlipała. - Nagle zniknął. Nie zabrał rzeczy. Wszystko zostało i czeka. Od tamtej pory go szukam. Przetrzęsnałam każdy zakamarek, jaki tylko przyszedł mi do głowy. Byłam na dnie piekła. Służyłam u możliwych tego świata. Poznawałam ich życie i tajemnice. Prosiłam, błagałam lub zmuszałam do współpracy. Nie pomogli. Nikt nie dał rady.

- Niech mi pani opowie więcej o jego ojcu i kolegach. O kobietach. Wrogach. I proszę mi dać jego zdjęcie, najlepiej kilka.

- A co tu gadać? - mruknęła Kornelia. - Tego drania, jego ojca, nawet dobrze nie pamiętam. Kolegów miał kilku, ale nie przyjaźnił się z nimi za bardzo. A dziewczyny... sam wiesz. Teraz trafić na odpowiednią dziewczynę, to ho, ho! Musiałaby go rozumieć, zaopiekować się nim. Emilek jest introwertyczny, szlachetny, trzeba

umieć do niego dotrzeć. A teraz rosną egoistki.

Ze zdjęciami był mniejszy kłopot. Pani Huckelberry wyciągnęła z torebki cały plik. Zawsze nosiła je przy sobie, ale zawahała się. Anthony wyczuł to.

- Niech się pani rozejrzy - powiedział - ile mam urzędzeń. Zeskanują je i przetworzą obrazy tak, że nawet ja je zobaczę - uśmiechnął się do niej ciepło.

- Bóg ci zapłaci, synku - powiedziała starsza dama zrezygnowanym tonem.

- On żyje - zdecydowanie stwierdził nagle Anthony. Panią Huckelberry zatkało. Przez wszystkie lata tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa, ale nikt nigdy nie zaryzykował, aby je wypowiedzieć na głos. Pragnęła ich jak powietrza, wbrew rozsądkowi, błagała o nie w myślach każdego, kto choć trochę przyczynił się do poszukiwań. A tu nagle padły, bez ostrzeżenia.

Była w stanie tylko pochylić się, ująć rękę chłopca i ucałować ją żarliwie. Ant szarpnął się zawstydzony. Zabolalo.

- Coś z tym zrobimy - obiecał.

Generał Peter Twigg, choć potraktowany nad wyraz obcesowo i odsunięty od głównego nurtu wydarzeń, w istocie stracił w agencji tylko część wpływów. Znaczącą i kluczową, to fakt, jednak nadal, mimo prowadzonych przez Lukrecję czystek kadrowych, zostali w niej funkcjonariusze, z którymi łączyła go nie sympatii lub - co cenniejsze - szantaż, bez szansy wyplątania się z niego. Ci drudzy musieli go słuchać. Suka dopiero uczy się sztuki uzależniania ludzi od siebie i nie skorzysta już z przykładu mistrza. Wieloletni dowódca wiedział, jak zarządzać podwładnymi. Niektórzy z nich wciąż znajdowali się w bliskim otoczeniu pani generał Litewski, co sprzyjało jego zamierzeniom. Jej błoga nieświadomość przeczyła, jego zdaniem, inteligencji agentki. Myśl, która nurtowała go bez przerwy, dotyczyła nie tego, czy, ale gdzie Philip Sanders, jego niewydarzony zastępca, gnida bez zasad wystrojona w nienaganny garnitur, uwodziciel nieszczęsnej żony Twigga, ukrył materiały kompromitujące byłą kochankę, następną z kolejki, zapijaczoną i zaniedbaną, nieczynną funkcjonariuszkę Lukrecję. Cóż, mimo arcydrogich limuzyn, słynnej elegancji i legendarnej ogłady, pułkownik Sanders w kwestii kobiet nie był zbyt wybredny. Z wyjątkiem oczywiście szacownej małżonki generała. Podobno dostrzegał w nich coś więcej niż tylko powierzchowność. Dureń! Od tego wszystko zależało. Zemsta, jaką zaplanował dla nowej szefowej

SAW, wymyślna, a jednocześnie jakże przyjemnie nieskomplikowana tortura, zależała od odnalezienia kilku kartek, ewentualnie nagrań, niewykluczone, że filmów, a może wszystkiego razem. Dodatkowy smaczek - kompromitujące materiały skrzętnie zabezpieczone przez miłość życia. Ach, łąza się w oku kręci! A jeśli nie wiadomo, co i gdzie, należy sprawdzić wszystko i wszędzie. Skoro najciemniej jest pod latarnią, polecił swoim kretom systematycznie przetrząsać archiwa agencji i zwracać uwagę na niepasujące do niczego kartki, wetknięte w przypadkową teczkę lub leżące w bałaganie na dnie zapomnianej szuflady. Zalecił też przeglądanie dysków, zapisów cyfrowych, zaszytych w plikach systemowych zwykłych plików z rozszerzeniem doc. lub exe., zdobywanie uprawnień i dostępów do nowych obszarów zasobów sieciowych. Wszystko dyskretnie, powoli, z długimi przerwami, bez rzucania się w oczy, z ostentacyjnym, zdrowym oporem wobec dodatkowych obowiązków narzucanych przez kierowników działów. Żmudna droga eliminacji, mrówcza praca, niewdzięczna i w zasadzie nierokująca, ale ktoś musi ją wykonać. Niech logicznie myślący szukają w przewidywalnych miejscach. On bierze na siebie wszystkie obszary nieracjonalne, choćby miał przetrząsnąć Hades.

Libor Kovacz pił wódkę z kolegami w zadymionym barze na przedmieściach. Nudzili się. Trochę grali w karty, ale kiedy alkohol zamroczył jednego z nich na tyle, że zasnął przy stole, przestało to mieć sens. Kilka razy rzucali nożami do owalnej tarczy zawieszanej nad drzwiami albo, dla odmiany, wbijali je między rozczapierzone na drewnianym barze palce dłoni, ot, żeby nie wyjść z wprawy. Ale naprawdę czekali na partię towaru, którą tu miano dostarczyć. Nie do końca wiedzieli, jakiego, bo przezornie żaden o to nie spytał; domyślali się jedynie, że będzie to hasz lub hera. I tak od czterech dni. Jak ciężarówka podjedzie, przeładują ją na zapleczu i każdy pojedzie w inną stronę autem osobowym. Na razie jednak nikt się nie pokazywał, nie przychodziły żadne wiadomości. Najgorsza robota. W sam raz dla dołów mafijnej rodziny. I do tego barmanka. Brzydka i złośliwa. Nawet kilkudniowe chłanie nie zmieniło opinii o niej.

W pewnym momencie drzwi otworzyły się i stanął w nich dryblas o końskiej twarzy, przyboczny niejakiego Docenta, szychy w przestępczych kręgach. Powiódł ponurym wzrokiem po zebranych, nie wyłączając barmanki, i oznajmił kategorycznie:

- Rozejść się! Akcja odwołana!

Nikt się nie ruszył. Wszyscy wrócili do zabijających nudę drobnych czynności, a Koń zamówił porządną szklanę bourbona.

- Panie Traskalski - odezwał się wybudzony z przykarcianej drzemki kumpel Libora - pan nie może odwołać akcji, bo pan jej nie zlecał. Ani pana boss.

- A to siedź tu sobie palancie do usranej śmierci - zgodził się pogodnie Koń. - Mam to gdzieś - sącył alkohol i rozglądał się z niechęcią po zapyziałym lokalu.

- Ty, Libor! Idziesz ze mną - rozkazał Słowakowi. Przybłęda go zignorował.

- Szef cię wzywa - warknął Koń, nagle bardzo groźnie.

- On nie może pójść, panie Traskalski - pośpieszył z wyjaśnieniem ostatni karciarz. Mamy zlecenie od Krogulca.

Traskalski wyciągnął broń z kabury i sprawnym ruchem przystawił mu lufę do głowy.

- Przecież mówiłem wam, że już po wszystkim - wycedził z wściekłością. - Słowak, zbieraj manele. Pan Docent czeka.

Libor nie lubił, gdy mu rozkazywano. Docenta jednak nie należało lekceważyć. Nikt nie mówił, że towar dojedzie dziś. Może wieczorem, a może za trzy dni, czort wie.

- Zaraz wracam - rzucił w stronę pozostałych, niezainteresowanych obietnicą. Wyszedł z Koniem do zaparkowanego na poboczu szarego mercedesa.

Wewnątrz knajpy natychmiast wszystko wróciło do normy, tylko karciarz przez chwilę nerwowo pocierał skroń, a barmanka, poirytowana dodatkową robotą, klnąc pod nosem sprzątała z blatu pustą szklanę po bourbonie.

- I na co wy tam czekacie? - dziwił się po drodze Traskalski. - Towar już dawno u nas, a kierowcę ciężarówki gryzą mrówki. Niezły rym, hę? - Ucieszył się sam z siebie. - Na tej robocie dla Krogulca daleko nie zajdziecie.

Słowak wolał nie komentować.

- Czego pan Docent ode mnie chce?

- Sam ci powie, nie szczeraj tyle - upomniał go kierowca. Podjechali pod warowną bramę prowadzącą do okazałej willi porośniętej dziką winoroślą. Jak w staroangielskim zamku, choć na tym podobieństwa się kończyły. Budynek był pokraczny i niegustowny. Słowak nie zdążył się rozejrzeć, bo prawie natychmiast Traskalski vel Koń podał mu czarną opaskę.

- Zawiąż oczy! - polecił. - Tylko dokładnie! I idziemy!

Powroty do rodzinnego Alistone od lat wywoływały w generale Twiggu mieszane uczucia. Prawdę mówiąc, unikał ich. W miejscowości nie żył już nikt, z kim miałby ochotę napić się herbaty. Nigdy nie lubił tej wiochy. Bawili się tu kiedyś, ponad pół wieku temu z Tao, późniejszym krwawym mafioso i Raszajem Miro, przechrzczonym na Rasza Cartera, od kiedy został szanowanym i powszechnie wielbionym stanowym sędzią. Do dziś zastanawiał się, jak to możliwe, żeby marny Cygan zrobił tak oszałamiającą karierę. Bez forsy i znajomości. Oficjalnie niezależni i niezawisli byli dla zasady nieco przycinani przez system. Rasz, nie znając rządzących nim reguł, po prostu je ominął. Byli chłopcami, jak wtedy i on. Teraz z całej trójki Twigg jako jedyny został przy życiu. No cóż, zawsze był najlepszy.

Niska, koślawa chata pod lasem wydawała się niezamieszкана. Zastukał mocno pięścią w krzywe drzwi, bo spodziewał się, że ich właścicielka jest głucha.

- Kto się tak dobija? - dobiegł ze środka zirytowany głos - pali się, czy co?

Wszedł więc i stanął w wyszczerbionym progu. Za brudnym stołem, zasłanym resztkami ususzonych badyli i stosem pokruszonych skorupki jaj, siedziała staruszka opatulona wełnianą, kraciastą chustą.

- Dzień dobry! - powiedział głośno, ale nie odpowiedziała ani nie ujęła wyciągniętej ręki. Stał w niezręcznym, przedłużającym się milczeniu. Izba wyglądała ubogo, panował w niej niewyobrażalny zaduch, od którego zakręciło mu się w głowie i zrobiło lekko niedobrze. Mieszanka intensywnych ziołowych aromatów, gryzącego dymu ulatniającego się z nieszczelnego paleniska i ciuchów babci, która od dawna się nie kąpała. Milcząco zaświadczała o tym wielka balia służąca pewnie kiedyś do ablucji, a teraz po brzegi wypełniona roślinami suchymi jak pieprz.

- Nie zaczadzi się pani? - zapytał, żeby przerwać ciszę.

- Jak się nie zaczadziłam przez tyle lat, to już się nie zaczadzę. Tu jest bardzo dobra wentylacja - odburknęła. Okopcony komin i zupełnie czarny, niski, przekrzywiony na zachodnią stronę strop zdawały się przeczyć tej tezie.

- Po co przyszedłeś? Chory jesteś? - zainteresowała się w końcu.

- Nie, jestem zdrowy, nie o to chodzi.

- Akurat! - prychnęła i spojrzała na niego drwiąco.

- Ostatnio miałem małe problemy z krążeniem, ale minęły. To przez stres. Ten, kto pracuje tak intensywnie jak ja, odczuwa

czasem stres - wyjaśnił, sam się dziwiąc, czemu się jej tłumaczy.

- Ten, kto robi świństwa, też - podrzuciła usługną myśl.

- Niech pani nie osądza zbyt łatwo - zaoponował.

- Może wypędzić z ciebie lichy? - odwzajemniła się. Zanim odmówił, zerwała się z miejsca z szybkością, o jaką nie mógł jej podejrzewać, i zaczęła go okładać wiązką pokrzyw, z wielką siłą i zacięciem. Bolało strasznie, na twarzy pojawiły się bąble. Pomyślał, że znachorka zwariowała. Postanowił znieść to jednak i nie pozwolić się wytrącić z równowagi szalonej staruszce.

Zmęczyła się szybko.

- Nie da rady. Siedzi mocno - stwierdziła smutno, zrezygnowana.

Generał porządnie się wkurzył. Z Wasylisą trudno było złapać kontakt.

- Patrzcie, nie wie, jak do mnie mówić - mamrotała pod nosem stara. - Raszajek wiedział, Taoś wiedział, a ten nie wie. Matko mówili, matuszko, nie wstydzili się dzieci. A ten... Limuzynę zostawiłeś daleko, na piechotę szedłeś kawał drogi, żeby cię tu nikt nie zobaczył, co? Za niskie progi...

Nie było sensu zaprzeczać. Od zawsze mówili o niej, że ma dar jasnowidzenia, a może tylko zgrabnego kojarzenia faktów. I wiele innych rzeczy, fantastycznych, wyimaginowanych, wyspanych z palca. Generał wyczuwał niechęć, nawet wrogość starej kobiety. Miał do niej o to żal.

- Nigdy mnie nie lubiłaś... matko - przemógł się wreszcie i wydobył z siebie to idiotyczne określenie. - Wołałaś Tao, przestępcę, niż mnie, stróża prawa.

- Tyś taki sam stróż prawa, jak i on! - zaśmiała się. Tylko on mniej winny, bo chory. Gdyby zawczasu go leczyli... ale tu taka ciemnota - wskazała ze złością głową w kierunku wsi.

O, to coś nowego. Kwintesencja zacofania siedziała właśnie przed generałem. O ile pamiętał, Zachary i Sofija, ciotka i wujek Tao, którzy się nim opiekowali, od małego jeździli z nim po lekarzach różnych specjalności. Staruszka przesłała mu gniewne spojrzenie, jakby czytała jego myśli.

- Jedyne prawdziwe stróż prawa to Rasz - pochyliła się i otarła powieki brzegiem fartucha. Nieodżałowany... - chlipała - nie żyje, złoty chłopczyk. Ale o tym wiesz, co? - W czarnych oczach więdźmy zamigotała nienawiść.

- Matko! - Generał chciał jej przerwać, podświadomie zawsze się jej bał, irracjonalny strach wpoila mu jego ciemna babka. Nagadała małemu chłopcu, że Wasylisa potrafi uśmiercić lub uzdrowić na odległość, poplątać życiowe ścieżki, sprawić, że ktoś

się w kimś zakocha czy zajdzie w ciążę. Same bzdury, ale kiedy przemówią do wyobraźni we wczesnym dzieciństwie, zapadają w duszę jak zatrute ziarno.

- Przyszedłem w innej sprawie.

- Mów!

- Chciałem zapytać, czy ktoś kiedyś złożył u ciebie depozyt?

- Co takiego? O co ci się rozchodzi, Peter? - pytała staruszka wysokim głosem, udając nagle głuchą.

- Depozyt. Coś do zwrotu. Na hasło na przykład.

- A ty znasz to hasło?

- Nie, ale to ważne. Wszystko matce wytłumaczę.

Starowina zamyśliła się głęboko. Zmarszczki na czole przybrały głębię Rowu Mariańskiego, przymknęła oczy, suche dłonie zamarły na stole i przestały rozgniatać wydmuszki. Gałki pod powiekami poruszały się szybko w prawo i w lewo, jakby przebiegały po wszystkich wspomnieniach z przeszłości.

- Ty niczego nie przynosiłeś - oświadczyła w końcu - ale odebrać chcesz.

- Wiem, że nie, nie chodzi o mnie.

- W zeszłym tygodniu Walenty przytaszczył kopę jajek - odpowiedziała w końcu. - Ale nie do zwrotu, mogłam je zjeść.

- I zjadła je matka? - zapytał zdumiony Twigg.

- Dwa - przyznała - pięćdziesiąt osiem leży tutaj - wskazała na stos skorupki. Dobre na podagrę.

- Nie o to chodzi. Skup się, matko. Plik papierów, teczka, płyta? Skórzana aktówka, metalowa skrzynka, o którą ktoś prosił, żeby zakopać w ogrodzie albo schować w leśnej dziupli? I oddać, gdy przyjdzie pora. Idealny tu u matki punkt kontaktowy. Ludzie przychodzą i wychodzą, różni, najróżniejsi. Wszyscy szanują matkę.

- I ze mnie chcesz zrobić agentkę, Peter? - odpowiedziała przytomnie. - Nic się nie zmieniłeś, od dzieciaka...

- Chcę tylko, żeby mi pani powiedziała, matka powiedziała - poprawił się z wyraźną niechęcią - czy był tu kiedyś Phil Sanders. Może chorował, przyszedł po lekarstwo albo chciał czegoś innego. Zawsze był interesowny. Czy nie zostawił dokumentów dotyczących pewnej kobiety? Tylko tyle, i już sobie pójdę.

- Nawet nie wiem, kto to taki - odpowiedziała Wasylisa. - Taoś coś wspominał, ale ten tam chyba za ważny był, żeby do mnie przychodzić. I za zdrowy, niech mu ziemia lekką będzie.

- A co Tao jeszcze mówił? - Generał zreflektował się, że wypytywanie traciło sens, złość w oczach staruszki zaczęła przybierać niebezpiecznie wyraźną postać. Czarne iskry migają dziko, aż zrobiło mu się nieprzyjemnie. Pierwotna siła drzemiąca

w niewysokim, kruchym, zaniedbanym ciele znów wzbudziła w nim respekt.

- Już bym nie miała o czym z nim rozmawiać, tylko o waszych brudach i hienach w marynarkach! Głowa go bolała często, z tym przychodził. A i czemu ja miałabym wydać ci coś na obcą kobietę, co mi nic nie zawiniła!

- Ta kobieta zawiniła więcej, niż matka myśli.

- Jak ty to mówisz, to znaczy, że tak pewnie nie było. Już ja wiem, co z ciebie za gagatek. Oskarżać tylko umiesz. Idźże, skąd przyszedłeś! - podniosła się, znów trzymając wiązkę pokrzyw w ręce.

Generał poderwał się, wściekły. - Do widzenia pani - rzucił.

- Do widzenia panu - odpowiedziała Wasylisa. I dodała szeptem: - w najczarniejszym kotle piekła, Pet.

Na zewnątrz ochłonął. Chłodne powietrze przeszywało nieprzyjemnie rozgrzaną skórę. Żal dusił piersi. Dlaczego ta wiejska szeptucha miała na niego taki wpływ? Przecież to absurd. Znów czuł się jak mały chłopiec, którego nie lubiła. Jedyne z całej wsi. Owa dobra ludowa felczerka, która ponoć kochała wszystkich mieszkańców. Na niego się uwzięła, mówiła, że nie wyrośnie z niego nic dobrego. A ludzie jej wierzyli, podobnie, jak brali za dobrą monetę historyjki, jakoby rzekomo widziała przyszłość. Gdyby nie siła i wysoka pozycja jego ojca w tamtym czasie w Alistone, szybko uczyniono by z niego kozła ofiarnego za jej sprawą. Przecież to trauma dla bezbronnego, niewinnego ośmiolatka - klątwa rzucona przez złą czarownicę. Na szczęście żadne jej słowo się nie sprawdziło. Pora skończyć z zabobonem. No i papiery, a tak, papiery...

Jeszcze zanim doszedł do samochodu, ukrytego za małym zagajnikiem, wykonał pośpieszny telefon.

- Trzeba zrobić rewizję, przeszukać dom i ogród cał po calu - rzucił do oddanego agenta po drugiej stronie słuchawki. Wszystkie pozory legalności, oczywiście.

Urządzenie tego rodzaju małej mistyfikacji wciąż nie stanowiło problemu dla generała. Po wydaniu dyspozycji poczuł ulgę. Wsiadł do samochodu i odjechał z piskiem opon z tego przeklętego miejsca.

Aby oprzeć się ewentualnym szantażom i przy okazji trzymać rękę na pulsie, Lukrecja zleciła ochronę osób, które można było uznać za

jej bliskie. Nie wymagało to zbyt dużej przenikliwości ani nie kosztowało budżetu państwa zbyt wiele, bo takie osoby były dwie. Jednak czy gdyby mimo zabezpieczeń, doszło do trudnej sytuacji, poświęciłaby je w imię innych celów? Kiedyś nigdy. Dziś musiałaby się nad tym zastanowić, takich dylematów nie da się przecież rozstrzygnąć od ręki. Stanowisko wymaga od niej skrupulatnego ważenia korzyści i strat. Zastanowi się, gdy będzie miała mniej zajętej głowy. Po co jednak kusić los? Za nic nie chciałaby stanąć w realu przed takim wyborem, więc od razu lepiej dmuchać na zimne. Kto wie, co może się zrodzić w szalonych głowach jej oponentów?

Opieka nad Anthonym nie wymagała wielkich starań, a z czasem nawet przestała być potrzebna. Chłopakowi tak bardzo spodobał się wystrój gabinetu, że po dostawieniu wygodnej kanapy za trzysta tysięcy dolarów, interaktywnej jak reszta wyposażenia i niepotrafiącej chyba tylko grać w szachy, po prostu w nim zamieszkał. Wystarczył jeden agent, z nudów asystujący chłopakowi w drobnych codziennych czynnościach i z nim zaprzyjaźniony. Do rangi najgorszej fuchy w całym departamencie urosło zaś upilnowanie pani Huckelberry. Madame otwarcie lekceważyła wszelkie zalecenia ochroniarzy, wyklócała się z nimi i regularnie oskarżała o przekraczanie uprawnień, szpiegowanie i odbieranie jej wolności. Doszło do tego, że choć to bardzo nieprofesjonalne, funkcjonariusze ciągnęli zapałki i w ten sposób ustalali, któremu z nich przypadnie kolejna zmiana w towarzystwie Kornelii. Pozwolił im na to dowódca, po tym, jak cudem mu się wymknęła, uciekając przez okno w męskiej toalecie, w której rzekomo zostawiła torebkę. Strofowana przez Lukrecję twierdziła uparcie, że gdyby wiedziała, że jej spektakularny awans doprowadzi w efekcie do takiego jej, madame Huckelberry, zniewolenia, pierwsza podstawiałaby przyjaciółce nogę; nie takiej bowiem oczekiwała wdzięczności. Wśród coraz bardziej rozdrażnionych jej postępowaniem pracowników ochrony panowała opinia, że można trochę jej ochronę odpuścić, gdyż prawdopodobieństwo, że ktoś napadnie tę babę, jest znikome. Można zaś zakładać, że raczej ona kogoś zaatakuje i to z powodzeniem. Z czasem więc zdarzało im się skracać kosztowną wachtę o kilka godzin, w końcu po cichu z niej rezygnować, wpisując w raporcie, że się odbyła i przebiegła bez zakłóceń. Obie strony były zadowolone, a pani Huckelberry raz nawet w przypiływie dobrego humoru poczęstowała dowódcę kupionymi w markecie ciastkami, przyznając konfidencjonalnie, iż wie, że ta okropna inwigilacja to nie jest jego wina.

Z początkowego chaosu w głowie Horna wyłonił się realny kształt. Najłatwiej byłoby Lukrecję zastrzelić z daleka. Wtedy można by niepostrzeżenie się oddalić. Jednak as wywiadu nie był już pewny swojej snajperskiej celności. Uszkodzony mózg zostawił niewielki ślad w jego niegdyś sokolim wzroku i zręcznej dłoni. Umiejętności powracały powoli, zatrzymując się na długie, wielotygodniowe, beznadziejne przystanki, podczas których ogarniało go zwątpienie, że kiedykolwiek posunie się do przodu. Wtedy zazwyczaj kolejne małe włókno mięśniowe odzyskiwało pierwotne funkcje. Do precyzji wyborowego strzelca było jednak wciąż bardzo daleko. Trucizna nie wchodziła w grę, podobnie jak bliski kontakt. Porozstawiani w każdym miejscu, do którego się ruszyła, zakamuflowani agenci zatrzymaliby go, zanim zza szczelnego szpaleru ochrony dostrzegłby czubek jej niemodnego koka. A on bardzo chciał wyjść z tego cało. Rzucić wszystko w diabły i wieść spokojne życie z daleka od tego szlamu. W jakimś przyjaźniejszym kraju. Może w małej, urokliwej, greckiej wiosce. Pod niebem, na którym nigdy nie zachodzi słońce. Nad brzegiem przejrzystego jeziora pełnego ryb, które można łowić od świtu. Albo nad morzem. Na zasłużonej, choć wczesnej emeryturze. Z jego obecnym stanem zdrowia – nawet na rencie. Emerytura w młodym wieku była zresztą według niego świetnym pomysłem. Wtedy właśnie należałoby się nią cieszyć i korzystać z wolnego czasu. W starszym wieku marnuje się ją w kolejkach do lekarzy. Dojrzał do tego, żeby przestać rzucać się na kolejne karkołomne zadania. Nikt mu ich zresztą nie powierzy. Tylko ten jeden, ostatni raz. Sprawa honorowa, której nie wolno odpuścić. Nie zasnąłby spokojnie, nawet w najwygodniejszym hamaku rozpiętym między drzewami pod najbardziej błękitnym firmamentem świata. Lukrecja zrobiła z niego – czy raczej on pozwolił zrobić z siebie – nieudacznika. Zwykłego durnia. Nie może dopuścić do tego, by do końca życia pozostać nim również we własnych oczach. Odzyska równowagę, gdy ona straci swoją. Tylko wtedy.

Najchętniej udusiłby ją gołymi rękami. Na przemian rozluźniałby i zaciskał uścisk, przedłużał tę chwilę, aż pod palcami zagrzechotałaby grdyka, a piękne niegdyś ciało osunęło się z hukem na podłogę, jak beładny worek cementu. Nie mógł darować sobie widoku przerażenia w jej oczach, przekazania pozdrowień zza grobu, na które z pewnością podświadomie czekała. To rodziło dodatkową trudność. Zawsze miała nieprzeciętną intuicję. Domyślał się, na jak szeroką skalę musiała zlecić poszukiwania jego ciała. Już to samo dawało mu satysfakcję. Duży

zakres wyklucza dyskrecję. Na czym zależało jej bardziej? Może sam ją zapyta? – uśmiechnął się mściwie pod nosem.

Skoro wbrew wszystkiemu żyje, ktoś jest mu coś winien. Gdyby ta osoba miała wątpliwości, mógłby ją przekonać małym kłamstwem. Wszystkie szatańskie plany są zazwyczaj proste, żeby nie powiedzieć – prostackie. Historia uczy, że brutalna siła roznosi w pył najbardziej zaawansowane cywilizacje. Stając się wysublimowane – słabną. A kto jak kto, ale on potrafi czerpać praktyczne nauki z przeczytanych książek historycznych. Niegdyś był to jego ulubiony gatunek literacki. Pochwalił się w duchu za spryt.

Wystarczy jedynie przekazać Kornelii Huckelberry wiadomość od jej zaginionego syna.

Kiedyś mieszkały tu razem i to były dobre czasy. Surowe i niebezpieczne, ale zapadające głęboko w serce. W każdym razie Kornelii, bo ona jeszcze zachowała jego szczątki. Pompa, przetaczająca krew Lukrecji, zamknęła się na ten opuszczony dom, w którym latami czekały na wyzwolenie, na odnalezienie Emila, na blask nadziei. Zawsze to pani Huckelberry dbała o niego bardziej, choć trzeba uczciwie przyznać, że nie miała do tego zamiłowania, cierpliwości ani talentu. Oficjalnie występowała czasami w roli gospodyni Anny Litewski. Tak się umówiły dla wygody. Po co tłumaczyć się ze zbyt wielkiej zażyłości. Zazdrośników i ludzi nieżyczliwych nie brakuje, zwłaszcza w otoczeniu wyrzuconej z roboty agentki. Trzeba przyznać, że wtedy i tak wszystko jako tako wyglądało. Stary, duży budynek, z nieproporcjonalnie małymi oknami zasłoniętymi grubymi okiennicami, które w razie czego dałyby radę zatrzymać pocisk. Wewnątrz dość chłodno i nieprzytulnie. W chłodzie człowiek wolniej się starzeje, choć cera Kornelii nie dowodziła tego. Mimo to opowiadała czasem Annie historie o dawnych pięknościach trzymających pod łózkami miski z lodem, dzięki czemu w wieku lat osiemdziesięciu wyglądały na trzydzieści. Upierała się nawet, że sto lat temu mieszkały w ich domu. Przeczytane książki myliły jej się czasem z rzeczywistością. Rozległy, zapuszczony ogród, bliskość lasu. Czasami pani Huckelberry zabierała się za pielienie, dla uspokojenia nerwów, jak mówiła Lukrecji, ale słabo jej szło odróżnianie chwastów od roślin szlachetnych. Bywało więc, że w zamyśleniu nad niesprawiedliwym losem syna i własnym ogołacała z jeszcze nierozkwitniętych kwiatów skromną rabatkę, pozostawiając obok swobodnie pleniące

się pokrzywy i osty.

- Tak by nikt nie zrobił! - śmiała się Lukrecja.

- W sumie może lepiej, że je wyrwałam - filozofowała rzekoma gospodyni. - Nie wiadomo, kto i kiedy je posadził. Może czyjaś zła ręka.

W gruncie rzeczy obydwu paniom na tym nie zależało. Dom pełnił funkcję schronu, był ich azylem na nieprzyjaznej ziemi.

Tym bardziej dziwiła lekkość, z jaką Anna go porzuciła. Jasne, że ma mnóstwo obowiązków i wygodniej oraz bezpieczniej jest być stale blisko siedziby SAW, pod ochroną tych nieznośnych, pyszałkowatych, wszędobylskich kapusiów w garniturach, ciemnych okularach i ze słuchawkami w uszach, których Kornelia skutecznie przepłoszyła. Dobrze wiedziała, że podśmiewali się z niej za plecami, nawet dowódca. Niby miała to w nosie, ale tym bardziej czuła się niekomfortowo w ich przymusowym towarzystwie. Nie chciała się do tego przyznać, ale zdumiewała ją oschłość, z jaką Anna odcinała się od wszystkich miejsc i osób z przeszłości. Odkąd została szefową SAW, jej stopa nigdy nie przestąpiła tego progu. Huckelberry przeciwnie, wracała chętnie, by w samotności snuć wspominki i opracowywać nowe strategie odszukania potomka. Trwało to już wiele beznadziejnych lat, więc powoli odwracała oczy od rzeczywistości i kierowała je w zaświaty, szukając w nich ratunku, wsparcia, pomocy lub chociażby najmniejszej podpowiedzi. Zjawy i wyobrażenia przeplatały się i mieszały z trzeźwym osądem spraw, a nabyta we wczesnej młodości skłonność do korzystania z wróżb i odprawiania guseł rosła i ewoluowała w stronę naukowego pozyskiwania podstawowych informacji. Na przemian wzywała na pomoc świętych i przeklętych na wieki, bez strachu, gdyż dokładnie zbadała już piekło, a nic, co znane nam od podszewki, nie jest naprawdę straszne. I zapewne z tego powodu, siedząc samotnie przy stole, w pustej kuchni, przy zgaszonym świetle, nie zdziwiła się, kiedy za oknem ujrzała ducha.

Długo patrzyli na siebie w milczeniu, oboje nieruchomi i wyczekujący. Mimo upływających minut, duch nie zdecydował się przeniknąć do wnętrza przez ścianę ani przez szybę. Zamiast tego zapytał w końcu:

- Wpuści mnie pani?

Nie ma sprawy. Kobieta ruszyła do drzwi. Paul Horn odetchnął, ciesząc się, że w pierwszym szoku nie krzyknęła ani nie wezwała ochrony. Obyło się bez alarmu, który z miejsca wywołałby poważne

kłopoty.

Pani Huckelberry odsunęła solidne, metalowe zasuwki w trzech parach drzwi. Budynek był małą warownią i nieproszonemu gościowi niełatwo byłoby sforsować jego z pozoru proste zabezpieczenia. Bez cienia niepokoju przyglądała się niezdrowo bladej twarzy i wychudzonej sylwetce kapitana.

- Masz do mnie pretensje, synu? Czy za mało się za ciebie modłę? - zagadnęła przybysza.

Paula zaskoczyło to powitanie. W zamglonych oczach kobiety dostrzegł zwiastun postępującego obłądu.

- Nie chciałam cię zabić - wyjaśniła przeproszającym tonem. - Wolałabym, żebyś żył.

- Hej, pani Huckelberry! - Zamachał jej przed twarzą rękami. - Ja żyję! Cóż to, nie poznaje mnie pani?

Dotknęła go niedowierzająco.

- Zimny jesteś jak trup - nie dawała się przekonać.

- Bo zmarłem cholernie, na dworze wieje i mży. Poczęstuje mnie pani herbatą?

Rozdział 3

CIOSY NA OŚLEP

Od kilku nocy Wasyliśa nie mogła spać. Zapadała w urywane drzemki, budziła się rozdrażniona i mokra od potu. Z kątów chaty wyzierały na nią niegdyś znajome oczy.

- Czy już przybyliście po mnie? Czy nadszedł mój czas? - pytała ni to cienia babki, ni to małej siostrzenicy zmarłej blisko siedemdziesiąt lat temu na odrę. - Wołacie mnie? Co zwiastujecie? -

Dusiło ją w piersiach. Strzyga? Topielica? Słowiańska planetnica z bagnisk? Mieszało jej się wszystko, kłębiło pod otumanioną czaszką.

Ale przyszedł ktoś inny. Nad ranem ostro zapukali do drzwi. Trzech mężczyzn z odznakami na piersiach.

- Dzień dobry, obywatelko!

- Dzień dobry! A wy na co chorzy? Somnambulizm? - zapytała fachowo Wasyliśa. - To wystarczy ziele męczennicy...

- Mamy nakaz przeszukania - przerwał jej niegrzecznie najniższy mężczyzna. - Niech obywatelka nie utrudnia, bo będziemy musieli użyć kajdanek.

Wasyliśa oniemiała.

- W moim domu kajdanek? A poszli precz, swołocz jedna! - zaczęła rzucać przekleństwa we wschodnim języku, którego nie rozumieli.

Jeden z mężczyzn ujął ją za ramiona i siłą posadził na kulawym krześle. Później szybko i z wyraźnym obrzydzeniem wytarł ręce o brzeg płaszcz. Staruszka była zapyziała i brzydka, jej koszula nocna aż kleiła się od potu. Drżała z zimna i złości. Miał wrażenie, że jego ręce zapadły się na głębokość około dwóch milimetrów w gęstą maź, jaką pokryte było jej ciało i strój. Kraciasta chusta, w którą zawsze się owijała, leżała zmiędlona na podłodze.

Mężczyźni przystąpili do rewizji. Przeglądali skromne szafki,

poodsuwali je od ścian, porozbijali półki. Wylewali zawartość kolorowych słoików. Rozszarpywali wianki skomponowane z pracowicie dobranych ziół.

- Co to jest? Prowadzi obywatelka plantację marihuany? Ile tu tego zielska? - pytał z rozdrażnieniem średni, krępy i najbardziej zniecierpliwiony. - Udusić się można. Zaczęli wyrywać deski z podłogi. Opukali blaszaną balię. Wielkim młotem rozwalili piec. Przekopali ogród. Wasylisa siedziała niewzruszona.

Chcieli dać jej coś do zjedzenia i picia. Odmówiła. Wokół krzesła nasikała sporą kałużę, więc nie podchodzili i wstrzymali się z wysuwaniem dalszych propozycji.

Pod wieczór zaczęli zrywać słomiane poszycie z dachu. Ostukali belki stropowe. Wypędzili z kurnika zdeorientowane i gdaczące przeraźliwie kury. Wyrzucili nawóz, śmierdzący jak nie wiem co, klnąc przy tym niemiłosiernie i zasłaniając nosy starymi bluzkami Wasylisy, co było niewiele lepsze.

Nieludzko zmęczeni, cuchnący i zrezygnowani spojrzeli na pobladałą staruszkę. Świdrowała ich wzrokiem.

- Co się ta wiedźma tak patrzy? - rzucił najwyższy, wyczerpany i zły, że niczego nie znaleźli. Szef nie będzie zadowolony.

- Nie trzeba było samej oddać po dobroci? - rzucił w poczuciu bezsilności i trochę chyba wyrzutów sumienia.

Zostawili ją skuloną na zydlu.

- Niczego tu nie było, panie generale - meldował najniższy przez telefon.

- Jesteście pewni?

- Na sto procent.

- Wracajcie.

Ruszyli z ulgą i wizją szklaneczki czegoś mocniejszego wychylonej wieczorem przed kolorowym ekranem telewizyjnym. Nie ujechali daleko. Może kierowca po całym dniu harówki był zbyt zmęczony, żeby prowadzić, albo nagle z przydrożnego rowu wypłynął język wieczornej mgły. Niewykluczone, że pod koła wyskoczyło znienacka leśne zwierzę, które zniknęło później bez śladu w poplątanej gęstwinie krzaków. W każdym razie na prostym odcinku drogi, tuż po minięciu zagajnika, do którego Twigg doszedł, wracając na piechotę z krzywej chatki, ich samochód z niewiadomych przyczyn uderzył w jedyne rosnące na poboczu drzewo.

W tym samym czasie generał poczuł się słabo. Z trudem rozluźnił

krawat, łapiąc otwartymi ustami urywane hausty powietrza. Z łękiem stwierdził kolejny nocny nawrót przewlekłej choroby.

W zrujnowanym domu zszokowana Wasylisa podniosła się wreszcie. Z bólem rozprostowała zeszywniałe członki, macając lewą ręką pod koszulą przytroczoną sznurkiem do zziębniętego brzucha cienką, zieloną, papierową teczkę.

- Nie da się czegoś z tym zrobić? Nie próbowałaś? - dopytywał Ant Annę Litewski.

- Żartujesz? Przeszperałyśmy wszystko, co możliwe. Kornelia szaleje i szuka na tym i tamtym świecie, a ja systematycznie sprawdzałam wszystkie dostępne poszlaki. Owszem, pojawił się ślad. Sama już nie wiem, co dla niej lepsze. Wyglądało na to, że synek żyje, w każdym razie żył wtedy, cztery lata temu. Miał jednak za nic cierpienie matki. Uciekł przed wierzycielami, przypuszczalnie faktycznie musiał to zrobić, naciął na kasę paru mocnych waśniaków, zapewne wkrótce zakopaliby go żywcem. Co nie zmienia faktu, że spodobało mu się życie w Argentynie, gdzie zresztą też zaczynał już być spalony. Tango, cygara, muzyka... Przez cały ten czas nie dał matce najmniejszego znaku życia.

- Szuja z niego - podsumował Ant, który w zasadzie nigdy nie wypowiadał się o innych krytycznie.

- Szkoda mi Kornelii.

- Mnie też. Jeszcze jak!

- Jednak trzeba jej powiedzieć, przecież trwa w piekle.

- Zrobiłabym to już dawno, jednak ślad po Emilu znów się urwał. Tamtejszy rezydent stracił go z oczu. Nie chcę rozbudzać w niej nadziei, na wypadek, gdyby coś mu się w międzyczasie przytrafiło, a o co przy takim stylu życia nietrudno. Nie miałam też czasu dalej sprawdzać, sporo się działo, tyle innych kłopotów.

- Ale teraz poszukasz - stwierdził bardziej z naciskiem, niż zapytał Anthony. - Poszukamy razem.

- Dobrze - zgodziła się Lukrecja. - Pora ostatecznie pomóc naszej przyjaciółce.

Libor Kovacz nie znosił być do czegoś przymuszany. To, że przyprowadzono go na siłę i postawiono wbrew jego woli przed

paszczą lwa, odebrał jako obrazę. Zbyt jednak był cwany i doświadczony, żeby nie wiedzieć, że trzeba się dostosować do postanowień silniejszych. Do czasu.

Docent prezentował się niczym archetypiczny przedstawiciel świata nauki. Sympatyczna, skupiona, lekko nalana twarz, masywne oprawki okularów. Do tego unoszące się coraz wyżej zakola i nieco sfatygowana, kraciasta marynarka. Dopełniały one wizerunku miłego człowieka, rozmyślającego nad zagadnieniami natury fizycznej bądź filozoficznej. Tylko buty miał drogie - z cielęcej skóry, szyte na miarę, błyszczące luksusem. Pracownika wyższej uczelni nie byłoby na nie stać.

Wyciągnął rękę do oszołomionego Słowaka. Gdy ten podał swoją, kilkakrotnie serdecznie nią potrząsnął.

- Libor, przyjacielu! Cieszę się że wpadłeś! - zawołał z szerokim uśmiechem. - Napijesz się whisky?

- Chętnie, trochę - odburknął Libor.

- A czemu tylko trochę?

Gospodarz nalał mu sporą szklanke, sobie drugą, a Koniowi podał trzecią, wskazując jednocześnie gestem, by wyszedł. Naprawdę uprzejmy facet.

- Ma pan do mnie jakiś interes? - nie wytrzymał Libor.

- Zaraz interes. Chciałem spytać, co u ciebie słychać. Nie jesteś stąd, prawda? Chyba niełatwo jest urządzić się na obcej ziemi?

- Nie narzekam.

- Tak, tak, pewnie. Twardziel z ciebie. Radzisz sobie świetnie. Ale konszachty z Krogulcem... Wiesz, on jest mało wiarygodny.

Słowak wzmógł czujność.

- Słyszałem, że jesteś bardzo zdolny. I sprawny.

- Kto tak mówi?

- No nie Krogulec. On nigdy nikogo nie pochwali, jak to zazdrosny człowieczek. Rośnie na krytyce innych. Zresztą i tak za chwilę będzie skończony. Wiesz, przepadł mu towar na parę milionów dolarów, a że nie ma zapasów, raczej nie wypłaci się kolegom. A wtedy... Co ci będę tłumaczył. Już po Krogulcu i wszystkich jego kompanach - wwiercił się wzrokiem w nieruchomą twarz Słowaka. - Chyba cię wyciągnąłem w ostatniej chwili. Ładunek do tamtej knajpy już nigdy nie dojedzie, a wierzyciele Krogulca owszem. Kto nie zrozumiał w porę... Nie to, że chcę, żebyś mi dziękował.

- Dziękuję, panie Docencie.

- Nie ma sprawy, Libor. Przyjaciele muszą się wspierać. Zawsze możesz na mnie liczyć. Ja potrafię docenić talenty.

- Dziękuję, panie Docencie.

- No dobra. Zagramy w otwarte karty. Chcesz pracować dla mnie?

Młody mężczyzna doskonale wiedział, że prawidłowa odpowiedź jest tylko jedna. Każda inna byłaby z pewnością ostatnim ustosunkowaniem się do jakiegokolwiek kwestii.

- Bardzo chętnie, panie Docencie.

- Bracie! - Okularnik poklepał go jowialnie po plecach. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Zresztą nie myśl, że ciągnąłem cię tu na jałowe pogaduszki. Mam konkretną propozycję.

Libor podświadomie był jej niechętny. Nie miał jednak wyjścia. O Docencie szeptano, że jeszcze parę trupów i świństw, a przebije samego legendarnego Tao Guna. Na razie znajdował się tuż pod szczytem przestępczej drabiny i wszystko wskazywało na to, że raczej wlezie o szczebel wyżej, niż potknie się i spadnie.

- Montuję poważną ekipę. Widzę w niej miejsce dla ciebie. To nie zabawa ani banał z narkotykami czy hazardem, przedpotopowymi zagraniami dobrymi dla głupców albo starych pryków, prawda?

Kovacz nie wiedział.

- Jaka byłaby moja rola?

- Znacząca, Libor, znacząca. Jeszcze w życiu takiej nie miałeś. Nie szanują cię dostatecznie, co? Nie martw się. Widzisz, świat jest pełny durniów i nieudaczników, ale na szczęście trafiłeś na mnie. Ja widzę w ludziach ich prawdziwe oblicza, niełatwo mnie zwieść. - Ścisnął niespodziewanie ramię mężczyzny w miążdżącym geście.

- A we mnie, co pan widzi, panie Docencie?

- Przyszłego agenta SAW.

Libor skrzywił się gwałtownie, a cała jego postawa wyrażała sprzeciw, za który natychmiast sam się w duchu skarcił. Mógł go drogo kosztować.

- Daj spokój, coś ty taki dziki? - tonował Docent. - Dobrze, że ich nie lubisz, za to też cię cenię. Ale nie jesteś chyba tak naiwny, żeby sądzić, że z nimi walczy się tylko bronią. Potrzebujemy wpływów wewnętrznych. Po ostatnich wydarzeniach trochę się wykruszyły. Agencję trzeba od nowa zinfiltrować. Teraz rządzi nią ta nowa, jak jej tam... mniejsza z tym. Wejdiesz w struktury, pójdziesz w górę. To lepsze niż wojenka na ulicy. Odbudujemy, poszerzymy strefę oddziaływania, rozumiesz Libor?

Rozumiał. Aż za dobrze.

- Ale jak? Jakim cudem? I dlaczego wybrał pan właśnie mnie?

- A żadnym cudem. - Docent trzepnął ręką w rozłożoną na biurku gazetę. - SAW ogłasza otwarty nabór na podstawowych funkcjonariuszy. Kierowców, wartowników itp. Z twoimi warunkami

i głową zgłosisz się, i tyle. Dyplom ukończenia politechniki odbierzesz na dole od Traskalskiego. Nawet nie wiesz, jak on się zna na dokumentach.

Słowak nieumiejętnie próbował ukryć zdziwienie. Boss to zauważył.

- Tak, tak, nie dziw się. Każdy człowiek ma ukryty potencjał. Czytam to, jak z otwartej księgi. Dlatego jestem szefem - zmrużył oczy, napawając się brzmieniem wypowiedzianych słów, i sięgnął po cygaro.

- Ty też masz coś cennego. Nie jesteś stąd. Nie zostawiłeś śladów, po których można cię namierzyć. Popełniłeś u nas raczej niewiele przestępstw. Gdy będą cię sprawdzać, niczego nie znajdą. Bez problemu przejdziesz procedury weryfikacyjne. Słabe je stworzyli, zarozumialcy. Dziurawe sita, że też nie mają wstydu brać na nie publicznych pieniędzy i to z naszych podatków. Skandal! -

Widząc brak zrozumienia, zmienił temat. - Nie przez przypadek wołają na ciebie Przybłęda, prawda? - Oczy Docenta załśniły stalowo za grubymi szklami.

- Nie lubię tego przezwiska - odpowiedział hardo Libor.

Docent wyciągnął przed siebie otwartą dłoń i gestem dał mu znak, żeby się nie denerwował.

- Doskonale to rozumiem - stwierdził, wypuszczając z ust kłęb gęstego dymu. - Też bym go nie znosił. Nie cierpiał. I dlatego, od teraz, nikt już nie ośmieli cię tak nazwać. Bez urazy, Kovacz.

Czyż to nie było to, o czym w duchu marzył? Propozycja Docenta spadła Liborowi z nieba, fart, w jaki trudno uwierzyć. Szansa realizacji planów nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Czemu więc się nie ucieszył? Dręczył go niepokój, a nawet - gdyby umiał go odczuwać - strach? Czy czasem nie dzieje się tak, że kiedy nasze pragnienie niespodziewanie zaczyna się spełniać, nabiera realnych kształtów, nagle obawiamy się tego, co zobaczymy? A jednak Kovacz czuł, że za tym przypadkiem kryło się coś więcej...

Być może Wasylisa nie знаła słowa „medytacja”, co nie znaczy, że nie potrafiła medytować. Zapadała w głęboki trans, którym nie wzgardziłby najwytrawniejszy jogin. Robiła to na zawołanie, bez względu na panujące okoliczności, i trwała w skostniałym ciele, zatopiona wewnątrz samej siebie tak długo, jak tylko potrzebowała. Owa umiejętność pozwoliła jej przetrwać bandycką rewizję w domu,

bez chwili słabości i proszenia oprawców o łaskę. Stan ten przedłużył się wtedy jednak tak bardzo, że trudno jej się było z niego wydostać. Kiedy wyszli, nie wpadła w rozpacz nad zrujnowanym domostwem, nie przyszła jej do głowy myśl, że może nie da rady go odbudować lub choć doprowadzić do ładu, nie zmąciło jej spokoju nagłe uczucie rezygnacji. Było jej tylko zimno i czuła się osłabiona. Przez cały dzień nie jadła i nie piła, co dla kobiety w jej wieku jest zdecydowanie gorsze niż dla młodych. Pozostawała w trudnej do nazwania malignie, ale chciała się ogrzać i trochę odpocząć. Nawet to okazało się niełatwe. Jej wysuszone ciało dosłownie zapadło się w rozprute łóżko, sterczące sprężyny uwierały niemiłosiernie chude, okryte cienką skórą kości. Chciała się okryć pierzyną, lecz z podartej i niedającej ciepła poszewki wysypała się większość nieświeżego pierza i rozleciała po całym domu, wciskając się w każdy zakamarek. Staruszka pomyślała, że poleży tylko chwilę, ot tak, by nabrać siły, a potem zawinie się w kraciatą wełnianą chustę, leżącą zbyt daleko, by teraz po nią sięgnąć. Musiałaby znów się podnieść, ale to zaraz, zaraz... Leżenie pomogło. Robiło się coraz cieplej i lżej. Ręce przed momentem zgrabiały, rozgrzały się i Wasyliśa mogła przysiąc, że jakoś wygładziły. Zniknęły z nich bruzdy i starcze plamy, a nawet blizna po głębokim oparzeniu, kiedy to wiele lat temu nieuważnie rozgrzewała kamienie nad ogniskiem, by je przyłożyć na ropnie jakiemuś cierpiącemu nieszczęśnikowi. Kosmyk siwych włosów, który zaplątał się na policzku, mniej się srebrzył, bardziej złocił, tak! Zmienił kolor na blond, tak jak niegdyś, kiedy? Osiemdziesiąt czy sto lat temu? Nie pamiętała. W ogóle zrobiło się przyjemniej. Rozwalone palenisko przestało cuchnąć sadzą, a dookoła roznosił się cudny zapach. Fiołków, róż? Nie, maciejki. Niepozornego, szarego kwiatuszka, żadna z niego ozdoba, ale zapach słodki, upajający. I tylko wieczorem. A więc to już wieczór nadszedł, bo maciejka pachnie... Przez okno wlewała się fioletowa luna. Błękitniała, różowiała, żółciła się, połyskiwała. I lniana koszulina Wasyliśy nie jest już wystrzępiona, szorstka i szara, ale delikatna i śnieżnobiała, aż razi w oczy; i miła w dotyku, niczym jedwab. Nagle coś po stokroć delikatniejszego i puchowego musnęło jej policzek, lico nagle młode i rumiane. Czy to skrzydło anioła? Jak pięknie w tej chacie, jak widno. Jej oczy, przyćmione nieco kataraktą, znów widzą wszystko wyraźnie. I słyszy... tak poznała. Jest pewna. To ten śpiew, z którym się zetknęła jako dziecko jedyny raz w życiu. Cudowny, niebiański głos rumuńskiej primadonny, którą pop, nie wiadomo skąd, zaprosił do ich malutkiej cerkwi, gęsto zdobionej cudownymi ikonami. Latami po tym wydarzeniu

wciąż chwalił się, że przybyła w ich skromne progi, będąc przejazdem w okolicy. Uratował ją miejscowy kowal i naprawił pęknięte koło karocy, którą udawała się na koncert do stolicy. Z wdzięczności zaśpiewała im na porannej mszy jak słowik, aż pop się popłakał... I wszyscy... Żeby tylko nie uronić ani nutki, ani dzwoneczka z tego boskiego trellu... Na twarz starej kobiety wypłynęły błogość i ukojenie. Uśmiechała się i choć nie miała pod ręką lustra, czuła, że jej wargi są karminowe, a zęby równe i lśniące... A potem ktoś zawołał, tylko nie poznała kto. Matka, ojciec? Musiała pójść i sprawdzić...

- Chcę z nią tylko porozmawiać - przekonywał Paul panią Huckelberry, która na zgodę postanowiła poczęstować go mlecznymi cukierkami, zadowolona, że znalazła je na najgłębszej półce kuchennej szafki. Tuż za miedzianym, okopconym rondlem i nieco zardzewiałym, owalnym sitem, służącym do przesiewania mąki prababce byłej właścicielki. Przezornie zerknął na opakowanie. No tak, termin przydatności do spożycia upłynął cztery lata temu. Podziękował serdecznie, przekonując, że jest uczulony na laktozę. Kornelii, jak zwykle, było wszystko jedno.

- Nie lubię kłamstwa - zaprotestowała. - W sumie to wszystko przez ciebie. Już wtedy chciałeś ją wykończyć i gdyby nie ja... Nie zamierałam ci zrobić krzywdy, ale sam wiesz, że nie miałam wyjścia. Twardy jesteś. Teraz to dopiero musisz pragnąć zemsty. Po tym, co przeszedłeś, zabić to za mało, co chłopaku? Mam rację? Czytam to z twoich zwariowanych oczu.

Rozmowa o dawnych dziejach, związanych z haniebną voltą Lukrecji, rozdrażniła kapitana.

- Ależ droga pani - zachnął się. - Nie wytykajmy sobie nawzajem szaleństwa. Obawiam się, że to do niczego nas nie zaprowadzi, co najwyżej wzajemnie obrazimy się na siebie.

- Elegancki mężczyzna - uśmiechnęła się. - Takich lubię. Miałam nadzieję, że łączy was z Anną coś poważniejszego. Przekonywałam ją, że warto z tobą spróbować. Szkoda.

- Ależ spróbowała. Nawet jej chyba smakowało. Niestety niedługo.

- Daruj sobie wulgaryzmy. Jak ci krótko, zapytaj siebie, dlaczego? Nie zwalaj winy na innych. Też niezły z ciebie gagatek. Ale że przeżyłeś, no, no...

- Zdradzi mnie pani?

- No pewnie. Zaraz zdradzę, powiem jej po prostu. Jutro rano.

- Raczej jej to nie ucieszy. A na mnie wyda pani wyrok śmierci. Tym razem skuteczny.

- Co za presja! A jeśli i nie tym razem? Śmierć się ciebie nie ima, synu. Może znów ci się uda? - odpowiedziała bez przekonania.
- Nie pozostawiasz mi wyboru. Lubię cię, ale wolę wydać wyrok na ciebie, niż na nią, skoro już tak dramatyzujesz. Swoją drogą agent nie powinien popadać w taką egzaltację. Sam się wepchnąłeś. Ja cię nie zapraszałam.

- Nie oberwałem aż tak mocno w głowę, żeby zgłupieć na tyle, by porywać się na życie wielkiej szefowej SAW. Jej ochrona dopadłaby mnie w minutę. Na pewno ma rozkaz natychmiastowej likwidacji, wydany na wszelki wypadek przez pani uroczą przyjaciółeczkę. Strzał bez ostrzeżenia w ferworze walki. Przypadek. Konieczność. Ofiara, o pardon, sprawca niezidentyfikowany.

- Jak mogłeś, do tego stopnia, stracić dla niej sympatię? - przerwała naiwnie pani Huckelberry, a Horn spróbował ukryć narastającą złość. Z wyrachowania spuścił nieco z tonu.

- Może mi pani nie uwierzy, ale odkąd - nie wymawiając, za pani przyczyną - prawie umarłem, zacząłem bardziej cenić każdy oddech. Nie chcę go za wcześnie stracić. Mam zamiar napawać się świeżym powietrzem jeszcze przez długie lata.

- W to akurat wierzę - mruknęła - ale czego właściwie ode mnie chcesz?

- Skontaktuj mnie z nią, zaaranżuj małe spotkanie. - Kapitan skrócił dystans. Gromki śmiech kobiety odbił się od zakurzonego zyrandola i zadźwięczał w zatłuszczonych szklankach nierówno ustawionych w kredensie.

- Nie wiem, czemu jest ci tak wesoło, Kornelio - syknął. - Powinnaś raczej płakać nad nielojalnością koleżanki. Nad jej nieczułością i dwulicowością.

- Wasze sprawy załatwiającie między sobą. W moim wieku mam już za sobą kłótnie kochanków.

- Nie, Kornelio, nie o to chodzi. Ona wie, gdzie jest Emil. Zna miejsce jego pobytu od lat. Czujesz, że twój syn żyje, prawda? Więc dlaczego ci nie mówi? Woli trzymać cię przy sobie jak wiernego psa. Tropiącego ogara na łaśce jej smyczy. Wysłanniczkę do specjalnych poruczeń, na przykład zabicia niewygodnego świadka.

Kiedyś, dawno temu, kazano mu wyrwać paznokcie przesłuchiwanemu. To była próba, element szkolenia, test lojalności. Później dowiedział się, że podobne stosuje mafia. Z tą różnicą, że oni są źli, a zwierzchnicy Horna dobrzy. Wewnętrznie nie godził się z tym, ale poszło gładko. Sine blaszki podważone

cienkim dłutem odskakiwały łatwo. Gość, wielki, straszny twardziel, siedział w klatce w lesie, na terenie tajnego, przenośnego więzienia. Nawet nie syknął. Był terrorystą, mordercą setek ludzi. Przyznał się po dwóch. Paul oczekiwał komentarza od przełożonych, ale nikt nigdy niczego nie powiedział. Sprawy nie było. Nie wiadomo dlaczego teraz poczuł się gorzej niż wtedy.

- Do tego tylko się nadajesz, Kornelio. - Nie zdołał powiedzieć więcej, bo siarczasty policzek niemal okręcił jego głowę wokół szyi. Pani Huckelberry wymierzyła cios otwartą dłoń, błyskawicznie, z paraliżującą siłą. Z rozciętych warg pociekła krew, oko zaczęło niepokojąco pulsować. Horn uśmiechnął się i wstał z miejsca. Gwałtownie puchnąca połowa twarzy ograniczała mimikę i upośledzała wymowę.

- Czekaj, wredny, fałszywy kłamco. - Wielkie ciało kobiety napierało na niego bezpardonowo, gotowe do bójki. - Skąd wiesz? - spytała i jednocześnie zauważył, że jej ręka przesunęła się w kierunku leżącego na blacie noża. Nie zamierzał czekać. Czuł, że właśnie obudził potężnego, nieprzewidywalnego demona. Niech się dzieje, co chce!

- Anna mi powiedziała - wyjaśnił, jednocześnie wykręcając jej dłoń w przegubie. Kopnęła go z całej siły w udo. Nie zwolnił uścisku. Rozległ się chrzęst wykręcane go stawu i łupnięcie kolejnego potężnego kopniaka. Tym razem kolanem w brzuch, aż stracił oddech, ale jeszcze mocniej nacisnął i teraz chrupnęła kość. W ostatnim momencie uchylił się, gdy dwa stalowe, rozczapierzone, grube palce, z impetem próbowały trafić w jego oczodoły. W normalnych warunkach z łatwością poradziłby sobie z niezwykłymi gabarytami wspartymi furią tej osobliwej kobiety. Teraz zmuszony był stwierdzić, że przebyta choroba poczyniła niepowetowane szkody w jego organizmie. Przestraszył się nawet, że w pewnym momencie to ona go pokona.

- Przestańmy - zaproponował.

- Udowodnij! - wydała krótki rozkaz.

Jak na komendę, odsunęli się od siebie w czujnym napięciu. Starał się ukryć ból, który przenikał nie do końca wyleczone ciało. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, były nowe urazy.

- Pokażę ci.

Sam się zastanawiał, co dalej. Co jej niby zademonstruje? Improvizował. Wyśmiałby człowieka, który pojawiłby się u niego z taką wiadomością. Miał jedynie krótki liścik, zapis na serwetce, która została mu w kieszeni. Cienka bibułka w niebieskie kwiatki przetrwała wszystko, nie wyrzucił jej, bo sparaliżowany, nie mógł. Później wielokrotnie czytał te słowa, karmił nimi swoją nienawiść;

i nagle mogą oddać mu przysługę. Dotyczyły czegoś innego, prywatnej sytuacji, ale będzie się upierał, że skreślone ręką Anny bazgroły: „Znalazłam! Mam go!” – odnoszą się do syna Kornelii. Prawda zaś była taka, że chodziło o zgubiony kolczyk, prezent, który w chwili uniesienia wypiął się z ucha Anny i wpadł pod łóżko. Miał do niej żal o zgubę, bo choć nie był małostkowy, to kolczyk miał znaczenie. To była taka ich obrączka na niby. Przeklęte czasy i jego sentymentalna głupota! Zdawał sobie sprawę, jaka to bzdura i jak grubymi nićmi jest szyta. Ale znał Kornelię i jej paranoję. Ostatecznie dla babki, która wywoływała duchy, kawałek namacalnego papieru był całkiem niezłym konkretem.

- To nic nie znaczy - zauważyła jednak przytomnie.

- Czyżby? Przyjrzyj się i zastanów - blefował.

Jak nikt znała charakter pisma generał Litewski. Mocniejszych dowodów brak. W historię - prawdziwą - z czasów jego romansu z Lukrecją mogła uwierzyć lub nie, to były tylko słowa. Ale nawet słaba trucizna wsączona w mocno zużyte, chore i stęsknione serce potrafi rozerwać tkanki i przedostać się prosto do mózgu. Udawał, co mu zostało. Tak mocno wczuł się w częściowo prawdziwą opowieść o tym, jak Anna natrafiła na ślad Emila, że sam prawie w nią uwierzył. Kiedyś popierał jej decyzję w tej sprawie, dziś nigdy by się do tego nie przyznał. Mówił z żarem, lecz ogień rozniecały jego własne sprawy. Przekonywał panią Huckelberry, że Lukrecja zachowała wiadomość dla siebie, rzekomo nie chcąc ponosić sporych kosztów potwierdzenia za granicą tożsamości zaginionego mężczyzny.

- Nie miałyście wtedy zbyt wiele, prawda? Przypomnij sobie - naciskał na Kornelię. - Anny nie było stać - niby usprawiedliwiał obłudnie. - Poza tym obawiała się, że rozbudzi twoje nadzieje, a do Emila nie uda się dotrzeć. I tak przegapiła odpowiedni moment.

Umiejętnie manipulował faktami, zachowując w nich porozrzucane elementy prawdy. Rzadko okazywaną przez Lukrecję szlachetność, przekształcił w oręż skierowany wprost w nią. Cóż, każdy dobry uczynek zostanie kiedyś ukarany. Kto to powiedział? Nieważne. Może diabeł. Gospodyni szarzała i malała z każdą chwilą. Pod koniec jego tyrady wyglądała, jakby miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Zastanawiał się gorączkowo, czy pani Huckelberry kupiła historyjkę. Była na to szansa. Zawsze ufała zmarłym, a zwątpić w zmartwychwstałego to ciężki grzech, przekonał się o tym już święty Tomasz.

Zmarniała i osłabiona pozwoliła mu odejść, a raczej obolałemu powlec się wolnym krokiem do drzwi. Był dziwnie spokojny, że do jutra nie pisnie ani słowa. Nie wierzyła w ani jedno zdanie, ale

oboje wiedzieli doskonale, że gdyby istniał choć promil nadziei, że Horn ma rację, największa przyjaciółka jego najgorszego wroga skieruje wektor wyroku śmierci w przeciwną stronę. Zdziwił się, że okazało się to takie proste. Kilka zdań niosących nadzieję, nakreślony i lekko uprawdopodobniony plan i niezbite dowody okazały się prawdopodobnie zbędne. Z rozpaczliwej, szalonej miłości do syna najwierniejsza z wiernych gładko sprzeniewierzy się przyjacielskim więzom. Uznał, że czas się pożegnać. Nie oczekiwała zdawkowych uprzejmości. Oddalił się bez słowa, niedostrzeżony ani niezatrzymywany przez nikogo.

Kornelia Huckelberry dyszała długo i ciężko w opustoszałym pomieszczeniu. Pot strumieniami płynął jej po twarzy, mieszał się ze łzami i śliną ciekącą z łkających bezgłośnie ust.

- Sprawdzę cię, parszywy, zdradliwy gnoju - przysięgła półgłosem, wyglądając przez okno za cieniem kapitana, nieuchwytnym w wieczornym ogrodzie. - Że też cię wtedy nie zatłukłam. Już ja cię prześwietlę!

Rozdział 4

ODWRÓCONE SOJUSZE

- Co się stało, pani Kornelio? - zapytał od razu Ant, gdy nazajutrz niemalże o świcie wpadła do jego pokoju. Gramolił się niemrawo z rozścielonej kanapy, zbyt grzeczny, by uzmysłwić kobiecie, że go obudziła. Na czarnym, kosmicznym wezglowiu leżała czarna poduszka. Ant niezgrabnie próbował się wyplątać z czarnej ni to narzuty, ni koca utkanego z przędzy stosowanej w podściółkach strojów strażackich. Wyglądał jak gapowaty kosmita.

Jak on smutno śpi - pomyślała Huckelberry, a głośno odpowiedziała:

- A co się miało stać?

- Muszę do łazienki - usprawiedliwiał się chłopak, szukając bezwiednie białej laski. Orientacja w przestrzeni, choć świetna, przyływała do niego po obudzeniu dopiero za jakiś czas - po porannej toalecie, wypiciu kawy. Wszelkie zaburzenia rytmu wytrącały go z równowagi i sprawiały, że gubił się w prostych czynnościach. Wtargnięcie kobiety niewątpliwie do takich należało.

- To idź - przysiadła na brzegu sofy, uruchamiając niechcący jakiś przycisk, który zaczął piszczeć.

- Co do cholery?! - wrzasnęła, nie panując nad złością.

- Nic. To tylko guzik łączący moją bransoletkę z resztą przedmiotów. Wyłączam go na noc. Nikt, co prawda, nie udowodnił szkodliwego oddziaływania na organizm połączeń echolokacyjnych, ale... chcę chociaż spać jak normalny człowiek.

Kornelii zrobiło się go żal.

- To niech ci kupią kolorową pościel. Ta wygląda niczym kir żałobnicy. Kto to widział tak nocować? Co ci się śniło, Ant? Pewnie koszmary. A w ogóle to jesteś normalny, nie przejmuj się.

- Dobrze, powiem, żeby zmienili na różnobarwną - uciekł z odpowiedzią bez przekonania, nie wiedząc, o czym ona mówi. - Ja

naprawdę muszę...

- Idź już, idź, dziecko - machnęła ręką Kornelia. - Pomóc ci?

- Skąd, nie trzeba - obruszył się, lekko zawstydzony, i całkiem płynnie przeszedł w stronę toalety. Widocznie bransoletka już działała albo sam wystarczająco się rozbudził.

- Bo wiesz, Anthony, ja miałam dzisiaj zły sen - zawołała za nim przez drzwi. Najwyraźniej nie mogła z tym poczekać ani chwili.

- No właśnie czuję, że coś panią zaniepokoiło. Niech mi pani o tym opowie - odkrzyknął.

Kobieta relacjonowała niewyraźnie, płacząc się i nerwowo polykając głoski. Śniło jej się, że od dawna wszyscy wiedzą, gdzie jest Emil, tylko jej nikt o tym nie powiedział. Od lat przyjaciele trzymają w tajemnicy miejsce jego pobytu. - Koszmar - jąkała się ze zdenerwowania, aż przez sen dostałam palpacji serca.

W łazience ucichł szum wody. Przez drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Ant jednak nie wychodził.

- Co ci się stało? Zgubiłeś coś? Pomóc ci szukać? Ile można siedzieć w toalecie? - gorączkowała się pani Huckelberry. - Niewiele to pomogło.

W końcu wyszedł do niej sztywno, po długim czasie, ubrany w czarny, elegancki jedwabny szlafrok.

- Wyglądasz jak ninja - zażartowała.

Odwzajemnił uśmiech bez przekonania.

- Pani Kornelio, niech się pani uspokoi. To tylko senna mara. Szukamy pani syna i jestem przekonany, że wkrótce prześlemy dobre wieści.

- Jesteś przekonany? Dlaczego? Ty naprawdę coś wiesz?

Jeżeli Anthony myślał, że ułomność ochroni go przed impetem starszej przyjaciółki, był w błędzie. Wytrąciła mu z dłoni białą laskę i potrząsała za ramiona tak silnie, że jego przerażona głowa zaczęła odskakiwać we wszystkich kierunkach. Uruchomiły się alarmy w bransoletce, w krześle i zewnętrznym panelu śliskiego, połyskliwego blatu, z którego przypadkiem spadł laptop za dwieście tysięcy dolarów. Wbiegli ochroniarze. Oderwali ją od chłopaka, zanim mimowolnie wyrzuciłaby mu krzywdę. Zadzwonili po Lukrecję. Ta, mimo pilnego wezwania, nie chciała przyjść. Na jej polecenie odwieźli rozhisteryzowaną Kornelię do domu i tym razem, bez wymigiwania się, zaczęli do rana.

Do Moore'a zajrzał lekarz. Zaproponował mu środek uspokajający i wszystko wróciło do normy. Szefowa odwiedziła go dopiero po kilku godzinach.

- Wybacz, byłam zajęta - wytłumaczyła się zdawkowo. - Nie mogłam przerwać telekonferencji z ministrem.

- Jasne, nie ma sprawy. Nawet nie czekałem - odpowiedział w sposób stonowany, choć słyhać było, że głos jeszcze mu lekko drży. Chłopakowi chciało się chyba płakać.

- Co tu zaszło?

- Pani Huckelberry miała sen, że wszyscy ukrywają przed nią prawdę o Emilu. Wpadła zniecka, podejrzewając, że coś wiem. Szepnąłem nieopatrzne słowo, źle je zinterpretowała i straciła panowanie nas sobą. To wszystko.

- Nic ci się nie stało? Znam trochę możliwości Kornelii. Nie denerwuj jej więcej, proszę.

Anthony nie odezwał się, zaskoczony jawną niesprawiedliwością.

- Potrzebujesz czegoś? Odpocznij. Ja muszę już iść.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

- To cześć.

- Cześć.

Skulił ramiona. Na nic gadżety, niepotrzebna sztuczna inteligencja ani ochroniarze za progiem. Teraz czuł się tylko słabym, niepełnosprawnym dzieciakiem, któremu można bezkarnie wytrącić z ręki laskę, wyżyć się i udać, że nic się nie stało. Bezsilny, bez obrony, bez znaczenia. Osaczony przez strach, który materializuje się nie wiadomo kiedy, w dowolnym punkcie czasoprzestrzeni. Nie uprzedzi o nim instykt, nie namierzy najwrażliwszy radar. Jest jak jarmarczny ślepiec wiele wieków temu. Czas zatoczył krąg i zwałił mu się na głowę, która doznała wstrząsu podczas ataku tej dziwnej kobiety...

A konferencja? Konferencja świetnie! Interlokutorem Anny Litewski po drugiej stronie ogromnego telebimu był minister spraw wewnętrznych, z którym raz w tygodniu uzgadniała bieżące działania. Wytworny, wręcz lalusiowaty facet, z pochodzenia Francuz, co wielu miało mu za złe. Ale nie Lukrecja. Nieźle czuła się w jego towarzystwie, odprężał ją i prawdę mówiąc, osobiście rozwiązywał wszystkie zgłaszane kłopoty, zapewniając wielokrotnie, że zajmie się nimi jego resort, i tak rzeczywiście było za każdym razem. Wygodne, choć uzależnia.

- Rozleniwie się w końcu przez pana! - zaśmiała się na zakończenie rozmowy. - Usuwa mi pan minister wszystkie przeszkody spod stóp, nie potrzebuję nawet kiwnąć palcem. To demoralizujące.

- Chciałbym to robić zawsze - dopowiedział z lekkim skinieniem

głowy – jeżeli pani pozwoli. Dopóki moje usługi będą pani do czegoś przydatne.

- Kto go powołał na ministra siłowego resortu? – politykowała pani Huckelberry, ilekroć miała z nim styczność. Jak się o takich mówi? Metroseksualny? Oklepany, przylizany, utrefiony. Zbyt zadbany jak na faceta. Nie ufam takim. Nie potrafi uderzyć pięścią w stół, pewnie ma powiązania i tyle jego mocy, a jakie, lepiej wiedzieć. Ciekawe, czego od ciebie chce.

- Oj, Kornelio, tak nie można. Komu ty zresztą ufasz?

- Tobie – uśmiechnęła się i pogładziła Annę po policzku. – Tobie ufam, kochana.

Przyszła jej do głowy głupia myśl. Oderwane wspomnienie tłukące się bez sensu po zwojach mózgu. Scenka z kursu na prawo jazdy, ukończonego z najwyższą notą, ponad ćwierć wieku temu. Annie świetnie szło, nauczyła się kierować samochodem już jako dwunastolatka. Zawsze szczyciła się doskonałą orientacją w terenie, nieczęsto spotykaną u kobiety. Potrafiła za dnia wrócić do miejsca, w którym znalazła się tylko raz dawno temu, po ciemku, w mało ważnych okolicznościach.

- Patrzymy w prawo. Przepuszczamy pojazd z prawej. Spoglądamy raz w lewo i dwa razy w prawo – powtarzał w kółko podstarzały instruktor, dzierżąc w dłoniach wygniecioną reklamówkę z kanapkami z kielbasą, znudzony monotonnym tembrem własnego głosu i wtórnością przekazu. Jego tyrady wpadały jej jednym, a wypadały drugim uchem. Pewnego razu instruktor zachorował i na wyjątkową jedyną godzinę lekcyjną przyszedł inny.

Wyprowadził ją na autostradę i leśną dróżkę. Podjechał na stację benzynową, żeby po raz pierwszy samodzielnie zatankowała. Opowiadał o budowie i działaniu silnika, czym kompletnie nie była zainteresowana.

- Uderzenie przyjdzie z lewej – powiedział niespodziewanie, a Anna się ocknęła. – Pamiętaj, uderzenie zawsze przychodzi z lewej.

Roztapiała się w wannie. Ciepła, różowa, pachnąca woda, lekkie trzaski bąbelków pękających w spiętrzonym pianie. Mogłaby tak leżeć godzinami. Uwolniona, rozmyta, bez wyraźnych konturów. Spłukiwać stres, który coraz bardziej kleistą substancją zatykał

pory, przyduszał pęcherzyki płuc skuteczniej niż koklusz, zamulał żołądek, przyprawiał o lekkie, acz stale odczuwalne mdłości. Może tak zaczyna się rak trzustki, na który nie wynaleziono jeszcze lekarstwa? Trochę wypła w życiu. I stresowała się o milion procent mocniej niż zwykły śmiertelnik, a to ponoć sprzyja... Usztywniał się kark, niedobrze. Choć jest możliwość, że to tylko nerwy. Albo zapalenie opon mózgowych. Dotychczas nie popadała w hipochondrię, ale wszystko ma kiedyś początek, nawet bez wyraźnych wcześniejszych oznak. Towarzystwo Anta i jego fobii też dołożyło cegiełkę. Może potrzebny jest jej psycholog lub psychiatra? A może lepiej nie? Poradzi sobie sama, w skrytości własnych obaw, milcząco i nienachalnie, bez publicznego rwania szat, czyli jak zwykle. Powinna pozostawać elastyczna, gibka, niezależna, wolna. Zawsze.

Nastroju nie poprawiało powracające pytanie. Wypity szampan nie rozwiązywał sprawy.

- Z lewej, czyli z której? Z której? Ant, może ty wiesz? Zapytam cię jutro.

- Papiery są w idealnym porządku. Mogą szukać u źródła, we wszystkich urzędach, na uczelni, nawet w kościele, w którym byłeś ochrzczony.

Koń mrugnął porozumiewawczo, z przewrotnym uśmiechem. Wpadł w zachwyty nad własnym kunsztem. Gorzej, gdyby zaczęli pytać kolegów z roku, czy cię kojarzą, jak się zachowywałeś na imprezach itp. Ale wątpię, żeby im się chciało. W razie czego jeden cię pamięta - znów uśmiechnął się z wyższością - ale to zbytek ostrożności. Podwójne dmuchanie na zimne. Pan Docent tak lubi, rozumiesz? To nie wariat Tao... Mniejsza z tym. Pozytywny wywiad środowiskowy masz zapewniony. Sąsiedzi cię lubią. Nie hałasujesz, mówisz dzień dobry, pomogłeś sąsiadce otworzyć drzwi, gdy zaciął się zamek. Najlepiej, żebyś naprawdę tak robił. Rozumiesz?

Libor wytrzeszczył oczy.

- To raczej będzie słaby punkt.

- Nieprawda! Sprawdź, gdzie mieszkasz, spokojna, zielona okolica. W niebieskim skoroszytcie masz zdjęcia sąsiadów i sąsiadek. Sorry, że wszystkie takie stare. Sąsiadki znaczy się, nie fotografie. Nie podsuwałbym ci nieaktualnych śmieci. - Traskalski dumnie wypiął pierś. - Chata przestronna, fajnie urządzona. Nie można mieć wszystkiego. Na razie nie kołuj sobie na boku żadnych babek. Dopiero gdy się zdomowisz. I mają być porządne, najlepiej

pracujące lub uczące się, ale nie małoletnie! Jeszcze dziś przeniesiesz się ze swojej nory, tylko bez gratów. Zresztą chyba nie masz ich zbyt wiele. Żadnego ciągnięcia ze sobą toreb, waliz, o wozie do przeprowadzek nie wspomnę. Wchodzisz, jak stoisz. W końcu mieszkaś tam od dziecka, prawda? Wszystko zostaje na miejscu, masz zapewniony wysoki standard, nie to, co w Słowenii, prawda?

- Na Słowacji.

Koń spojrzał groźniej.

- Nie bądź taki mądry. Tu masz lekcję do odrobienia na jutro. Wykuj na blachę. Jak się nazywasz, gdzie się urodziłeś, ile masz lat, imię ojca, matki, nazwisko sąsiadki spod czwórki i ksywka jej pieska.

- Czemu miałyby potwierdzić, że mnie zna?

- To bardzo miła kobieta. Mama jednego z naszych, niestety nieżyjących już braci. - Koń się zasmucił. - Zapewniliśmy jej godne warunki. Należą jej się, w końcu wychowała wspaniałego syna - pociągnął nosem. Chyba przyjaźnił się ze zmarłym. - Pan Docent zarządza firmą nowoczesnie i jest zwolennikiem kontrolowanego socjalu. Nie ma to jak wdzięczni ludzie, którzy boją się straty paru darmowych groszy. Pieniądz, którego się nie zarobi, wcale nie jest mniej cenny. Psychologia, dzieła zebrane, rozdział czwarty - wyszczerzył zęby. - Wkrótce sam się przekonasz. A zasiłki, jak wiadomo, to najdroższa rzecz na świecie.

Libor słuchał uważnie.

- Testy sprawnościowe i na inteligencję na pewno przejdiesz śpiewająco. Gdybyś miał się na nich wyłożyć, to wynocha. Nie potrzeba nam debili. Niech cię państwo zweryfikuje na swój koszt, he, he. Poćwiczmy coś innego. Wykrywacz kłamstw.

Słowak pokręcił głową.

- Niby jak? To są same kłamstwa. Nigdy nikt mnie tak nie sprawdzał.

- Ja cię jutro sprawdzę. Powtórzemy parę razy. Do ogarnięcia, jak wszystko.

- No dobra - Traskalski ustawił przyrządy.

- To krzesło elektryczne?

Szeroki uśmiech.

- Jeszcze nie teraz. Słuchaj, John. Przyzwyczajaj się do tego imienia, musi ci wejść w krew bardziej niż własne. - Libor skinął głową. - Wejdzie taki facet, jak ja, no na pewno mniej miły, i zacznie

cię maglować. Pusty pokój, tylko krzesło i stół, jak w twojej dawnej chacie, he, he. Takie środowisko akurat dobrze znasz, he, he.

Kurczę, ale ten Koń go denerwował!

- Najpierw pytania zwykłe, jak się nazywasz, ile masz lat, czy teraz jest lato? Rozgrzewka, w której traktuje ustawia skalę reakcji na przyrządach. Odpowiadasz wyłącznie tak lub nie, żadnych dywagacji. W tym czasie czujniki rejestrują skoki ciśnienia, zmiany wilgotności skóry, tempo przepływu krwi. Wariograf to głupie bydlę. Nawet nie musisz odpowiadać. To kompletnie nieważne. Oczywiście masz pamiętać, co mu tam pieprzysz, żeby się na koniec nie pogubić. Ale zdradzają cię nie odpowiedzi, ale fizjologia, czy się spocisz, przyśpieszysz oddech, mocniej zabije ci serce. Czyli czy jesteś mięczak, kapujesz? Mierzy twoje emocje, więc na starcie jesteśmy wygrani. Bo z ciebie, jak mówią na mieście, raczej chłodny gość, co Libor? Nawet takie są oficjalne przeciwskazania, zaburzenia psychiczne, psychopatia, więc jesteśmy w domu. Bo oddech i tętno potrafisz kontrolować? Nie? To się nauczysz. Pomyślisz sobie o czymś przyjemnym - tylko nie o ćwiartowaniu nikogo, he, he, i nie pozwól się zaskoczyć. Dasz radę! Przed tobą kariera. Jutro pierwsza próba.

- Czy nazywa się pan John Tyler?

- Tak.

- Czy ma pan trzydzieści osiem lat?

- Tak.

- Czy jest pan hetero?

- Tak.

- Czy zabił pan kobietę?

- Nie.

- Czy zabił pan mężczyznę?

- Nie.

- Czy miał pan stosunek z mężczyzną?

- Nie.

- Czy korzysta pan z usług prostytutek?

- Tak.

- Czy nienawidzi pan pana Docenta?

- Tak.

- Czy pali pan papierosy?

- Tak.

- Czy ukradł pan coś kiedyś?

- Nie.

- Czy ma pan niebieskie oczy?
- Nie wiem.
- Cholera jasna! Nie mogę!
- Są szaroniebieskie.

- Mówiłem ci, do diabła, że masz być pewny tego, co mówisz!

Wszystko jedno co, nie możesz się zastanawiać, dla mnie możesz te swoje ślepie mieć żółte. Jeszcze raz! Co za debil!

Dalej poszło już gładko. W SAW docenili jego warunki fizyczne i refleks i zaczęli szkolić na ochroniarza kierowcę dla VIP-ów. Libor Kovacz vel John Tyler uczył się jeździć w kolumnie, wykonywać gwałtowne manewry, wychodzić z poślizgu, a w razie potrzeby osłaniać własnym ciałem przydzielonego podopiecznego. Wpajano mu procedury i odgórnie opracowane plany awaryjne na wypadek zamachu terrorystycznego, wybuchu gazu, zamieszek społecznych czy huraganu. Był niezwykle pojętym uczniem, mimo to czekało go co najmniej kilka lat intensywnych ćwiczeń i kursów, zanim dotrze wyżej w hierarchii agencji i powierzą mu bardziej odpowiedzialne zadania. O ile oczywiście wcześniej nie zaliczy jakiejś wtopy, nie popełni poważnego błędu. Nie miał jednak gwarancji, że się uda. Anna wprowadziła wewnętrzne przepisy wydłużające i komplikujące ścieżkę kariery. Najchętniej przewlekałaby ją w nieskończoność, aby nikt nie poczuł się zbyt pewnie.

- Jest was tam więcej. Sporo naszych przeniknęło do struktur agencji, po cichu chłopaki pną się w górę. Nie zacie się dla bezpieczeństwa - zapewniał Docent. - W razie czego uruchomimy pozostałych, będziecie mogli liczyć na siebie.

- To znaczy, gdyby mnie zdemaskowano?

Docent popatrzył na niego rybem wzrokiem, ale odpowiedział cierpliwie, jak największemu durniowi:

- Nie, Libor, bracie. Wtedy zostaniesz sam.

Słowak przyjął tę zasadę do wiadomości. Od tej chwili starał się jeszcze bardziej. Nie miał jednak szansy, żeby zbliżyć się do Lukrecji, chociażby przez chwilę przebywać na tym samym korytarzu, co szefowa. Widział ją raz czy dwa z odległości dwustu metrów. To wszystko. Trwał w przekonaniu, że nie znalazł się w tym miejscu przez przypadek, lecz za sprawą zrządzenia losu. Gdyby był wierzący, stwierdziłby, że jego modlitwy zostały wysłuchane. A tak po prostu przyjął, że szczęście mu sprzyja. Czy miesiąc wcześniej mógł przypuszczać, że znajdzie się od niej o krok? Jego marzenie wkrótce się ziści - załatwi szefową SAW. Cóż za słodki cel -

uśmiechał się na samą myśl.

Dla ścisłości, w normalnych warunkach nie miałyby okazji jej poznać. Jednak Anna, celowo łamiąc wszystkie reguły i regulaminy, co jakiś czas bez uprzedzenia wymieniała członków osobistej ochrony. Na nic się zdały zapewnienia dowódców, że to wbrew zasadom bezpieczeństwa, a nawet zwykłej logice. Że najlepiej współpracuje się z ludźmi sprawdzonymi i dobranymi na zasadzie zaufania. A buduje się to latami albo szybko, ale w sytuacjach kryzysowych. Że to wbrew ich wieloletnim doświadczeniom. Że łamie wypracowane i wielokrotnie ulepszone procedury, w tym również te, które sama przeforsowała.

Pani generał słuchała uprzejmie, przytakiwała, po czym pozbywała się dyskutujących z nią oficerów. Odsyłała ich do oddziałów i agentur rozszaniach po całym kraju. Wychodziła z założenia, że potencjalnie większe niebezpieczeństwo grozi ze strony przyjaciela niż wroga, a długa znajomość stępią czujność. Chciała udowodnić im i sobie, że nie stała się jeszcze bezwolnym manekinem, zdany na opiekę otoczenia. Wszak kiedyś radziła sobie sama. Wskutek takiej polityki zasoby kadrowe instytucji, choć potężne, zaczęły się kurczyć. Liczba doskonale wyszkolonych pracowników była ograniczona. Pozyskanie nowych, reprezentujących podobnie wysoki poziom, stanowiło długi proces. Lukrecja sięgała najpierw do rezerw przeszkolonych, choć jeszcze bez wymaganego doświadczenia, a później do tych, którzy nie w pełni zakończyli edukację, by wreszcie wciągać pojedynczych początkujących do zadaniowych teamów.

Do spadającej na nią zewsząd krytyki doszły więc zarzuty o brak profesjonalizmu i jeszcze większa niechęć. Stosowała własne, nietuzinkowe metody weryfikacji, zresztą nie chwaliła się nimi, nie chcąc narażać się na opinię niekompetentnej idiotki. Jej kancelaria pod pozorem szkoleń, narad bądź odpraw organizowała spotkania agentów. Zawsze jako najjaśniejsza gwiazda, w swobodnym charakterze uczestniczył w nich Anthony. Rozmawiał, śmiał się, ścisnął dłonie, stwarzał nieformalną atmosferę. Później dzielił się z nią wrażeniami płynącymi z odczuć jego wyostrzonych zmysłów, trzeciego oka, intuicji czy jak to nazwać. Jak zwykle na wszelki wypadek tego nie określali.

- Co my w sumie chcemy zrobić, proszę pana? - Libor czekał na dyspozycje Docenta. Nie rozumiał, czego od niego oczekuje, a im dłużej to trwało, tym bardziej go niepokoiło. Świat przybrał pozory

normalności, nieznanego mu wcześniej, stąd czuł się nieswojo. Na serio wszedł w struktury SAW. Tydzień po tygodniu ćwiczył, studiował procedury, poznawał kolegów, z którymi po robocie chadzał do pubu na trzy kufle piwa, a nie morze wódki, jak wcześniej. Z tego Docent cieszył się najbardziej.

- Tak, tak, zawieraj znajomości. Możesz się nawet z nimi zaprzyjaźnić. To ważne.

Był zachwycony mieszkaniem, które dostał. Nigdy nie miał okazji korzystać z tak gustownego i wygodnego lokalu. Nory, po których tłukł się całe życie, nie umywały się nawet do obecnego schowka na odkurzacz. Wstyd się przyznać, ale długo się głowił, jak uruchomić prysznic. Gładka tafla baterii, z prawie niewidocznymi przyciskami, nie ułatwiała zadania.

- Masz tu nie zrobić chlewu - przestrzegł go Koń jak dzieciaka. Nie musiał. Libor lubił dbać o to miejsce.

Sąsiadki, znające go rzekomo od dzieciństwa, na co dzień zachowywały się tak, jakby to była prawda. Chwały go, pozdrowiały serdecznie, a czasem przynosiły kawałek domowego, jeszcze ciepłego ciasta. Dwa razy wyprowadził nawet pieska starszej pani z naprzeciwka, kiedy bolała ją noga. Im bardziej jednak się rozleniwał, uspokajał i przyzwyczajał do mistyfikacji, tym mocniej dręczyły go pytania, co jest naprawdę grane. Był osamotnionym dzieciakiem, szczurem wielkiego miasta. Znał jego spelunki i kanały, cuchnące śmietniki i nielegalne cmentarze uchodźców, którzy oficjalnie nigdy nie umierali. W rzeczywistości odchodzili jak wszyscy, a na papiery pogrzebanych przyjeżdżali nowi. Dla białego urzędnika czarna czy żółta twarz były nie do odróżnienia. Wymiana trwała więc w najlepsze. Przybywali cisi, grzeczni, wycofani, niewchodzący w konflikty z prawem, pracowici. Z tyłu głowy towarzyszyła im odpowiedzialność za rodziny pozostawione w dalekich ojczyznach. Dla Libora była to cenna wiedza, gdyż z obawy przed denuncjacją opłacali się bez szemrania.

Spotkania u Docenta przebiegały według zwyczajowo przyjętego scenariusza. Już sam fakt, że ważny boss chciał się widywać z takim przeciętniakiem jak on, w dodatku częstował go drogim alkoholem, ścisnął na powitanie jak kuzyna i tracił czas na jałowe rozmowy o niczym, rodził podejrzenie, że nieświadomie wciągnięty w grubszą aferę kiedyś położy za to głowę pod topór. Skoro nie gadali o interesach, inne tematy tym bardziej się nie kleiły. Kovacz nie czytywał książek, nie uprawiał modnych sportów, nie bywał

w teatrze i operze, co byłoby niewątpliwie ciekawym przyczynkiem do rozmów z Docentem, który celebrował życie kulturalne i miał ambicje uzyskania tytułu największego mecenasa sztuki w kraju. Jedynie Traskalski zachowywał się w miarę normalnie, warczał na niego, opieprzał i stawiał do pionu jak wiejskiego głupka.

- Do czego tak się wyrywasz, przyjacielu? Naciesz się życiem, wolnym czasem, wygodą. A może coś jest nie tak? Wal jak w dym, zmienimy ci lokum, choć uprzedzam, że im później, tym gorzej. Inwestujemy w ciebie, a tak trzeba by wszystko zaczynać od początku. Ale czego się nie robi dla bliskich! - Wyciągnął w jego stronę cygarnicę. Libor odmówił. Nie umiał palić cygar. Przez twarz Docenta przebiegł nikły, ledwie dostrzegalny grymas niezadowolenia.

- Myślisz, że nic nie robisz, że nic się nie dzieje - zwrócił się do niego boss. - To złudzenie. W rzeczywistości odwalasz bardzo ważną robotę. Budujesz podwaliny pod etap, od którego wszystko zależy. Jeżeli przejdiesz przez niego pomyślnie, pójdziesz dalej. Jeśli nie, pożegnamy się. Jakoś zwrócisz mi pieniądze.

- Jakie pieniądze?

- Jak myślisz, ile kosztuje wynajem apartamentu w centrum?

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale ja bym go nie wynajmował. Pan wie, gdzie zawsze mieszkałem. Nie pcham się na salony, na które mnie nie stać.

- W tym cały problem, przyjacielu. Ale nie denerwuj się. Robisz postępy. Czuję, że wykonasz zadanie i nie będą konieczne między nami żadne rozliczenia. Tak mi podpowiada intuicja, a jak wiesz, zawsze jej ufam.

- Ale czy ktoś mi wyjaśni...

Stojący w rogu pokoju Koń zrobił niecierpliwą minę. Nie lubił, gdy ktoś naciskał na szefa. A ten przybłąda zawsze był irytująco upierdliwy.

Docent machnął ręką.

- A więc słuchaj, Libor. Wstępnie powiedziałem ci, że masz wejść w struktury SAW i piąć się w nich jak najwyżej. Z całych sił, na ile możesz. Masz dotrzeć do niej, ty lub ktoś inny. W końcu któremuś z was się uda, największemu szczęściarzowi, a ja potrafię być wtedy hojny. Podobno ta wariatka raz po raz wymiata całe najbliższe otoczenie. Masz być w pogotowiu, czuwać. My przez cały czas nie możemy trzymać cię za rękę.

Koń ze swojego kąta przytaknął skwapliwie. Nowy działał mu na nerwy. Nie przepadał za prostakami.

- A do tego, co robisz teraz, przyzwyczajasz się. Nabierasz ich sznytu, zwyczajów. Wiesz, do SAW nie trafia się ze slumsów. Musisz

choć trochę zachowywać się tak, jakby twoje papiery z uczelni były prawdziwe. – Koń znów gestem wyraził aprobatę. – Oni tacy są. Raczej z dobrych domów, raczej bogaci i lekko zadufani w sobie. No, powiedzmy, że znający własną wartość, często mocno przeszacowaną.

Traskalski wybuchnął śmiechem z żartu szefa, Libor słuchał poważnie, zrozumiał dopiero po chwili.

– Widzisz, masz najlepszy przykład – westchnął Docent. – Musisz być naturalny, nabrać ogłady, inaczej cię wyczują. Może nie szeregowi agenci, ale ona, modliszka, i ten jej kaleka – asystent, przejrzą cię w okamgnieniu.

Koń znów się zaśmiał. Libor nie zrozumiał nic a nic z perfidnej gry słów odnoszącej się do Anta.

Docent mruknął:

– Nie traćmy nadziei. – A głośniej dodał: – A po co to wszystko razem robimy? Dla najgrubszego numeru wszechczasów! Podwiesz ją do mnie.

– Kogo?

– Lukrecję.

– Ja kto?

– Po prostu, przyjacielu. Porwiemy ją. Uprowadzimy panią generał, Annę Litewski, szefową Specjalnej Agencji Wywiadowczej.

W pokoju zapadła cisza. Koń nie wydawał się zaskoczony, ale Libor zapomniał języka w gębie.

– Ten, kto tego dokona, nie będzie musiał działać niczego więcej. Zostanie niekwestionowanym liderem, scali wszystkie nasze rozproszone środowiska – Docent przemawiał z uniesieniem i zapałem, jakby nie chodziło o pospolitych bandytów, ale o gremia naukowe lub rozłamowe nurty religijne. Dokonam tego oczywiście ja, a wykonasz ty – zwrócił się do Słowaka poważnie i groźnie. –

Dlatego ćwicz, chłopie, ćwicz. Przyzwyczajaj się do życia w luksusie i grzecznego traktowania ludzi. Poziom swobodny, wysoki poziom. Przechodzimy do następnego punktu. W środę pójdziesz do opery. Traskalski wszystko ci wytłumaczy, załatwi bilety i garnitur. Może cygaro?

Kovacz drżącą ręką sięgnął w kierunku srebrnego pudełka.

– Tak, właśnie tak! – uśmiechnął się akceptująco Docent.

Niby był na to przygotowany. Wielka sprawa, na którą czekał od lat. W swoich projekcjach zamierzał wyjść z niej bez szwanku, inaczej nie miała racji bytu. Ręka nadal mu się trzęsła. W końcu

zdecydował się nazwać rzeczy po imieniu.

- Porwiemy i co? Boże, co dalej? Cokolwiek jej zrobimy, wykończą nas. Można ją będzie torturować, zabić lub uwolnić, już po nas. Psy nam tego nie darują, sam pan wie.

- Nie bądź ostatnim durniem, bo wynajmę kogoś innego. Zmusimy ją dyskretnie, żeby pracowała dla nas. Już niech ciebie o to głowa nie boli. To będzie wyczyn stulecia. Wziąć szefową służb na pasek mafii. Bywały takie numery, ale do określonego poziomu, nie samego szczytu. Tego dotąd nikt nie przeskoczył, nawet o tym nie pomyślał. Ale ja jestem wizjonerem. Już ja wiem, na czym tej pani zależy. Będą o nas śpiewać piosenki, opowiadać legendy. Sam Al Capone przy nas zblednie.

Na razie zbladł Libor. I to śmiertelnie.

- Ona nas zmiecie. Jak tylko wróci do siedziby SAW.

- Nie będzie jej się to opłacało - odpowiedział spokojnie Docent. Libor nie wyglądał na przekonanego.

- Musielibyśmy mieć coś, na czym jej naprawdę zależy.

- To oczywiste. I będziemy mieli, bo jej najbardziej zależy na sobie.

- Panie Docencie - ciągnął uparcie Słowak - proszę mi wybaczyć, ale...

- Zamknij mordę! - ryknął Traskalski, doskakując do niego z pięściami.

- Ej, ej! Panowie! - przyhamował ich boss. - Co to ma znaczyć?! Alojz, nie unos się - zwrócił się do Traskalskiego. - Libor jest naszym druhem i w sumie ma rację. Powinien być przekonany do tego, co robi, i wierzyć w sukces. Podyskutujmy jak przyjaciele. Wytłumacz mu.

Traskalski, zgrzytając zębami z wielkiej złości, niechętnie zwrócił się w stronę Słowaka.

- A co tu tłumaczyć? Kretynowi chyba. Nakręcimy kilka filmików i jak wyjdzie od nas, nie będzie już sobą.

- Widzisz, to proste! - podchwycił Docent. - Pani generał złoży nam wizytę, a my ugościmy ją godnie. Mamy serum prawdy. A potem Alojz nakręci zeznania na temat największych tajemnic państwowych z nią w roli głównej. Niegłupie, co?

Koń uśmiechnął się, zadowolony.

- A reszta, zwyczajnie, obyczajówka. Musi powstać kilka odcinków serialu, nigdy nie wiadomo, co na nią mocniej podziała. Mała orgietka, może dwie... zgodnie z sugestią Alojza. - Koń uśmiechnął się promiennie i gorliwie pokiwał głową. - I królowa wywiadu opuści nasze skromne progi. Później, w sytuacji bez wyjścia, będzie jadła nam z ręki.

Kovacz milczał niechętnie. W końcu znów zebrał się na odwagę.

- Panie Docencie, przepraszam, ale nie wydaje mi się, żeby sprawy obyczajowe mogły ją mocno skompromitować. Jest samotna, zacznie się tłumaczyć, zapewniać, że to fotomontaż itp. Wygląda, jakby z niejednego pieca chleb jadła. A film z seksem, przepraszam, ale wątpię, żeby wywarł na niej większe wrażenie. Poza tym, że na pewno ją rozjuszy.

Traskalski posiniał. Nie znosił, kiedy ktoś podważał jego pomysł, zwłaszcza w obecności szefa.

- Nie taki, jaki wyreżyseruje nasz drogi Alojz - uciał lubieżnie Docent, mrugając porozumiewawczo do Konia - nie taki...

Docentowi podobała się Anna. Nie przyznałby się do tego, publicznie ją deprecjonował lub obrzucał mało wyszukаныmi epitetami. Dopiero by się chłopaki zdziwili, a i zaniepokoiili nie na żarty! Lubił chłodne, zdystansowane kobiety. Przytłaczały go ciągle zachwyty i gotowość narzucających się młodych kobiet, by spełniać wszystkie jego zachcianki. Ta to co innego. Niezła zawodniczka. Z klasą. Charyzmatyczna. Nie za piękna, ale obdarzona magnetyzmem. Był czułym odbiorcą takich cech. Pasowałiby do siebie. Taka zdobycz stanowiłaby idealne dopełnienie jego rosnącej pozycji. W innych okolicznościach, cóż, mogliby zostać partnerami. Jako człowiek postępowy, opowiadał się za równouprawnieniem kobiet, co prawda nie swoich, ale dla niej zrobiłby wyjątek. Na pewno też byłaby zachwycona, już on by się o to postarał. Ale cóż, w tych warunkach musi zrezygnować. No, może nie do końca. Niewykluczone, że ją odwiedzi na osobności, zanim ten zbok Traskalski uruchomi kamerę. Poczłł rosnące podniecenie. Niech kobiecina ma coś z życia!

Rozdział 5

UROKI

Dzwonki świdrowały głowę generała, na przemian jaskrawe i czarne mroczyki o odcinających się błyszczących brzegach migotały w umęczonych źrenicach. Duszność sprawiała, że sam nie wiedział, co i skąd brzęczało, może uruchomiły się wszystkie alarmy wzdłuż ekskluzywnej ulicy, a może to tylko szum w uszach...

Był zbyt pragmatyczny i za dobrze znał procedury, które wżarły mu się w krwiobieg. Wbrew złemu samopoczuciu, a może, by je zniwelować, zaczął wykluczać potencjalne źródła hałasu. Na własną zgubę zresztą. Kiedy zdyszany dotarł do drzwi wejściowych, licząc, że niecichnący gong jest jedynie złudzeniem w raptownie wstrząśniętym umyśle, okazało się, że to, co czekało za nimi, było o wiele gorsze niż natężenie decybeli. Zwalił mu się na kark armagedon w postaci otyłej damy wystrojonej w jaskrawą, żółtą suknię w wielkie, niesymetryczne, różowe romby, które optycznie dodawały jej z piętnaście kilogramów. Kobieta, zasapana i zmęczona, dzwoniła jak oszałała, z trudem utrzymując w pionie ogromną, pasiastą walizę z metalową rączką i oderwanym bocznym kółkiem. Z ramienia zwisało jej kilka wypchanych tobołków, a w pasie, wzorem handlarzy wszystkich bazarów świata, miała przytroczoną podłużną saszetkę na pieniądze, tudzież dokumenty bądź wątpliwe kosztowności.

- Dzień dobry, panie generale Twigg! - wykrzyknęła z wyraźną ulgą. - Już się bałam, że pana nie zastałam!

- Pani Smith! - powitał ją ze zdziwieniem i z wyraźnym trudem.
- Co pani tu robi?

- Wróciłam - oznajmiła i szarpnęła walizę, wciągając ją do środka, i przy okazji, wykruszając fragment progu. - Jestem!

- To wspaniale, pani Smith, bardzo się cieszę. Czym mogę pani służyć? - zapytał lekko skołowany.

- Pan mnie? Ależ skąd. To ja znów będę służyć panu! Wróciłam do pana - zauważyła dwuznacznie i posłała mu przeciągłe spojrzenie, które zaraz zastygło w niewysłowionej trosce.

- Ojej, panie generale, jak pan okropnie wygląda, czy pan aby nie chory? No tak, nie było mnie jakiś czas, jakie tu wszystko zaniedbane, pożał się Boże! Już się biorę do roboty! - rzuciła się w stronę kuchni.

- Nie, nie - powstrzymał ją gospodarz - proszę się nie fatygować. Pani wybaczy, nie spodziewałem się tej wizyty, właśnie miałem się położyć. Jestem trochę zmęczony.

- Widać, widać - wymamrotała pani Smith - proszę sobie nie przeszkadzać. Zaraz zrobię herbatkę. Jak dawniej.

Generał zatrudniał małżeństwo Smithów w swojej willi przez kilkanaście lat. Ją jako gospodynię, męża w charakterze ogrodnika. Współpraca przebiegała modelowo, w pewnym sensie się nawet zaprzyjaźnili. Wyrazem tego były hojne premie świąteczne czy od czasu do czasu wspólne kolacje - doniosłe posiłki wieczorne - jak z nabożeństwem zaznaczała pani Smith, od zawsze przejawiająca skłonność do nadmiernej egzaltacji. Sielankę przerwał incydent - do dziś nie wiadomo, co - lekkiego ataku apopleksji, miniudaru niedokrwiennego w jakże zawsze sprawnym mózgu generała. Neurologzy spierają się nad przyczyną, a on wciąż chodzi po świecie sprężystym krokiem. Takie chwile, momenty prawdy, punkty zwrotne, krótkie przebłyski z zaświatów zmieniają utarty bieg losu zwykłych śmiertelników i wpływają na pozornie niezwiązane ze sobą dziedziny egzystencji. Twiggiem wstrząsnęła w momencie walki o życie wściekłość, wylewająca się zza kołnierzyka jedwabnej koszuli, na wiadomość o tym, że zniszczyła go podrzędna agentka, pijaczka i degeneratka w zderzeniu ze sceną zazdrości faceta, którego wprowadzie wielokrotnie protekcyjnie poklepywał po ramieniu, opłacał sownie i rozmawiał o pogodzie, co przecież naturalne w przypadku spraw dotyczących ogrodu. Pan Smith, jedyny świadek zdarzenia, długo zwlekał z wezwaniem karetki. Czekał na śmierć chlebobawcy, a gdy nie następowała, zląkł się. Nie starczyło mu odwagi na kolejne dziesięć minut. Jedynie na wyartykułowanie zarzutu o podrywaniu żony. Tylko tyle. Nie dał mu w mordę jak mężczyzna, choć przecież uderzyć umierającego to żadne ryzyko. Wykręcił w końcu numer alarmowy, bojąc się, że zostanie oskarżony o nieudzielenie pomocy. Meksykanów przecież zawsze obciążają wszystkim. Jeśli pominąć niedorzeczność zarzutu i fakt, że w generale kochały się top modelki wszystkich liczących się wybiegów świata - a czy z tego korzystał czy nie, niech pozostanie tajemnicą - pan Smith jako facet

okrył się przez to hańbą. Lecz coś za coś. Generał żyje. Wszystko znów znalazło się pod kontrolą. A pani Smith stojąc w progu, oświadczyła stanowczo:

- Odeszłam od niego!

- Droga pani Smith, doceniam tę ofiarę, ale nie mogę jej przyjąć. W obecnej sytuacji... sama pani rozumie.

- To żadna ofiara - zbyła go lekko. - Powiedziałam temu dupkowi, że o mało co zniszczyłby największą miłość mojego życia. Małżeństwo małżeństwem, ale tego się nie wybacza, Santa Maria z Guadalupe! - Huknęła się porządnie w obfity żabot, nie zaprzestając przetrząsania kuchennych szafek w poszukiwaniu wiktuałów na kolację.

- Przykro mi, ale małżonek...

- Rzuciłam go! - oświadczyła stanowczo.

- Po trzydziestu latach?

- Bardzo mnie zawiódł, wtedy, z panem, jak pan zachorował. Nie zasługiwał na mnie, mamusia od początku mi to powtarzała.

- Obawiam się, że to nie takie proste. Naprawdę żałuję... -

Kobieta była niezwykle sumienną i oddaną gospodynią, ale Twigg przezornie wyobraził sobie zdesperowanego ogrodnika zaczajonego tuż za rogiem posesji. I bez tego miał dość kłopotów.

- Nie może tu pani pracować, nie po tym, co się stało. Wiem, że to nie pani wina, nie wracajmy do starych spraw. To minęło. Musi pani wrócić do męża, porozmawiajcie, wyjaśnijcie sobie wszystko. Byliście państwo bardzo dobraną parą. Z serca radzę - przemawiał łagodnie, natrafiając na coraz większy opór.

- To co ja zrobię? Gdzie teraz pójdę? Jest noc! Jeszcze mnie napadną! Zgwałcą! - Usta, pokryte karminową szminką przeciągniętą wyraźnie poza ich naturalny obrys, zadrzały rozpaczliwie. Myślałam, że pan na mnie czeka!

Generał poczuł, że nie ma teraz siły na taką rozmowę.

- Ależ droga pani Smith, proszę się uspokoić. Dobrze, niech się pani wszystkim zajmie - ustąpił, korzystając z okazji. -

Przepraszam, naprawdę muszę odpocząć. Pogadamy rano. Dziękuję, że pani o mnie pomyślała.

- Ależ oczywiście, oczywiście - rozpogodziła się natychmiast, zyskując przewagę nad osłabionym pracodawcą. - Zawsze o panu myślę. Posłać łóżko?

- Nie trzeba, już rozścielone. Gdybym tylko mógł się zdrzemnąć...

- Proszę, proszę pana - szczebiotała szczęśliwa. - Nie będę przeszkadzać, nawet się dziś nie rozpakuję. O wszystko się zatroszczę... cichutko, jak myszka. - Zatrzepotała długimi, czarnymi rzęsami, stanowiącymi najatrakcyjniejszy fragment w jej podpuchniętej twarzy naznaczonej rysami azteckich przodków, ale tego Twigg już nie zauważył.

Dzwonienie nie ustępowało, nabrzmiała od hałasu głowa nie dawała się ukoić. Co minutę słychać było nerwowe, stłumione pokrzykiwania pani Smith. Generał miał wrażenie, że uczestniczy w skrywanej małżeńskiej kłótni. Że też był tak miękki i wieczorem jej nie wyrzucił. Dobrze mówią, że Meksykanie są natrętni... choć, o ile pamięta, zwolnił kiedyś za podobne stwierdzenie jednego z podwładnych. Nikomu nie pozwalał na niepoprawność polityczną.

Po kolejnym razie wkroczył do kuchni, ze zdziwieniem stwierdzając, że kobieta trzyma jego telefon komórkowy. Zanim zdążył wyrazić oburzenie, alarm znów się odezwał.

- Zabrałam, bo wydzwania do pana jakaś wariatka. Twierdzi, że rodzi - podała mu komórkę niby obojętnie, nie potrafiła jednak ukryć pretensji.

Generał błyskawicznie przebiegł w myślach wszystkie przyjaciółki i w wyniku tej inspekcji stwierdził stanowczo, że musi to być nieporozumienie. Dzwonek odezwał się znowu. Naburmuszona pani Smith demonstracyjnie wyszła z kuchni.

- Panie generale! - krzyknął do słuchawki rozszlochany, nieznamy głos młodej kobiety. - Stało się coś strasznego!

- Słucham! Skąd pani ma kontakt do mnie? - Jego numer był tajny, zastrzeżony od lat. W pierwszej chwili pomyślał, że to Lukrecja stoi za przeciekiem i całą sytuacją, i pewnie coś knuje. Dalsza rozmowa rozwiała jednak wątpliwości.

- Jestem Samantha, narzeczona Toma. On pracuje z panem. Tom Gersner. - Niepotrzebnie wymieniła nazwisko. Był to jeden z wiernych mu agentów, choć - a może właśnie dlatego, że pracujących na dwie strony - których posłał do domu Wasylisy.

- Pamiętam cię, Samantho. Jak się masz?

- Bardzo źle! Wydarzyło się coś okropnego!

- Mów spokojnie, proszę - przymknął drzwi do kuchni, za którymi podsłuchiwała pani Smith.

- Dziś miałam urodzić.

- Potrzebujesz pomocy? Wezwać pogotowie? - nie rozumiał, dlaczego dziewczyna zwraca się do niego. Widział ją może dwa razy

w życiu. Na pikniku dla rodzin mundurowych mignęła mu zgrabna postać w kolorowej sukience, którą dumny Tom trzymał mocno za rękę. Tylko tyle.

- To nic pilnego. Planowy poród. Cesarka. Tom chciał mnie zawieźć do szpitala i być ze mną przez cały czas. Dziś miała przyjść na świat nasza córeczka, tak się cieszył. Wybrał dla niej imię: Melody. Nie ma go do tej pory! - wołała z płaczem. - Telefon nie dopowiada. To do niego niepodobne!

Fakt. Młody agent był jednym z najsolidniejszych, jakich dowódca poznał w długiej karierze. Myśl, że zostawił narzeczoną i uciekł w dniu porodu, Twigg odrzucił od razu jako niemożliwą. Za dobrze znał się na ludziach.

- Samantha, nie płacz. Uspokój się, bo szkodzisz dziecku. Śliczne imię dla dziewczynki, takie dźwięczne. Tom ma dobry gust. Może coś mu przeszkodziło, ale na pewno nic poważnego. Poproś siostrę, matkę albo jakąś przyjaciółkę, żeby pojechała z tobą na porodówkę. Takich spraw nie należy przeciągać. Tom pewnie zaraz dojedzie i wszystko wyjaśni. Poszukam go. Jeżeli czegoś się dowiem, zadzwonię.

Wcale nie zamierzał tego zrobić.

- Dziękuję... dziękuję panu - jąkała się dziewczyna.

- Masz się do kogo zwrócić?

- Tak.

- Zrób więc to. Nie narażaj dziecka. Twoja rozpacz mu nie służy. Weź też pod uwagę, że możesz teraz być podenerwowana i wyolbrzymiać pewne sprawy. Dam znać, gdy pojawi się coś nowego.

- Dziękuję - powtórzyła już cichszym i zdecydowanie spokojniejszym głosem.

- Szcześliwego rozwiązania! Trzymam kciuki! Do usłyszenia niebawem!

Generał rozłączył się. Potarł dłonią twarz. Uspokajanie dziewczyny jemu samemu niewiele pomogło. Odłożył zdekonspirowaną komórkę i przez prawie nigdy nieużywany telefon satelitarny zadzwonił do Freda, drugiego funkcjonariusza, którego posłał na akcję. Usłyszał komunikat: „Abonent czasowo niedostępny”. Później spróbował połączyć się z Kirkiem, trzecim agentem. Znowu nic. Dopiero na końcu, świadomie łamiąc zasady konspiracji, spróbował skontaktować się z Tomem, jak już się spodziewał, bez rezultatu. Wszyscy trzej nie mogli zniknąć. Dziewczyna miała rację. Stało się coś okropnego. Czy stara wiedźma ich otruła? Zdradzili go? Wpadli? Załatwiła ich Lukrecja? Musiał to sprawdzić. Natychmiast. Ryzyko było ogromne, ale nie

miał wyjścia.

Szybko przebrał się w sportowy strój. Nadal nie czuł się dobrze, oddychał ciężko i wydawało mu się, że bierze go gorączka. Spokój. Tylko spokój.

- Wychodzę, pani Smith!

Gospodyni właśnie pieczołowicie ścierała kurze w pokoju obok, używając czegoś w rodzaju dużego, włochatego, tęczowego pióropusza. Już nie była naburmuszona. Zasłyszana rozmowa wyraźnie ją rozluźniła.

- W środku nocy? - zaprotestowała. - Miał pan wypoczywać.

- Pani również, a jednak pani sprząta.

- Nadrabiam zaległości, nie chcę się przechwalać, ale na każdym kroku widać moją długą nieobecność, panie generale. Wszędzie niedociągnięcia! - Machnęła plastikową miotłą.

- Dobrze, niech więc pani działa. - Nie miał teraz czasu ani ochoty na dyskusję.

- Kiedy pan wróci?

- Pani Smith - skarcił ją wzrokiem - nie ograniczajmy się nawzajem, dobrze?

Oblała się rumieńcem, szczęśliwa, jakby właśnie zaczął ustalać zasady obowiązujące w ich nowym związku. Jakich by nie narzucił, ona z radością przyjmie wszystkie i wypełni co do joty! Ach, sen zaczyna się spełniać!

Gnał przez noc, niepewny, co zastanie na miejscu. Jedno było jasne: cokolwiek się wydarzyło, musi posprzątać to sam. Jeżeli są tam już wysłannicy Anny Litewski, cóż z tego? Ma prawo odwiedzić rodzinne strony. Powiedzmy, że się stęsknił, choć ta suka tego nie zrozumie. Kiedy dojeżdżał do zagajnika przed domem Wasyliśy, z daleka dostrzegł w mroku samochód częściowo tkwiący w rowie, maską prawie owinięty wokół pnia jedyne drzewa sterczącego z tej strony pobocza. Przystanął. Fred leżał na polu obsianym gorczycą odrzucony o jakieś dwadzieścia metrów, najwyraźniej wypadł przez przednią szybę. Kirk wyglądał jakby spał, mocno przypięty pasami, przytulony policzkiem do poduszki powietrznej wypełniającej prawie całą kabinę. Ciało Toma, zakrwawione i na pierwszy rzut oka najbardziej zmasakrowane, zastygło przewieszane nienaturalnie przez wybite okno w bocznych drzwiach. Tak jakby ostatkiem przytomności próbował się wydostać. Może śpieszył się do Melody.

Generał zasepił się. Rozmiar katastrofy był tak wielki, że nie

miał szanse na zatarcie śladów. Mógł jedynie nie pozostawić własnych. Przez gumową rękawiczkę, którą zawsze woził w schowku, zbadał puls chłopakom, i zyskał stuprocentową pewność, choć od razu było widać, że nie żyją od kilku godzin. Dobrze, że znalazł ich pierwszy. Trzej martwi agenci, ginący na prostej drodze w wypadku w Alistone, rodzinnej miejscowości jego i cholernego Tao Guna... Taka wiadomość ściągnie tu za chwilę zastępy ponurych śledczych dodających sobie znaczenia urzędową powagą, wścibskich dziennikarskich hien, nie mówiąc już o zwykłych gapiach. Lukrecji nawet nie przejdzie przez myśl, że mógł to być przypadek, złapie trop, przetrząśnie każdy zakamarek. Przez chwilę wahał się, czy zabrać im telefony, ale uznał, że to bez sensu. Zapis połączeń i tak będzie dostępny, ale wszystkie prowadzą do niezarejestrowanego numeru dawno unicestwionego aparatu. Nie miał tu dalej czego szukać. Za to u źródła tragedii, owszem. Wsiadł do samochodu i nacisnął gaz. Trzeba się śpieszyć. Zobaczymy, co się naprawdę stało.

Kiedy podjeżdżał pod dom znachorki, szary brzask zaczynał lekko rozcinać niebo. W jego nikłej poświacie dostrzegł zerwany dach, połamany płot, wykarczowane lecznicze rośliny i wyłaniający się z tego wszystkiego posępny obraz kompletnej demolki.

- Skrupulatność skrupulatnością - pomyślał - ale chyba przesadzili.

Podszedł do drzwi i zapukał cicho. Nikt nie odpowiadał. Dostrzegł wyłamany zamek i pchnął lekko. Uderzył go przenikliwy smród sadzy, moczu i starego brudu. W środku wszystko wyglądało znacznie gorzej niż na zewnątrz. W tumanach pierza walały się połamane meble, cegły ze zburzonego komina, wiechcie ziół i rozrzucone metalowe, poobijane i osmalone garnki.

Na rozprutym łóżku leżała mała, chuda, skulona postać. Jej twarz zwrócona w stronę Twigga uśmiechała się nieznacznie. Lekko opadająca szczeka odsłaniała pożółkłe zęby.

- Niech się pani obudzi - powiedział. - Pomogę doprowadzić dom do porządku, zaraz wezwę ekipę remontową. - Staruszka nie poruszyła się. Podszedł i pochylił się nad nią. Z bliska wyglądała młodziej, niż ostatnio zapamiętał. - Halo, matko! - Przemógł się, po raz kolejny doświadczając poczucia winy. - Co tu się stało? - zapytał bezczelnie. - Potrząsnął nią lekko i odskoczył. Była sztywna i zimna. Spod poszarpanej koszuliny wystawał kawałek zielonego papieru. Nie bał się trupów, widział ich w życiu setki, ale zawsze wierzył, że Wasyliś będzie żyła wiecznie.

- Stara wiedźma przeżyje nas wszystkich! - mawiał jako młody podrostek do Tao, a ten rzucał się na niego z pięściami,

z wściekłością krzyżąc: - Nie mów źle o matuzsce!

- Przecież dobrze mówię - przekomarzał się Peter, a potem tłukli się bez litości, dopóki ktoś ich nie rozdzielił.

Ach, wspomnienia.

Dlaczego ona się uśmiecha? Zdjęty trwogą, chciał uciec. Coś go jednak powstrzymało. Najpierw wyświadczyć ostatnią posługę - przemógł się w myślach po dawnemu, lecz co można zrobić? Zamknąć jej oczy, okryć prześcieradłem? Gdzie trzymała pościel? Jego wzrok znów padł na kartonowy róg przytrzymywany kurczowo zgrabiałą dłonią. Pociągnął delikatnie. Nie chciała ustąpić. Szarpnął mocniej. W rękę została mu cienka, sfatygowana teczka. Co za cenny skarb ukrywała do końca? Obejrzał niepozorną zawartość i przez plecy przeszedł mu dreszcz podniecenia. To były papiery Tao. Jak mógł o tym nie pomyśleć? Podejrzewał Sandersa, Annę i Bóg wie kogo, tymczasem oni nie mieli niczego wspólnego z miejscową szeptuchą. Za to Gun - przeciwnie. Bywał u niej częstym gościem, a znachorka traktowała go niemalże jak syna. Niezłe towarzystwo. Zostawił dokumenty w najbezpieczniejszym miejscu, jakie znał. Generał przyznał w duchu, że to był dobry pomysł, z Wasylisą nikt nie chciał zadzierać, a ona sama, co by nie mówić, była niesłychanie dyskretna. Kto wie, skąd tu przyszła i jakich dochowała tajemnic. Omerta, określenie, którego zapewne nie rozumiała, pasowało do niej jak ulał. A dokumenty sporządził Gun, „szyte” na swoją miarę. Prymitywne, bez prawniczych zawiłości. Niektóre, z błędami ortograficznymi, spisane osobiście przez niego. Jedyne sygnatury odróżniały się odmiennymi charakterami pisma. Potwierdzenia zaciągniętych zobowiązań finansowych. Jedyne, na jakich Tao się znał. Były to głównie weksle opiewające na duże kwoty lub in blanco, wszystkie wystawione na jego nazwisko. Opatrzony podpisami ważnych, znanych i prominentnych osób. Jeden z ostatnich, który rzucił mu się w oczy, na relatywnie niewysoką kwotę, parafowany nazwiskiem Anny Litewski, opiewał na dwa miliony trzysta osiemdziesiąt tysięcy i pięćdziesiąt sześć dolarów. Wyjątek stanowiło kilka poszarżanych świstków złożonych niedbale na czworo i wetkniętych za okładkę skoroszytu. Zeznania Killingtona, oryginał z podpisami jego i śledczych. Obciążały wiele osób. Listy Osmana z jasnymi dyspozycjami, które wydawał przestępczym przyjaciołom. Dokumenty finansowe, tym razem profesjonalnie sporządzone w renomowanej kancelarii notarialnej Wara, wykazujące machlojki i nadużycia na niespotykana skalę. Trzy głośne sprawy, trzy wielkie plamy na honorze agencji, gdy okazało się, że dowody zebrane w trakcie dochodzenia zniknęły tuż przed złożeniem ich do sądu.

Twigg pamięta związany z tym skandal, jeszcze potężniejszy, gdy wyszło na jaw, że służby tuszują zaginięcie akt. Dziś, po tylu latach, część z nich odnalazła się u znajomej staruchy. Kto je przekazał *padrino*? Generał tego nie wiedział. Ale wiedział, co na ten temat powie. Alleluja! Drzyj, Anno Litewski!

Twigg uśmiechnął się szeroko, z ulgą, jak człowiek, który osiągnął metę po długim i wyczerpującym maratonie. Odzyskał trzeźwość myślenia. Trzeba się stąd zwijać, zanim rozlegną się sygnały syren. Na pewno nie tylko Samantha rozpętała już burzę poszukiwań.

Kiedy wychodził, odwrócił się w progu i pokłonił przed nieboszczką do ziemi, tak jak lubiła.

- Dziękuję, matko, że przechowałaś dla mnie ten skarb. Dzięki niemu unieszkodliwimy pewną bardzo złą kobietę i paru jej pomocników z piekła rodem.

Wydawało mu się, że ciało na wersalce drgnęło, więc roześmiał się głośno i gardłowo jak wariat i na odchodne trzasnął drzwiami tak zamasyście, aż odpadły z nich zmurszałe deski.

- Wrócił pan zmęczony, ale widzę, że w znakomitym humorze? - ćwierkała *gospoia*, stawiając przed nim parujący talerz z jajkami na bekonie.

- Ach, pani Smith, wyjątkowo dobrze zaczyna się tydzień. Pani powrót przyniósł mi szczęście.

Aż zachłysnęła się z zadowolenia.

- Zaraz wszystkim się zajmę - zapewniła kolejny raz. - A pan chyba musi odespać.

- Nie, nie dziś. Zaraz ruszam dalej.

- Och, sam pan wie, że musi bardziej szanować zdrowie. Nie można tak się eksploatować. Szarpie się pan, a potem takie nieszczęście, jak wtedy... - nieco za późno urwała tyradę.

Twigg uniósł znad talerza lodowaty wzrok i takim samym głosem powiedział groźnie i powoli:

- Nie ograniczajmy się, pani Smith.

Libor nie potrafił i nie chciał czekać w nieskończoność. Dusza bandyty wrywała się do działania, nudziło go i mierzilo zwyczajne życie, które na siłę musiał wieść od kilku miesięcy. Obiecane wydarzenia nie następowały, słuchanie rozkazów przychodziło mu z coraz większym trudem. Miał zniekształconą, zakompleksioną, ale

wolną duszę. Tego nie docenił w nim Docent, chociaż mienił się wielkim znawcą natury ludzkiej. Niewykluczone, że coś tam nawet w tym zakresie studiował. Być może zamydlił mu oczy Koń, który nie lubił Słowaka i ciągle wstawiał szefowi lekceważące gadki o przybłędzie. Jak to nie umiał włączyć palnika w kuchence i chyba nigdy nie widział bidetu. Może i nie widział. Ale potrafił zabić człowieka sprawniej i dyskretniej, niż wszyscy jego koledzy razem wzięci. Teraz też doskwierał mu już głód krwi, wydarzeń i głośnej operacji, której byłby sprawcą i bohaterem, opisywanym na pierwszych stronach gazet ze zdjęciem z czarnym paskiem na oczach. Co ciekawe, jeszcze do niedawna nie czuł potrzeby rozgłosu, wręcz przeciwnie, jako imigrant wolał pozostawać na drugim, a najlepiej trzecim planie. Trzeba przyznać, że Docent zostawiał chłopakom swobodę działania. Liczył na ich spryt, nie chciał zbyt wiele wiedzieć o kuchni wydarzeń. Wolał, żeby przyniesiono mu na tacy efekt, który można by opić starą whisky w jego gabinecie. Był to jeden z czynników, który spowodował, że Libor zdecydował się na przeprowadzenie nieuzgodnionej akcji.

Gdy przyjmowano go do pracy, na ostatnim etapie stanął przed specjalną komisją, której roli do końca nie był pewny. Na krzesłach siedziało kilku mężczyzn, wśród nich zauważył jednego niewidomego z białą laską. Słyszał o nim, że to legendarna prawa ręka szefowej. Też sobie wybrała wsparcie, idiotka. Faceci zadawali mu sztampowe pytania, a ślepiec słuchał. Kątem oka Kovacz dostrzegł, że kręcił przecząco głową, gdy przewodniczący uśmiechnął się do niego szeroko i gromkim głosem oznajmił:

- Agencje Tyler, witamy na pokładzie!

To mu się od razu nie spodobało. Atmosfera rozluźniła się jednak szybko i Johna od razu zaproszono na pierwszą w życiu odprawę. Nie działo się na niej nic ciekawego. Kilku mężczyzn kręciło się po pokoju, czekając na przyjście jakiegoś ważniaka, który w końcu pokazał się tylko po to, żeby oznajmić, że nie ma czasu i prosi postępować zgodnie z mejlem wysłanym do szefa zmiany. Ten natychmiast z przejęciem przystąpił do referowania planów na najbliższą dobę. Z chaosu wyłonił się jeden interesujący punkt.

- Cześć, jestem Anthony. - Niewidomy wyciągnął do niego dłoń. Skąd wiedział, że Kovacz tu stoi? Może to mistyfikacja z tym jego kalectwem? Tylko po co? Rodzaj sprawdzianu? Dla osłabienia czujności? Zmyłka? - Nieufność Libora dorównywała rezerwie jego szefowej.

- Cześć - przywitał się. - Nazywam się John. John Tyler.

- Popularne nazwisko.

- Rzeczywiście.

- Napijesz się kawy? - Ślepy chłopak wskazał mu stojący w rogu ekspres i filiżanki, jakby to Libor nie widział. - Jesteś nowy? Nie przychodziłeś wcześniej na odprawy.

Dziwne - pomyślał Słowak. Co to za podpucha? Przecież sam przed chwilą przyjmował mnie do roboty. Jego niechęć do Anthony'ego ponownie wzrosła.

- Zaproszono mnie po raz pierwszy - zmusił się do grzecznej odpowiedzi. - Kawa chętnie, dzięki. - Libor wyminął chłopaka i poszedł we wskazanym kierunku. Nie było to uprzejme ani rozsądne, ale wyraźnie czuł, że nie ma ochoty z nim rozmawiać. Nigdy zresztą nie wiedział, jak się zachować w obecności niepełnosprawnych, chorych. Wprawiali go w zakłopotanie, którego nie rozumiał. Nikt mu tego nie tłumaczył, choć skądinąd był obojętny na bardziej nieprzyjemne bodźce. A ten, nie wiedząc dlaczego, kompletnie wytrącił go z równowagi. Zresztą przeszkadzał w słuchaniu grubego, spoconego oficera prowadzącego spotkanie. Gość nigdy już nie zaliczy testów sprawnościowych - pomyślał Libor. A temu nieborakowi nawet ich nie zaproponowano. Mimo to wiedzie luksusowe życie. Tak mówili w kantine, w której podsłuchiwał rozmowy, zanim wezwano go przed komisję. Ponoć młody miał łeb na karku, to dlatego.

Anthony odprowadził go serdecznym uśmiechem, bezbłędnie zwracając głowę w stronę miejsc, do których John Tyler się kierował i gdzie choćby na krótko przystawał. Niepokoiło to Słowaka i wprawiało w rosnącą konsternację. Wydawało mu się to nienaturalne i utwierdzało w przekonaniu, że chłopak symuluje.

Wieczorem na spotkaniu z Lukrecją Ant już się nie uśmiechał. Siedział blady, prawie chory.

- Hej, co jest? - zagadnęła pogodnie. - Złe się czujesz? Co słyhać? Jak wrażenia po spotkaniu? Zdawaj raport! - zachęcała milczącego chłopca.

- Niedobrze - odrzekł. - Dziś wśród zebranych wyczułem śmierć.

Anna nie lekceważyła jego słów.

- Czyją śmierć? Czy któryś umrze? Szkoda, to młodzi ludzie.

- Żadnego z nich. Kogoś nieobecnego. Nie jestem pewien, czy nie twoją...

Skoro nie mógł dojść bezpośrednio do Lukrecji, wpadł na pomysł, żeby wypracować kanał przez Anta. Niewidomy działał mu na nerwy. Nie wiadomo, co właściwie robił w strukturze agencji. Kręcił

się tu i tam z przydzieloną asystą i Libor odnosił nieprzyjemne wrażenie, że wciąż czegoś nasłuchuje. Może to był jego sposób komunikacji, ale wydawał się Słowakowi podejrzany. Anthony kontaktował się bezpośrednio z agentami, a nawet cywilnymi kandydatami do pracy w SAW, brał udział w rekrutacjach i różnej rangi zebraniach, więc Kovacz postanowił pójść jego tropem. Szybko ustalił, że chłopak siedzi przede wszystkim w swoich pokojach jak w szczelnym kokonie, w nich czuje się najlepiej. Na spacerzy wyciąga go z rzadka ta wściekła baba, też niezłe monstrum, koleżaneczka szefowej. W rodzinnej wsi Libora mieli kiedyś taką praczkę, podobna była, może trochę mniejsza, ale równie silna i odporna. Któregoś dnia utopiła się w rzece. Może i tę szlag trafi. Przestępczym nosem wyczuwał, że niewidomy chłopak, z którego usług Lukrecja tak chętnie korzysta, może okazać się jej najsłabszym punktem. Jako prosty facet gardził słabością fizyczną, nie doceniał siły psychicznej i drażniły go wszelkie dziwactwa. Podejmowane przez Anta próby prowadzenia normalnego życia obserwował z politowaniem. Młody nie lubił na przykład wypadów na zewnątrz, chodził zazwyczaj tylko do niewielkiego ogrodu wokół kompleksu budynków SAW. Nie przepadał za otwartą przestrzenią, natłok nieznanymi zapachów, obcych głosów i niespodziewanych nierówności terenu zmieniał jego rzekomy relaks, na który tak naciskała pani Huckelberry, w bitwę o przetrwanie, z której najchętniej umykał do swojego lokum.

- Musisz się usamodzielniać! - przekonywała go pani Huckelberry. - Powinieneś się dotlenić, bładny jesteś jak trup, którego teraz szukasz! - dogadywała.

- Bierzesz witaminę D3 w tabletkach? Teraz, latem? Po co? Nie możesz po prostu posiedzieć pół godziny na słońcu?

Musisz to, powinieneś tamto. Biedny chłopak, niechętnie, ale z grzeczności dostosowywał się czasami do jej zaleceń. Kilka takich momentów wykorzystał Libor. Śmiał się z nich w duchu. Skradał się alejkami za obiektem obserwacji w odpowiedniej odległości, ale i tak nie uniknął sytuacji, kiedy młodzieniec odwracał się w jego stronę i długo wlepiął w niego ślepe oczy. Słowak wiedział, że go nie widzi, ale czuł coś przeciwnego. Ant węszył. Może wyczuł jego pot, wodę po goleniu, cholera wie. Jednego był pewien. Kiedy pozna zwyczajnie odszczepieńca, nadejdzie moment, w którym on, Libor Kovacz, dołączy do tandemu Litewski - Moore. Może nawet wciągną Huckelberry i utworzą kwartet. Na ostatnie spotkanie. Tymczasem Anthony odwracał się i powoli szedł dalej, stukając wokół zaokrągloną końcówką białej laski. Niepokoił się.

- Ktoś mnie śledzi - wyznał Kornelii. - Słyszałem kroki.

- Spacerujesz w miejscu publicznym. Trudno, żeby ludzie nie chodzili.

- Ale ten skrada się za mną.

- Może to twój ochroniarz.

- Nie. Ktoś inny. Czuć od niego śmierć.

Kornelia nie byłaby sobą, gdyby się takim stwierdzeniem nie przejęła.

- Jeśli masz się denerwować, to następnym razem pójdę z tobą.

- Dobrze, ale co to da?

- Mnie nikt nie będzie śledził, nawet śmierć. Przekonasz się.

Odtąd spacerowali razem. Chłopiec rozluźnił się, a Libor odpuścił inwigilację, uznając ją za bezzasadną i wyjątkowo dla siebie niemiłą.

Może dał jej za dużo czasu? Lepiej utrzymywać Kornelię w stanie szoku. Jeśli zacznie się za dużo zastanawiać, nabierze wątpliwości i spali sprawę. Horn znów skradał się przez ciemniejący park. Wracały wspomnienia chwil, w których odwiedzał w ten sposób dawną kochankę, tak wtedy ważną, wyjątkową. Otrząsnął się ze wspomnień, zły na siebie. Mimo nękających go wątpliwości, był spokojny, że Huckelberry nie sypnęła. Nie mogła sobie pozwolić na stratę najmniejszej i najbardziej iluzorycznej szansy na odnalezienie syna gagatka. Kurczę, Paul chciałby mieć taką matkę! Była w porządku. Podczas ostatniego spotkania zauważył jednak oznaki osuwania się w otchłań manii. Czyżby Lukrecja tego nie widziała? Mało prawdopodobne. A może tak kocha starą, że nie chce niczego dostrzec? Niepodobne do niej, ale uczucia zawsze komplikują wszystko. Nawet u zimnych, złych kobiet.

Przed domem nikogo nie było, witała go głucha cisza, nawet ptaki się wyniosły. Upewnił się, że ochrona nie zadekowała się na terenie posesji.

- Za dobrze jej nie strzegą - mruknął. - Państwowe służby...

Potem zajrzał przez okno z tyłu budynku. Od razu zauważył ciężką postać. Leżała na sofie, przykryta długim, zmechaconym swetrem. Chyba spała. Delikatnie zapukał w szybę. Od razu się zerwała. Podbiegła do okna i zamasyście je otworzyła. No tak, zapomniał, jak potrafiła być dynamiczna.

- Wchodź! - rozkazała.

- Nie mógłbym przez drzwi? - zaprotestował.

- Szkoda tracić czas.

- No dobrze. - Wdrapał się na parapet, klnąc się za to w duchu.

Kiedyś, bez wybijania się, podskoczyłby w miejscu i jednym susem dostał do środka, nie potrącając nawet doniczek ze zwiędłymi kwiatkami. Brak kondycji dawał się we znaki na każdym kroku. Ktoś go załatwił na amen. No tak, Lukrecja.

- Co robimy? - rzuciła gospodyni bez wstępu.

- Wierzysz mi? - spytał.

- Tak - odpowiedziała ze smutkiem, jakiego nigdy u nikogo nie słyszała.

- No jak to, co? Znajdujemy Emila i wymierzamy jej karę, co nie? A zresztą - nie karę. Sprawiedliwość. Niech Annę dosięgnie sprawiedliwość.

Usiedli obok siebie przy zakurzonej stole pozalewanym tu i ówdzie resztkami zupy i herbaty. Horn opowiedział, co chce osiągnąć. Jego rozmówczyni znała wiele szczegółów, niezbędnych, by akcja miała szansę powodzenia. Nikłą, ale zawsze.

Ta chociaż mnie nie oszuka - pomyślał kapitan, patrząc na twarz pooraną siatką drobnych zmarszczek i różaniec tak ciasno opleciony wokół dłoni popstrzonej starczymi plamami, że robił podsiniaczone wgłębienia. - Najwyżej, jak coś pójdzie nie tak, zabije mnie, tym razem na amen - westchnął w duchu.

Z wolna kreślili plan. Paul weźmie swoje - jak to brzmi - zabierze jej życie, znów co za eufemizm. Zamorduje sukę, patrząc jej przy tym głęboko w oczy, nie roniąc ani kropli z jej strachu, ani sylaby z ostatniego błagania o litość. Spokojnie, chłodno i nie za szybko. Tak, by zdążyła wyznać Kornelii, gdzie jest Emil. To jej działka. Później niech zdycha. Tak z grubsza określili wzajemne interesy i korzyści. Kapitan czuł, że jeszcze pół roku temu pani Huckelberry, mimo palących podejrzeń w stosunku do Lukrecji, nie zgodziłaby się na takie rozwiązanie. Przecież nawet jego w gruncie rzeczy nie chciała wykończyć, po prostu zgodziła się na to przy okazji. To tak zwany w kryminalistyce zamiar ewentualny. Teraz wydawała się całkowicie obojętna. Podejrzewał, że złe, chorobowe procesy w jej głowie gwałtownie przyspieszyły, niepowstrzymywane przez litościwe tabletki. A podobno miała przyjaciół...

No nic, dla niego lepiej, żeby nie zauważyli toczącego ją robaka. Jeszcze popsuliby mu szyki.

Z wolna wyłaniały się szczegóły akcji. Nie ustalili planu B i to był pierwszy minus. Dopadnięcie Lukrecji w siedzibie SAW okazało się niewykonalne. Musieli poczekać, aż opuści bezpieczne mury. Operacja wydawała się karkołomna. Ale ktoś, kto tworzy precyzyjne konstrukcje myślowe, powinien też wiedzieć, że nic nie potrafi tak wspomóc, jak desperacja. A tą oboje dysponowali w nadmiarze.

Wiedza pani Huckelberry okazała się nieoceniona. Kiedy wynajęci spece zastanawiali się, gdzie i kiedy wybierze się pani generał, ona recytowała z głowy jej kalendarz. Długie i wnikliwie obserwacje przyzwyczajęń Lukrecji nie dały tyle, co lapidarne i trafne wnioski, jakie jej przyjaciółka podawała od niechcienia kapitanowi. Ustalenie trasy przejazdów i wybór środków lokomocji był tylko z pozoru chaotyczny. Podobnie, jak dobór i przygotowanie potraw, bo od historii z Erdą Anna obawiała się trucizny. Jej użycie wykluczyli zresztą w pierwszej kolejności. Litewski miała wszystko ustalone na rok do przodu. I przegadane z Kornelią, jeśli tylko ta chciała jej słuchać. Horn chłonał wszystko z wypiekami na twarzy.

- Ty chyba nie jesteś jeszcze do końca zdrowy, co? - dopytywała madame.

- Przeciwnie, proszę pani. Niech mi pani uwierzy, że nigdy nie czułem się lepiej.

- Wyglądasz, jakby podskoczyła ci temperatura.

- Bo podskoczyła.

- Uważasz mnie za zdrajczynię? - padło zniechęcające pytanie. Paul czuł, że od tego, co powie, może wiele zależeć. Również fiasko planu.

- Uważam cię za dobrą matkę - odrzekł. I to była właściwa odpowiedź.

- Może wyszłybyście gdzieś razem? Jesteście przecież przyjaciółkami. Na przykład do teatru, za chwilę wchodzi premiera. Później ploteczki, winko. Trzeba wyciągnąć ją na zewnątrz. Znajdź pretekst. Ja dołączę w trakcie - zaproponował Horn.

- Nie, ona nie pójdzie. Już nigdzie nie rusza się bez ochrony - odpowiedziała pani Huckelberry.

- Udawaj, że zachorowałaś. Przecież udzieli ci pomocy.

- Tak, przyśle doktora. Wątpię, żeby zechciała odwiedzić mnie osobiście. Nawet w domu nie bywa.

Oboje zasępiłi się. Na wspomnienie domu wróciły wspomnienia, do każdego inne. Tak czy inaczej, trzeba ją wywabić lub dopaść poza siedzibą agencji.

Jak ma się słabe warunki fizyczne, to trzeba mieć dobry sprzęt. Paul Horn skompletował go pieczołowicie. Wiadomo, że pistolet. Mały,

niezawodny. Drugi przypięty na łydce. Trzeci z tyłu, wsunięty w obszerną kieszeń niezbyt modnych spodni. Niewielkie strzykawki z oszłamiającą substancją. Nie trzeba więcej trupów, ale gdyby ktoś znieścacka stanął na przeszkodzie, wstrzyknie mu dyskretnie środek, który na pewien czas zwali go z nóg. Niech będzie, że zasnął lub dostał zawału, zależnie od tego, co się przyda w konkretnej sytuacji. Muzyczka, płynąca z telefonu komórkowego wprost do uszu przez słuchawki, nie powinna nikogo zdziwić. Taki sam aparat dostanie pani Huckelberry, dzięki niemu zachowają łączność. Madame upiera się, że potrafi się nim posługiwać, ale i tak robi jej drobne szkolenie.

- Ty też coś weź - poleciał kobiecie. - Tylko pilnuj, żeby nikt nie zauważył. Sprawdzają was, zanim zbliżycie się do Anny?

- Jeszcze nie. Ale pewnie i do tego dojdzie. Obostrzenia są coraz większe. Zresztą i tak nie zamierzam zabierać broni.

- Nie wszystko da się załatwić gołymi rękami, Kornelio. Nie gniewaj się, ale nie stajesz się młodsza.

- Już ty się nie martw. Zabiorę, co trzeba.

- Może jednak to razem uzgodnimy? Jesteśmy drużyną.

- Po co? Jak mi Bóg miły, nigdy nie chciałam się dostać do takiej drużyny.

I gadaj z nią. Na wszelki wypadek schował w torbie spray z gazem pieprzowym i pocisk dymny, gdyby trzeba było wyskoczyć w zamieszaniu. I na koniec coś na wypadek, gdyby jednak nie wyszło.

- Wtedy pieprznie w górę wszystko, łącznie z Lukrecją - pomyślał, wsuwając zabezpieczony granat do wewnętrznego schowka w kurtce.

Anna Litewski nie mogła się nadziwić. Może nie miała teraz zbyt wiele czasu na egzystencjalne rozważania, ale refleksje nasuwały się mimochodem. Ciągłe coś się działo, musiała przeorganizować cały podlegający jej rozległy, oporny, pokręcony mechanizm, postrzępiony na obrzeżach, pozazębiany w siatkę wrogich zależności. Odkryć je i zniwelować w porę, to nieproste zadanie. Jak dotąd, nie udało się tego zrobić żadnemu szefowi SAW ani chyba nikomu na świecie, kto dowodził organizacją podobną do agencji. Lukrecja czuła otaczającą ją zewsząd niechęć. Stanowiło to dodatkową przeszkodę, może nie najpoważniejszą, ale brak życzliwości podwładnych mógł ujawnić się w najmniej odpowiedniej chwili. Twigg rządził wiele lat. W tym czasie zaskarbił sobie łaski

większości, pozostałych przekupił, zaszantażował lub w ostateczności umiejętnie się pozbył. Zbudował prawie monolit, musiała mu to niechętnie przyznać. Na taki grunt weszła ona, w atmosferze przemocy i skandalu. Lubiany generał bez mrugnięcia okiem pogratulował jej, życzył sukcesów i elegancko usunął się w cień, przechodząc na zasłużoną emeryturę. Większość funkcjonariuszy miała jej to za złe. Szeptano po kątach, rzucano krzywe spojrzenia, rozsiewano plotki, choć od razu zapowiedziała, że wszelka dezinformacja będzie karana wyrzuceniem z pracy. Od lat nienawidzili się z Peterem z całego serca, zgrabnie przykrywając ten fakt maskami wyszukanych manier. Ciekawe, w jakiej zapadłej dziurze ten nobliwy, starszy pan kopie jej teraz grób. Choć powinna być ponad takie kwestie, nie mogła się powstrzymać przed drobnymi złośliwościami, małymi dotkliwymi ukąszeniami, dokuczliwościami czynionymi chociażby po to, by sprawdzić, czy stary lis jeszcze dostatecznie głęboko odczuwa, że go szarpia. Miała nadzieję, że nie osiągnął stanu podobnego do zen, w którym była współpracownica naprawdę by mu zobojętniała. Szczerze mówiąc, nie przypuszczała, by mogło to kiedykolwiek nastąpić. Nienawiść stanowi wielką siłę napędową. A i teraz drobiazg dla zabawy, taka perełka. Nakłoniła ministra spraw wewnętrznych, by wręczył generałowi order za wieloletnie zasługi. W zaproszeniu, wyrażającym po dziesięciokroć uznanie dla jego wkładu w rozwój praworządności, nie omieszkało zaznaczyć, jak wielu znaczącym przedstawicielom życia publicznego głęboko zależało, by tak wybitnej postaci nie zapomnieli i uhonorowali ją wdzięczni następcy i spadkobiercy rozległej spuścizny. Wśród nich najgorliwsza była obecna szefowa SAW. Do wiadomości generała dołączono wzruszające uzasadnienie, które w podniosłych słowach zaświadczało o jego godności, nieskazitelności charakteru i niewyczerpanym źródle inspiracji dla przyszłych pokoleń. Czyż to w gruncie rzeczy nie jest poruszające, owa pamięć, kontynuacja myśli, kultywowany szacunek? Anna nie mogła się nie roześmiać. Uwielbiała cynizm. Dobrze się bawiła. Oczyma wyobraźni widziała, jak Petera trafia szlag po otwarciu wytwornej koperty opatrzonej państwową pieczęcią. Uroczystość wręczenia odznaczeń miała się odbyć podczas dorocznego święta policji i służb. Na hucznej imprezie, najbardziej snobistycznej ze wszystkich, w jakich do tej pory uczestniczyła, podczas której wręczane są nominacje, awanse, udzielane branżowe zaszczyty i podpisywane dyplomy, spotykają się mali i wielcy przedstawiciele kręgów co do zasady walczących ze złem, a w rzeczywistości w pewnych obszarach głęboko nim przesiąkniętych. Bywają na niej dobrzy gliniarze, skorumpowani

urzędnicy skarbowi, oddani sprawie i skłonni do prywatnego poświęcenia cisi wojownicy, niepozorni wywiadowcy, wnikliwi, bystrzy śledczy i agenci grający na Bóg wie, ile stron. Wypada się tam pokazać, choć, biorąc pod uwagę tajność prowadzonych operacji, niekoniecznie pchać na świecznik. Kłębi się tam też tłum prokuratorów incognito, koronerów opowiadających niesmaczne dykteryjki o rozkładających się ciałach i nietypowych sekcjach zwłok, przekupnych adwokatów, aspirujących do wyższych szczebli szeregowych i oficerów wszelkich formacji, polityków lokalnego i centralnego szczebla, zwykłych przestępców oraz dziennikarzy wszystkich możliwych gazet i stacji telewizyjnych. W tym roku współprzewodniczyć głównym obchodom miała ona razem z zaprzyjaźnionym ministrem i dowódcą jednej z dywizji powracającej właśnie z pola walki na końcu świata. Zaplanowano nawet przemówienie prezydenta, ale to jeszcze niepotwierdzone. Gala zyska specjalną oprawę, dzięki wynajętym doświadczonym organizatorom wielkoformatowych imprez. Jeszcze kilka lat temu, może nawet miesiące, szczerze by to ją śmieszyło. Przygotowywałyby się, szykując element zaskoczenia, wywarcia wrażenia, wzbudzenia nagłego podziwu wśród uczestników. Grywała tym umiejętnie, zawsze odnosząc minizwycięstwa, od których odcinała później kupony, czyli większy wpływ na ludzi i organizacje, w których odgrywali kluczowe role. Cóż to szkodzi mieć znajomego prezesa banku lub adorującego dyrektora kopalni miedzi? Czasem czerpała korzyści osobiste, intymne, nawiązywała bliskie relacje, nawet małe romanse, tak użyteczne w drodze na szczyt. Teraz czuła pustkę. Najdrobniejszej ekscytacji. No, może przytarcie nosa Twiggowi będzie promyczkiem rozjaśniającym nudę spotkania. W dodatku opuszczanie siedziby agencji, która przeobraziła się w jej twierdzę, uważała za niepotrzebne narażanie się na zamach ze strony – właśnie z czyjej? Mafii, dawnych kolegów z branży, zazdrosnych kochanków? Spaliła się na tyłu frontach, że coraz trudniej przychodziło zabezpieczanie tyłów. Każdemu wyjazdowi, konieczności wyjścia do ludzi, przemieszczenia się z punktu A do B towarzyszyła skomplikowana, z dnia na dzień coraz bardziej rozbudowana i rozciągnięta w czasie logistyka. Kamuflaż środka lokomocji, daty przyjazdu, noclegu w hotelu, towarzyszy podróży. Anna na serio obawiała się o życie. Dopatrywała się zdrady wśród nielicznych osób, którym dotychczas ufała i które w rzeczywistości ją chroniły. Jednocześnie paradoksalnie nie rodziło to w niej wielkich emocji. Jakby przekroczyła wyznaczony jej przez opatrność górny poziom adrenaliny, a potem straciła zainteresowanie światem. Uznała, że taki po prostu jest. Trzeba

było podnieć wciąż mocniejszych i trwalszych, żeby wzbudzić jej ciekawość. A wywołanie głębokiego poruszenia lub chociaż dreszczyku? Zapomniała, jak smakują te uczucia. Miłość, przyjaźń, zaufanie, współczucie, radość i... spokój pochowała wraz z Philipem Sandersem, mężczyzną jej życia, którego zdradliwie, z premedytacją zastrzeliła. Wtedy po raz ostatni zawałił się jej świat, a cegły spadające na głowę nabiły guzy i wyszarpały jątrzące rany. Myślała, że cierpienie będzie towarzyszyć jej aż do śmierci. Ale przeszło zaskakująco szybko. Od tamtej chwili nie bolało już nic, nic też nie podniecało ani prawdziwie nie interesowało. Miejsce emocji, niegdyś rozbuchanych i nie do opanowania, zajął pragmatyzm.

- Obojętniejsz. I zarazem świrujesz - przestrzegala ją pani Huckelberry, jedyna osoba, której starczało odwagi, by krytykować szefową. - Boisz się spisku jak wielcy dyktatorzy, choć daleko ci do nich. Dałabyś spokój z tą pseudokarierą, szkodzi ci.

- Moja droga, takie zarzuty z twoich ust... Nie przeginaj, bo ci odpowiem.

- Skończ ze złośliwościami. Mówię ci, co widzę, o czym wszyscy szepczą. Sama się wykończysz szybciej, niż zrobi to ktoś z zewnątrz.

Anna nie podzielała jej opinii. Czuła zapach zbliżającego się zła. Zagrożenia. W tym była dobra. Wyłapywała sygnały, wbrew widocznym faktom, na przekór opiniom innych. Doceniała wagę zabezpieczeń. Doprowadziła je niemal do doskonałości.

Przebywanie w towarzystwie Anthony'ego wzmogło w niej owo wyczulenie. Kiedyś machała ręką, uznawała, że jest przewrażliwiona. Jego powaga i niezachwiane przekonanie, że „widzi” rzeczy, które mają nastąpić, i w niej poszerzały obszar wrażliwości. Jednak, czy nocny koszmar był tylko ułudą zmęczonego mózgu czy snem proroczym? Gdy budziła się roztrzęsiona, doznawała nerwowego strachu czy przeczucia?

Przykładów na trafność diagnozy pani Huckelberry było wiele. Codziennych, z pozoru zupełnie niewinnych. Zwykłe ułożenie fryzury i zrobienie manicure urastało do rangi tajnej operacji. Anna nie zgodziła się na zatrudnienie etatowej fryzjerki i kosmetyczki. Zamiast tego poleciła sprowadzić pracownice ze skromnego zakładu w oddalonej dzielnicy. Dziewczyny nie posiadały się ze szczęścia. Perspektywa sowitego zarobku i świetnej reklamy szybko jednak prysła. Zanim przywieziono je do SAW w towarzystwie kilku oficerów, co sprawiło, że poczuły się nieswojo, musiały podpisać

lojalkę, że nie zdradzą nikomu, kto jest ich klientką. Wszystko to było co najmniej dziwne. Jednak bez troska i wesołość dziewczyn wzięły górę i po przełamaniu pierwszych lodów raczyły panią generał ploteczkami z salonu. Wkrótce знаła większość bolączek klientek z odległego rewiru miasta, ich kłótni, kłopotów z dziećmi, miejsc, do których udają się na urlopy, oraz rzadkich chorób toczących je i ich teściowe. Wizyty stanowiły dla Anny odskocznię, z poziomu usług była bardzo zadowolona, choć nie przyjęła propozycji jaskrawszego koloru paznokci i nowocześniejszego przycięcia włosów. Za to śmiała się i żartowała z nimi jak stara koleżanka. Po pewnym czasie zaczęły ją jednak drażnić opowiadane przez nie banały i to, że fryzjerka stoi za plecami, a manicurzystka pochyla się nad jej dłońmi uzbrojona w ostry pilniczek. Poleciała, by w pomieszczeniu stali ochroniarze. Pryśła kameralna atmosfera spotkań. Intymny charakter zabiegów nie przeszkadzał Lukrecji, ale wizażystki, obserwowane przez kilku znudzonych mężczyzn, myliły się i denerwowały. Kosmetyczka zacięła Annę boleśnie w palec. Wystarczył cichy brzęk nożyczek z tyłu głowy, by szefowa SAW ruszała się gwałtownie, denerwując fryzjerkę.

- Coś się stało? Przestraszyłam panią? Szarpnęłam?

- Nie. Ale dzisiaj długo to trwa. Śpieszę się na spotkanie.

- Zaraz skończymy. Trochę nierówno obciąłam, muszę poprawić.

Lukrecja niecierpliwie przewróciła oczami. Współpraca zepsuła się. Trzeba było wymienić zaznajomioną ekipę na podobną z salonu w innym mieście. Dziewczyny były rozczarowane. Agenci szemrali, że rosnąca pycha szefowej doprowadzi do tego, że wkrótce trzeba jej będzie ściągać *beauty team* za granicę. Anna była wkurzona. Nikt jej nie rozumiał.

Kornelia nie miała złudzeń. Gdy w przyływie bezradności Lukrecja wypłakiwała się na jej potężnym ramieniu, radziła bez sentymentów:

- Idź do psychiatry. Załatwię ci wizytę.

Anna oburzała się.

- To chociaż do egzorcysty - podpowiadała. - Już on ma swoje sposoby. Zmarli cię męczą. Nie rozliczyłaś się ze wszystkimi i teraz się siebie czepiają.

- Bzdura.

- Jak bzdura, to czego ryczysz?

- Tobie samej przydałby się psychiatra, Kornelio.

- A tobie ksiądz. Taki, co się ciebie nie wystraszy.

Wybuchają śmiechem. Na pewien czas starczało. Później lęki wracały ze zdwojoną siłą.

Naprawdę chętnie poszłaby do lekarza, łyknęła tabletki, niechby jej przepisał coś, co szybko przynosi ulgę. Na długie leczenie nie ma czasu, a wieloetapowe terapie są dla naiwnych. Wprawdzie nigdy w żadnej nie uczestniczyła, ale to właśnie z tego powodu. Jej by nie pomogły. No i nie na obecnym stanowisku. Już depresja byłaby dyskwalifikująca, a co dopiero coś poważniejszego. Tak czy siak żadne psychotropy nie są warte plotek, które powstałyby po takiej wizycie. To, że informacja wyciekłaby do opinii publicznej, zanim lekarz zamknąłby za nią drzwi do gabinetu, było pewne. To wstyd tak sądzić w dzisiejszych czasach? I co z tego? Nigdy nie twierdziła, że jest postępową, wręcz przeciwnie.

Korzystniej do egzorcysty. Tylko, żeby Huckelberry się nie dowiedziała. Byłaby gotowa wznosić za nią modły i okadzać pomieszczenia, w których przebywa, aż wszczęłaby alarm przeciwpożarowy i uruchomiła deszczownie w całym gmachu. Niech lepiej każdy sam oswaja własne demony.

Rozdział 6

CORAZ BLIŻEJ

Moore przejął się. Szukał śladów Emila w sieci, ale podobnie jak inni - bezowocnie. Wyobrażał sobie, że taki typ musi zniknąć, ukrywać się nie tyle przed wymiarem sprawiedliwości, co przed szemranymi wierzycielami. Żadnych oficjalnych adresów, rejestrowanych działalności czy kont bankowych na własne nazwisko. Odległość nie ułatwiała poszukiwań. Antowi wystarczyłby najmniejszy ślad. Wiedziałyby, jak z niego skorzystać. Postanowił jeszcze raz przycisnąć agenta, który współpracował z nimi w Ameryce Południowej. Facet niewiele pamiętał, albo nie chciał mówić. Tak, kilka lat temu dostał zlecenie odszukania Emila Huckelberry'ego. Raczej nieformalne - wyznał niechętnie. Nie lubił przyznawać się do działalności prowadzonej poza oficjalnym nurtem. To wbrew szpiegowskim zasadom, choć umówmy się, służbistą nigdy nie był. Poświęcił temu zadaniu niewiele czasu, miał inną, pilniejszą robotę, ale owszem, odnalazł gościa. Zawsze kończy rozpoczętą pracę. Co? Jak? Gdzie? Minęło tyle czasu. To nieciekawy typek. Nieuleczalny hazardzista. Nie stronił od wódki, narkotyków i dziwek, ale nie szalał za bardzo, bo ograniczały go finanse. Miał potężne problemy, finalnie - śmiertelne. Chłop nie spłacał długów, a co gorsza próbował, na nieszczęście dla siebie, z niezłym skutkiem naciągać przedstawicieli lokalnego półświatka na rzekomo intratne inwestycje. Przedstawiał się jako pośrednik zakupu nieruchomości po okazjnych cenach - a to ziemi rolnej pod centrum handlowe, która musi wkrótce zostać odkupiona przez inwestora z kilkusetprocentową przebitką, a to terenów pod autostradę, której wybudowaniem jest zainteresowany nowo powołany rząd, a to luksusowych willi w centrum miasta, na które ostrzą sobie zęby dygnitarze i sławni artyści. Prezentował się wiarygodnie, wykształcony, elokwentny Europejczyk, delikatna

twarz, blond loczki, przymilny uśmiech. Nawet założył w Buenos Aires wyposażone luksusowo biuro. Każdy, kto do niego wchodził, odnosił wrażenie, że właściciel jest bogaty, ustabilizowany, na poziomie, a jego działalność mocno zakotwiczona w miejscowej tradycji. Później okazało się, że Emil podnajmował je na krótko i nawet nie uregulował czynszu. Sporządzał fikcyjne umowy, przyjmował zaliczki, narobił sobie wrogów.

- Miał kłopoty z prawem i bezprawiem - jak to zgrabnie ujął agent. - Oczywiście, lepiej dla niego byłoby wpaść w ręce policji, chociaż tam nigdy nie wiadomo, kto dla kogo pracuje, koszmarna korupcja, nie to co u nas, niż w ręce wystawionych do wiatru przestępców, szukających sposobu, by zalegalizować brudne pieniądze. Znalazł się w tak podbramkowej sytuacji, że z wdzięcznością przyjął propozycję pomocy w powrocie do ojczyzny, właściwie spadła mu z nieba, a i tak musiał zwiewać, gdzie pieprz rośnie. To był śliski gość. Nie ufał nikomu, chciał się zabezpieczyć, bezczelnie żądał gwarancji, choć ratowaliśmy mu tyłek. Nie podobało mu się, że grają z nim służby, pytał, czego później od niego będziemy chcieli. A kto niby miał się tym zająć, skoro nawet jego Anioł Stróż odpuścił? Na sprowadzenie Emila naciskała nasza obecna szefowa, facet już prawie wlaził na statek. I przepadł. Widocznie go dorwali. Podobno bosmana podstawiła mafia. Nie, nie sprawdzałem dokładnie, nie było po co. I tak pożył długo. Lukrecja się wtedy wściekła, krzyczała, że niczego byśmy od niego nie chcieli, że trzeba go było przekonać, bo to było ważne. Ale kto rozgryzie ograniczoną umysłowo szuję? Podejrzliwą z natury, po prostu wredną? Litewski kazała go dalej szukać, bez sensu. Co ona wtedy mogła? Teraz to co innego, ale parę lat temu zrobiłem jej łaskę, że w ogóle się za to wzięłem. Ryzykowałem. Ma nadzieję, że ona o tym pamięta, chociaż jakoś tego na razie nie widać. A propos, kiedy możemy pogadać o awansie? Może mógłbyś przekazać ode mnie ukłony dla pani generał, dawno nie trafiła się okazja, żeby pogadać...

Ant zbył go.

- Potrzebuję kogokolwiek, kto się z nim kontaktował. Może być przyjaciel, wynajmujący lokal lub szumowina usiłująca odebrać od niego forszę.

- Jaki, kurwa, przyjaciel? - zniecierpliwił się agent. - To menda była. Raczej wrogów mogę ci wymienić, o ile to pomoże. Nie chciałbym mieć już czegokolwiek wspólnego z tą sprawą. Jak chcecie do niej wracać, zlećcie oficjalnie.

- Dobrze - obiecał Ant. - Ostatni raz. Ale poproszę o wszystkie kontakty.

- Nie każdego już kojarzę, część nie żyje.

- Skup się.

Rezydent przypomniał sobie kilkanaście nazwisk i ich zarejestrowane, czyli na bank fałszywe profesje. Do niektórych dopasował ostatnie miejsce zamieszkania, w jednym przypadku znał nawet telefon. To nie było konieczne. Moore potrafił sobie poradzić w zawiłym świecie programów i tajnych aplikacji na tyle dobrze, że w ciągu tygodnia zdobył namiary na siedmiu z piętnastu wymienionych. Pozostałych ośmiu nie żyło. To utrudniało, ale nie przerywało poszukiwań. Korzystał z najnowszej generacji programów szpiegujących, do których dostęp, nie licząc się z kosztami, zapewniła mu Lukrecja. Nie były legalne, ale nikt się tym za bardzo nie przejmował. Trudniej jest dotrzeć do komórki nieżyjącego, numer jest zazwyczaj przekazany przez operatora innej osobie, jednak jego historia nie znika. Dla Anthony'ego było oczywiste, że Emil pozbył się telefonu i od dawna z niego nie korzysta, wszystko zależało jednak od tego, w którym momencie to zrobił. Podążył tropem ostatnich połączeń. Młody Huckelberry nie był skory do rozmów, jednak ostatni ślad, gdy w irytacji odebrał połączenie od swego prześladowcy, figurującego na liście skrupulatnie utworzonej przez Anta, zostawił w Szwajcarii. Później jego aparat już nie działał, zapewne wrzucony do ścieku lub ogniska rozpalonego na łące pod Zurychem. Na pewno jednak posługiwał się innym i istniała duża szansa, że ponownie nawiązał kontakt z tym człowiekiem lub z kimś z kręgu jego znajomych.

Czy do kłębka prowadziły również inne nitki? Potencjalnie kilka. Ant namyślał się chwilę, a potem przemógł wahanie i odpalił cud najnowszej technologii. Właściwie zakazano go używać, bo był przeznaczony do tropienia terrorystów i przeciwników politycznych. Lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział. Program szpiegujący rozesłał SMS-y pod wybrane numery. Ich treść była uniwersalna, sugerowała pochodzenie od operatora sieci i nie budziła podejrzeń. Gdy ich właściciele je odczytali, program samoczynnie się zainstalował. Dzięki temu młody informatyk miał dostęp do ich poczty meilowej, wiadomości, mediów społecznościowych, operacji na rachunkach bankowych. Mógł włączać mikrofon, żeby podsłuchiwać. Gdyby miał zdrowe oczy, mógłby uruchamiać minikamerę, aby podglądać w każdej, nawet najbardziej intymnej sytuacji te osoby, ich otoczenie i znajomych, którzy akurat znajdowali się w pobliżu. Zakładał, że idąc spać, odkładają telefony w pobliżu łóżek. Stały się smyczami, utajnionymi konfidentami, nieopuszczającymi śledzonych na krok. W ten sposób pozyskał ich kontakty. I kontakty kontaktów. Drzewo rozgałęziało się, a chłopak

niestrudzenie codziennie sprawdzał nowe poszlaki. Wykluczonych odrzucał, ale i tak możliwości, zamiast ubywać, przybywało. A jeśli się zorientują? Raczej niemożliwe. Zwyczajni śmiertelnicy nie wiedzieli o istnieniu systemu, nie potrafili wyobrazić sobie skali jego możliwości. Gdyby jednak kogoś z inwigilowanego grona, akurat wyposażonego w ponadprzeciętnie zaawansowaną wiedzę informatyczną coś zaniepokoiło, program usuwał się sam i zacierał po sobie ślady instalacji.

- Nie ruszaj tego - przestrzegła Lukrecja. - Tylko w wyjątkowych wypadkach, za moją osobistą zgodą. Nieprzychylni dziennikarze, opozycja, szczególnie groźni seryjni mordercy, wiesz... Dlaczego więc dotychczas tego nie zleciła, żeby pomóc najlepszej przyjaciółce? Nie pomyślała? Nie chciała się narażać?

- Problem w tym, że nie wiadomo, czy dane pozyskane dzięki obserwacji zatrzymują się u nas. Program jest tak skomplikowany i zaawansowany, że właściwie zna się na nim jedynie firma, która go wyprodukowała. Stąd obawa, że informacje są przekazywane dalej. Do kogo? Nie wiadomo. Choć łatwo snuć przypuszczenia. Sama wiedza o tym, kto kogo nielegalnie szpieguje i jaką w związku z tym dysponuje wiedzą, to potężna broń. Można dzięki niej ustalać nowy porządek na świecie albo bałagan, jak kto woli.

Ant odważył się jednak. Historia Kornelii wwierciła mu się we wrażliwe serce. Postanowił dojść do Emila drogą żmudnych eliminacji. W jego sytuacji zresztą wszystko i tak trwało sporo dłużej. Pozyskiwanie danych z nieoczywistych źródeł, przetwarzanie ich na kod cyfrowy możliwy do odczytu przez niego - nawet najlepszy sprzęt i oprogramowanie wymagały czasu na dodatkową konwersję. Chłopak przesiadywał nad tym dniami i nocami. Poświęcił się całkowicie, zaniedbał zadania zlecone przez panią generała. I kiedy zaczął już tracić nadzieję, praca się opłacała. Przyszedł szczęśliwy traf. Odnotował wymianę zdań wskazującą, że rozmówcą mógł być Emil! Oblało go gorąco. Wysłał SMS pod newralgiczny numer. Odbiorca zareagował. Program błyskawicznie zawładnął jego telefonem. Wyświetliła się historia rozmów i przesłanych wiadomości. Ant włączył mikrofon i kamerę. Zaczął robić zdjęcia, bez ładu i składu, na oślep. Wszystko ciągnęło się o wiele za długo, nie mógł wytrzymać. Przywołał drzemiącego na korytarzu ochroniarza.

- Widzisz tu twarz? - zapytał.

- Nie bardzo.

- Poczekajmy, może zaraz się uda.

Siedzieli w milczeniu. Agent i tak miał poświęcać cały czas niewidomemu informatykowi. Podopieczny pozwalał mu spać

i nigdy niczego nie chciał, co było wygodne. Tym bardziej dzisiejsza prośba o pomoc była niezwykła.

- Teraz coś widać. Z profilu - poinformował chłopaka.

- Czy to facet z fotografii? Porównaj, czy to ten. - Anthony wyciągnął z szuflady papierowe, nieco pożółkłe zdjęcia, które dostał od pani Huckelberry. - Pamiętaj, że jest teraz starszy.

- Nie jestem pewien. Daj zbliżenie. O, teraz się obrócił. - Agent namyślał się. - Jest siwy. Ma fatalną bliznę na lewym policzku - opisywał - chudą gębę jakąś. Ale to ten - zawyrokował.

Ant się rozpląkał. Czekał, aż obrazy przekonwertują się odpowiednio. Godzina, dwie. Wtedy i on je „zobaczy”. Program przez cały czas dodawał nowe ujęcia. Plecy chłopca wzdrygały się w szlochu. Agent patrzył zdumiony.

- Co ty robisz Anthony? Kto to jest? I co to za urządzenia do jasnej cholery?

- To zaginiony syn. Patrzymy na Emila Huckelberry'ego.

- Zobacz - zagadnął Ant nieśmiało. - To Emil.

Anna spojrzała z powątpiewaniem na niewyraźną fotografię.

- Skąd to masz?

- Z sieci.

- Jesteś pewien?

- Prawie.

- Ant, nie fantazuj.

- Myślałem, że bardziej się zainteresujesz...

- Dobra, wyślij mi to na mejl.

Nagle zrozumiała. Przecież on nie widzi.

- Anthony, to zdjęcie jest rozmazane. To może być każdy. Wiem, że bardzo się starasz, ale... może odpocznij. Zrób przerwę. Ja też niczego bardziej nie pragnę, też miałam podobne momenty szaleństwa. Tak bardzo chciałam go odnaleźć, prawie jak Kornelia. Nie daj się wciągnąć w jej obsesję, proszę cię.

Nie takiej reakcji oczekiwał. Już miał jej opowiedzieć o wszystkim. O poszukiwaniach, sukcesie. Przyznać się do nielegalnego wykorzystania programu. Głupio to brzmi. Przecież i system jest nielegalny. Jak więc inaczej można go użyć? Długo się do tego przygotowywał, zbierał na odwagę. Ale teraz milczał. Było mu przykro.

Czego Lukrecja się bała w związku z nieszczęsną zażyłością

z Philipem Sandersem? Oskarżenia o jego zabójstwo? Ależ skąd! Drżała przed tym, co potrafił jej udowodnić, bo niestety, jako mężczyzna kochany przez nią niegdyś wielką, naiwną miłością, wiedział o niej wszystko. Zdarzają się chwile i stopnie osiągniętej bliskości, które skłaniają kochanków do najskrytszych zwierzeń. Są słowa i wyznania, za które kupują chwile zjednoczenia i duchowej wspólnoty, wyznania grzechów, dziesięcioleciai skrywanych tajemnic. Szukają komunii jestestw i przebaczenia win. Aby ten najważniejszy ktoś powiedział ze zrozumieniem:

- Już dobrze! Od teraz wszystko się ułoży!

Zazwyczaj zaczynają płacić za to już następnego dnia, gdy tylko ulotni się magia wieczoru. Wątpliwości zasiane w duszy, niepotrzebne wyznania i kompromitujące szczegóły z przeszłości burzą ich spokój i zamiast wzmacniać więź, zaczynają ją powoli kruszyć. Odwrót następuje nieuchronnie, a wyjawione sceny rozgrywają się wciąż na nowo przed oczyma wyobraźni partnera obdarowanego zbędną szczerością. Miłosne uniesienia, w których to nie on uczestniczył. Przedstawienia, w których inny mężczyzna grał główną rolę. Kwintesencja głupoty spowiadającego się, motor dla rosnącego dystansu spowiednika. Do tego nie powinno się dopuścić, będąc w związku ze zwykłym przeciętniakiem, a co dopiero z wiceszefem krajowego wywiadu. Nie widziała w nim funkcjonariusza, tylko mężczyznę, najwspanialszego na świecie. Wyrachowanego szpiega, choć przecież od początku wiedziała, że nim jest, odkryła znacznie później. Cóż, błąd, za który oboje zapłacili najwyższą cenę. On też nie przewidział, że nadmierna przewaga nad kimś, tak jak jego nad Anną, może skończyć się klęską. Utrzymywanie balansu jest docelowo korzystniejsze dla wszystkich.

W jednej z takich chwil uniesienia, okraszonej łzami obojga i obficie podlanej winem, zachłystując się perliście toczącą się rozmową i nie mogąc oprzeć wrażeniu, że znają się od urodzenia, a może nawet byli razem w wielu minionych wcieleniach, Anna wyszłochała na ramieniu Philipa swoje sekrety. Jak miała osiemnaście lat i wyjechała ze znajomymi pod namiot. Do wspólnej damskiej łazienki na kempingu wdarł się, wtedy dla niej stary, czterdziestoletni facet i zerwał plastikową zasłonę prysznicową, za którą stała pod strumieniem wody naga i bezbronna. Nikt nie słyszał krzyków, pole namiotowe było oddalone, a z sanitariatów, jak na złość, nie korzystała żadna koleżanka. Młoda i przerażona nie miała szansy. W szamotaninie, której nieuchronny koniec był wiadomy, zerwała poprzeczny pręt z wiszącą ceratą i w odruchu zwierzęcej rozpaczy wbiła go w szyję napastnika. Upadł, charcząc,

a ona z niedowierzaniem obserwowała, ile krwi może wypłynąć z człowieka. Później obserwowała to wiele razy, już bez zaskoczenia. Uciekła tej nocy, nie skontaktowała się nigdy z ówczesnym chłopakiem, który niczego nie zauważył, a wstrząsające jej ciałem dreszcze wziął za objaw nagłej gorączki. Wieczory były już chłodne, więc na rozgrzewkę zaproponował herbatę z cytryną. Przez resztę życia czuła na sobie łapy tamtego, niby wędrujące po ciele czarne pająki, jego śmierzący oddech, lepki, przeraźliwy, nieludzki, pierwotny strach przed koszmarem, do którego nie doszło. Strach przed zdemaskowaniem, odkryciem prawdy, wiszącą nad nią karą więzienia za zabicie człowieka. Philip kołł i tłumaczył, zdjął z niej ciężar, zracjonalizował chorą, zduszoną panikę: niebezpieczeństwo minęło, nic jej nie grozi, proces wykazałby ponad wszelką wątpliwość, że to była samoobrona, ratowanie życia, przecież nie wie, co chciał zrobić tamten, być może ją zamordować. Postąpiła właściwie, każdy by tak zrobił na jej miejscu. Jest dzielna, silna, nie miała wyjścia. Dawno powinna komuś o tym opowiedzieć, zatrudnić dobrego adwokata. W razie czego on takich zna. Uwolnione demony wyfrunęły w świat, opuściły ją na moment, zwalniając miejsce dla następnych. Nie wiadomo też po co, przyznała mu się także, że kiedyś trochę dla żartu, a trochę dlatego, że jej się podobała, ukradła nielubianej ciotce posrebrzaną bransoletkę. Na początku chciała ją tylko schować, żeby podśmiewając się w duchu, z niby zatroskaną miną obserwować, jak tamta szuka, przetrząsa torebkę, zagląda pod zlew w kuchni, nad którym obierała warzywa. Później nie miała już okazji, by podrzucić błyskotkę, a poza tym zmartwienie ciotki sprawiało jej radość. Potem stwierdziła, że ozdoba będzie jej idealnie pasowała do nowej sukienki, i tak zostało.

Philip uśmiechał się pobłaźliwie. Nie komentował.

- Mogę poznać imię twojej ciotki? - zapytał.

- Weronika - odpowiedziała.

- Czym ci tak podpadła?

- Złośliwą zrzędlivością - śmiali się.

Pomiędzy pocałunkami wyjawiała mu więc coś jeszcze gorszego, mianowicie, że świadectwo maturalne kupiła na bazarze. Było fałszywe i nie dawało podstaw do dalszej nauki. Nie dlatego, że źle się uczyła. Jako młoda dziewczyna pochłonięta - zwyczajnie - imprezami, alkoholem, chłopakami i lekkimi narkotykami, nie miała na to czasu. Była najzdolniejsza w klasie, więc uznała, że nie musi kuć. Później, na studiach jednych, drugich i trzecich była najlepszą, nagradzaną absolwentką. Stypendystką prestiżowych fundatorów. Problem w tym, że bez matury kolejne dyplomy nie były ważne.

Strasznie się bała, że przez przypadek wyjdzie to na jaw. Obiecała, że już nigdy nie pójdzie na skróty. Philip zapewnił, że załatwi sprawę u źródła, czyli w papierach szkoły, tak aby wszystko się zgadzało. Kamień spadł jej z serca, by później wtoczyć się na nie powiększony stokrotnie.

Kochanek zrewanżował się jedynie zwierzeniami, że jako dziesięciolatek rozbił sąsiadowi piłką szybę w oknie, a jako dwudziestolatek miał romans z trzydziestosześcioletnią nauczycielką muzyki, która wycofała się w najgorętszym momencie znajomości, pozostawiając go na trzy miesiące w absolutnej rozpacz. Znaczenie ich wyznań nie było równoważne. Pułkownik Sanders asekurował się zawsze i wszędzie, nic nie zmieniało postanowień milczenia, nawet najintymniejsza i najwznioślejsza sytuacja. Gdy dotarło do niej, że na własne życzenie stała się jego zakładniczką, próbowała zmniejszyć potencjalne szkody, które mógł jej wyrządzić. Przekonywała, że kłamała, żartowała. Zawzięcie szukała materiałów, które może gromadził przeciw niej, tak jak na wszystkich w swoim otoczeniu, im bliższym, tym większego kalibru. Wątki podała mu na tacy, nie mogła tego odżałować. Tropiła i sondowała sprawę, z roku na rok przekonując się, że jest za sprytny, by je znalazła. Wtedy zdecydowała się na ostateczny krok, a na dodatek trafił się ten głupek, Horn. Pomógł jej wyciągnąć pułkownika na przepustkę, uwiarygodnić sfingowane okoliczności. Zabiła Philipa, zastrzeliła największą miłość. Skonał na jej rękach, zdumiony i chyba wdzięczny. Wolał śmierć niż niewolę. Później, wykorzystując już siły i środki niedostępne dla zwykłych obywateli, szperała dalej. Miała do dyspozycji specjalne zasoby agencji. Bez efektów. Wtedy zaczęła kiełkować w jej głowie straszna myśl, że obciążających ją materiałów nigdy nie było. Philip grał z nią fair, niczego nie sprokurował, zrobił dla niej wyjątek. I to było jego najszczerze, najprawdziwsze i najgorętsze wyznanie miłości.

Słowak postanowił, że dorwie Anta. Chłopak wyglądał na cykora. Poza tym naprawdę był bezbronny. Libor wierzył w siłę. Nie wyniósł ze szkoły wielu nauk, ale zapamiętał lekcje historii, podczas których siwy, przygarbiony nauczyciel opowiadał o zaawansowanych cywilizacjach, wysublimowanych relacjach międzyludzkich, pochwalę piękna i kunszcie słowa oraz sztuki, które roztrzaskiwały się pod pałami prymitywnych barbarzyńców. To był zapis dziejów w skali makro; on zaś miał prywatne mini, co do zasad niczym się nieróżniące. O agencji Moorze wiedział sporo i cieszyły go rezultaty

własnego szpiegowania. Wystarczy mocniej mu pogrozić, a przy okazji szefowej, która jest w stanie sporo dla niego zrobić. Nawet nie piśnie. Albo lepiej zaprzyjaźnić się z chłopakiem. Tak na poważnie. Wtedy mógłby zaskarbić sobie i jej życzliwość. Dotrzymać towarzystwa zasmuconemu podopiecznemu - czemu nie? Zaobserwował, że choć na zewnątrz budynku wszyscy byli napięci i uważni, w środku tracili czujność. Anthony stwarzał zresztą taką atmosferę, że ochroniarz traktował go jak kumpla.

Błąd w sztuce - myślał Libor. Wielcy profesjonaliści! - kpił w duchu. Ciepłe kluchy, którym udało się rozwiązać test z matematyki, przeskoczyć kilka płotków i przeczołgać parę metrów w niezbyt głębokim rowie. Nigdy nie patrzyli w oczy śmierci, nie słyszeli trzasku łamanych kości, nie czuli smrodu wywleczonych z brzucha jelit. Słowak znał to aż za dobrze. Takich jak on nie angażowano do wyrafinowanych zadań. Dopiero teraz. Pierwszy raz. Przecież nie jest głupi. To jego szansa. Nadeszła i już jej nie puści.

- Fajny facet z tego Moore'a, co? - zagadnął Libor kolegów. Sączyli piwo w pubie dwie przecznice od SAW. Robili tak prawie w każdy piątek, powoli ich wypady stawały się tradycją. - Ale trzymają go jak w więzieniu.

Towarzyszący mu agent skrzywił się.

- Fakt, szkoda chłopaka. Huckelberry osaczyła go ze wszystkich stron. Niedługo na nim usiądzie, żeby się całkiem nie mógł ruszyć. Ani oddychać. - Uśmiechnęli się krzywo.

- Najchętniej zepchnęłaby wszystkich do narożnika. Skąd się biorą takie babsztyle? Jeszcze się z nią trzeba cackać jak z jajkiem, bo wiadomo, zaufana szefowej, cholera wie dlaczego! - dodał drugi.

- Może to jej ciotka? - podsunął Libor.

- Eee, nieee... I mamy jej pilnować. Wierz mi, stary, wolałbym pojechać na front - dorzucił trzeci.

- Ale Ant jest w porządku. Może byśmy go zabrali ze sobą następnym razem?

- Oj, weźmiesz za niego odpowiedzialność?

- A jaki to problem?

- To trzeba by zaprosić Grega, jego ochroniarza. Moore nie rusza się nigdzie sam. No i ktoś musi go przywieźć, a potem odstawić na miejsce.

- Jeszcze lepiej - udawał zadowolonego Kovacz - im nas więcej, tym weselej. Chłopaki na pewno chętnie wyskoczą na miasto

w piątek, zamiast nudzić się cały wieczór w tej ciemnej norze. Podobno nawet nie zapalają tam światła.

- Antowi światło niepotrzebne.

- A ty znasz Grega? - zwrócił się do siedzącego obok zamyszonego kolegi.

- Tak.

- To zaproponuj mu wypad.

- Nie wiem, czy się zgodzi.

- A to już jego strata - zakończył temat Libor, unosząc do ust kufel piwa.

- Hej, Anthony! - zawołał wesoło Greg. - Zgadnij, jaką mam propozycję. - Moore przybrał zaciekawiony wyraz twarzy.

- Chłopaki wyskakują sobie co piątek do klubu, wiesz... Piwko, tańce, luźne gadki, co kto lubi. Chcą, żebyśmy poszli z nimi. Wstępnie powiedziałem, że tak, co będziemy tu siedzieć cały wieczór. Trzy piwa, nie więcej i wracamy. Wszyscy tak robią. Chyba że nie masz ochoty, to odwołam.

- Naprawdę? - Ant był zupełnie zaskoczony ofertą. - W sumie... chętnie...

- No to super! - Tom klepnął go lekko w plecy. - Czyli w piątek miasto nasze!

Ale wcale tak super nie było. Anthony Moore, głupio się przyznać, nigdy nie był w pubie. Omijały go męskie rozrywki i jak wszystkiego, co nieznanego, trochę się ich obawiał. Ciekawość wzięła jednak górę, no i bardzo lubił chłopaków.

Jednak gdy w dniu spotkania przestąpił progi lokalu stylizowanego na starą tawernę, szybko się rozczarował. Początkowa ekscytacja ustąpiła miejsca zniesmaczeniu. Starannie się ubierał i szykował, choć Greg zapewniał go, że to zupełnie niepotrzebne i grunt, by być na luzie.

- To tylko zabawa - podkreślał.

Ant nie za bardzo to potrafił, wrzucił ów luz trochę na siłę, od razu wyczuwało się, że jest sztuczny.

- Będiesz zadowolony, chłopie! - zapewniał jowialnie Greg, który opiekował się nim sumiennie i obiecał, że wyjdą, gdy tylko coś się Antowi nie spodoba albo poczuje się zmęczony.

A nie spodobało mu się szybko. Sporo się spóźnili. Reszta towarzystwa doszła do wniosku, że już nie przyjdą i w zasadzie wszyscy zbierali się do wyjścia. Byli mocno podchmieleni, a Libor najobficiej opił rozczarowanie.

Pojawienie się spóźnialskich przyjęli entuzjastycznym krzykiem. Szybko i wesoło na stół wjechała karna kolejka, później następne. Anthony był oszołomiony. Hałasy, wrzaski, dym papierosów, zapach alkoholu i tłok zaburzyły ustalony rytm. Piwo lekko zaszumiło w głowie. Podpici koledzy zabawiali go opowieściami o wydarzeniach z ostatniego tygodnia i podejrzeniach, kto z kim w agencji ma romans. Trochę się nawet o to pokłócili. Chłopak nigdy nie uczestniczył w podobnych rozmowach.

- Hej, bracie! - przysunął się do niego Libor.

Ant czuł przepity oddech i uścisk ramienia, który choć w zamiarze przyjacielski, sprawił mu ból. Coś go odrzucało od tego człowieka.

Kovacz jednak postanowił zadzierzgnąć z przybyłym mocniejsze więzy i starał się zabawiać go na swój sposób. Nieco na siłę pociągnął go do siebie. Ant nie opierał się zaskoczony, ale stracił orientację i zrobiło mu się niedobrze. Słyszał obok głos Grega, nie chciał mu przeszkadzać w rozmowie z kumplami, ale nie bardzo umiał się do niej włączyć. Tematy zmieniały się jak w kalejdoskopie, a o części poruszanych spraw chłopak nie miał pojęcia. Obce miejsce go przerażało i odbierało naturalny urok, którym w SAW emanował na spotkaniach. Rozczochrany i zarumieniony pociągał desperacko kolejne łyki piwa, uczepiwszy się kufla niby białej laski. Obok dwa młode kobiece głosy prowadziły ożywioną dyskusję, próbując rozstrzygnąć, w jakim miejscu na ciele najlepiej zrobić tatuaż.

- Chcę, żeby był dyskretny. Tak, żeby mogła go wyeksponować, gdy zechce, ale też schować tak, żeby nikt nie widział.

- Może na boku? - podpowiadała koleżanka. - Gdy opuścisz rękę, nie widać, a gdy podniesiesz, jest! To na plaży. Przez przezroczystą bluzkę będzie prześwitywał, a jak założysz coś grubszego - nikt się nie zorientuje.

Rozochocony Libor pociągnął Anta w stronę dziewczyn, nie zważając na jego ostrożne opory.

- A co pani chce sobie wytatuować? - zabełkotał.

- Tarantulę - odpowiedziała grzecznie dziewczyna.

- O ho, ho! Groźna z pani sztuka! W tej sprawie służę profesjonalną pomocą. Mogę cię wytatuować - zmienił nagle ton. Kolega też pomoże! - zarechotał paskudnie, wskazując na Anta.

- Przepraszam - powiedział zażenowany Anthony. Czuł na sobie ich zdumione oczy i wiedział, że właśnie zdały sobie sprawę z jego kalectwa. Poczul się upokorzony.

- To pan wykonuje tatuaże? - pociągnęła temat jedna z nich, aż

za grzecznie jak na rozmowę z podchmielonym prostakiem.

- A i owszem - zapewnił John. - Ale nie byle jakie! Stosuję nowatorską technikę, cud japońskiej myśli technologicznej, co nie Anthony? - bredził. - A po specjalne igły posyłam ludzi do Anglii. Wzorów tarantul mam ze sto, włochate, gładkie, małe, wielkie, wpadnij do mnie, coś wybierzesz, kolega ci doradzi. - Tyler zatoczył się i ratując przed upadkiem uczepił sukienki dziewczyny, potracając przy tym mocno Anta. Ten całkiem się zagubił i zawstydził.

- Hej, Tyler, odbiło ci? - zainterweniował Greg. - Przepraszam panie, kolega za dużo wypił. Jak tam, Ant? - spytał z troską. - Dobrze się bawisz?

- Tak, jest świetnie - odpowiedział chłopak niepewnie.

- Masz ochotę wracać?

- Już dość długo jesteśmy. Kornelia może się zaniepokoić.

- Racja. Dzięki chłopaki, dobranoc paniom. Bawcie się dobrze, my już wracamy.

- Szkoda, Anthony. Nie zostaniesz jeszcze trochę? - namawiali koledzy.

- Pewnie, zabawa dopiero się rozkręca, zaraz zmienimy lokal. -

Ciągnął go za rękaw Libor.

- Dzięki, ale spadamy - wkroczył Greg ponownie. - Cześć!

- Cześć, cześć! - Tyler nie omieszkał na pożegnanie walnąć Anta w plecy, aż zahuczało.

Greg wyczuł wszystko.

- Chyba nie za dobrze się bawiłeś? - zagadnął w samochodzie.

- Spoko. Fajna rozrywka. Tylko... Ten John Tyler. Długo u nas pracuje?

- Skup się Ant, sam go na początku przesłuchiwałeś.

- Chyba byłem przeciwny...

- I słusznie. Tyler to cham. Nie przejmuj się jego zagrywkami, inaczej nie potrafi. Ale to dobry agent. O, dojechaliśmy! Chodź odpocząć.

Libor był wściekły na siebie. Wyszło inaczej, niż zamierzał. Sobotni poranek powitał go potężnym kacem i poczuciem zmarnowanej szansy. W ustach zaschło mu na dobre. Może jeszcze jedno piwo dla kurażu? A jeśli jednak ten ślepy go polubił? Zwiął jakiś skwaszony, dziwak. Strasznie delikatny. Jak się zrazi, koniec przyjaźni. Cholera go zresztą wie, Libor nie pamiętał dokładnie przebiegu wieczoru. Telefon do dziewczyny od tarantuli też zgubił. Jak pech, to pech! To

nic, zaprosi Moore'a następnym razem. Pójdą tylko we dwóch, kameralnie. Grega też się spławi. Pokaże mu prawdziwe miasto nocą, a później Anthony zrewanżuje się zaproszeniem do siebie. A stamtąd do Lukrecji już blisko. Dobrocią można więcej działać niż złością - uczyła go matka Vladimira. Otóż to! Uśmiechnął się perfidnie, lecz zaraz skrzywił przeszyty koszmarnym bólem głowy.

- Niech go sprawdzą! - zażądał Anthony.

- Kogo?

- Tego, który pachnie najtańszą wodą kolońską. John Tyler, tak się przedstawia.

- Był sprawdzany.

- Dokładniej, dużo dokładniej.

- Coś się stało? Masz jakieś podejrzenia? - Dowódca popołudniowej zmiany warty w przerwach między obchodami lubił pograć z Moore'em w karty. Nie różniły się niczym od zwykłych, z wyjątkiem kilku wypukłości na rewersie. Początkowo ucieszył się, że może je wykorzystać do oszukiwania innych kumpli w kasynie, szybko jednak zmienił zdanie. Wypukłości nie przydawały się do tego, na nic było ich zapamiętanie, nie wpływały na wygląd i strukturę awersu, nie powodowały, że którakolwiek z kart choćby minimalnie odstawała w talii, inaczej się układając... Odkrycie okazało się nieprzydatne, ale cieszył się na partyjki z Anthonym. Grali na pieniądze, inaczej nie byłoby sensu. Chłopak miał ich sporo, a przy tym zero hazardowej przebiegłości. Dowódca, jako zapobiegliwy mąż i ojciec, uważał, że głupotą byłoby nie skorzystać z dorobienia paru groszy do oficerskiego żołdu. I do tego bez wysiłku.

- Coś cię niepokoi? Czy przemawia twoje słynne trzecie oko? - zakpił po koleżeńsku.

- I jedno, i drugie. Nie zachowuje się... tak jak my. Sprawdźcie jeszcze raz i zdajcie mi raport. - Ant po raz pierwszy zwracał się do niego nie jak kumpel, ale szef. Dowódca zreflektował się.

- Tak jest! No i kareta dziesiątek, proszę bardzo.

Funkcjonariusze niezbyt chętnie, narzekając na fanaberie Moore'a, ruszyli w zamglone, chłodne miasto. Muszą się teraz włóczyć po domach, wyczekiwać w instytucjach, aż kierownictwo znajdzie czas, by ich przyjąć, i wypytywać ludzi, którzy z zasady wolą się trzymać od nich z daleka i przezornie nie mówią zbyt wiele. Niech to szlag!

Niewdzięczne zadanie, zresztą Tyler już raz przeszedł wirówkę. Jeszcze trochę i w SAW naprawdę nie da się wytrzymać. Na to, że takie przeszpiegi są trochę niekoleżeńskie, już dawno machnęli ręką. Zaczęli od sąsiadów Johna. Na pierwszy ogień poszła miła, zażywna pani z naprzeciwka. Właśnie wyprowadzała na spacer pieska, ubrana w długi, elegancki płaszcz i kapelusz ozdobiony filcowymi fiołkami, kiedy pod drzwiami zaczepiło ją dwóch agentów.

- Dzień dobry pani!

- Dzień dobry! Kogo panowie szukają? - zapytała, kiedy pokazali jej odznaki.

- Czy coś się stało? Kogoś napadnięto? - zapytała przestraszona.

- Nie, proszę się uspokoić, wszystko w porządku. Przeprowadzamy wywiad środowiskowy na temat pani sąsiada. Czy zechce nam pani odpowiedzieć na kilka pytań?

- Ależ oczywiście! - Emerytka aż potrzęsnęła blond lokami utrefionymi według sztywnej mody z lat sześćdziesiątych. Uwielbiała czuć się potrzebna. - Chodzi panom o Johna? To uroczy, grzeczny, uczynny człowiek. Zawsze pomocny.

- Wspaniale. Jak długo tu mieszka?

- Od dziecka!

- A pani?

- Dłużej niż pan spaceruje po tym świecie, młody człowieku.

- Więc znała pani jego rodziców?

- Oczywiście! Przyjaźniłyśmy się z jego mamą - westchnęła ze smutkiem.

- Co się z nimi stało?

- To pan nie wie?! - obruszyła się. - Zginęli w wypadku samochodowym. Biedny John został sierotą. Pomagałam go wychowywać.

Jak dotąd wszystko się zgadzało.

- Dziękujemy. Nie zatrzymujemy już pani dłużej. Piesek się niecierpliwi. Fajny psiak!

Oficer schylił się, żeby pogłaskać białoczarne kudłaczka z odstającym śmiesznie zębem. Sąsiadka napuszyła się z dumy.

- Chodź, słonko, chodź! - zawołała do zwierzaka. - Panowie już wychodzą!

- Jeszcze jedno - zatrzymał się na chwilę młodszy oficer. - Jak miała na imię jego matka?

- Czyja matka?

- No Johna? Mówiła pani, że bardzo się przyjaźniłyście.

Cholera! Przecież pamiętała! Traskalski wbijał jej szczegóły w głowę przez dłuższy czas. Dostała za to nawet niewielką premię.

Miała to imię zapisane na kartce schowanej w szufladzie kredensu. Przez chwilę rozważała, czy lepiej podać imię pierwsze z brzegu, czy zasłonić się sklerozą.

- Wyleciało mi z głowy.

- Jak to? - Agenci cofnęli się od drzwi.

- Jestem już stara! Mam problemy z pamięcią! A wy mnie wytrącacie z równowagi! Patrzcie, co narobiliście! Mój piesio się cały trzęsie, chodź tu, chodź do pańci! Zaraz się zsika! Już dawno powinniśmy być w parku!

Jak na razie, najbardziej trząśł się jej potrójny podbródek, jasnoniebieskie tęczówki ukryte w tłustych policzkach biegały na boki niespokojnie.

Na gościach nie robiło to wrażenia. Przyjrzeni jej się badawczo i podziękowali za współpracę.

- Jasne, i tak nam pani bardzo pomogła. Życzymy miłego dnia i przepraszamy za kłopot. Jeszcze jedna prośba: proszę nie mówić Johnowi, że o niego pytaliśmy. To tajemnica państwowa! - ostrzegli groźnie.

- Nic nie powiem. Nie zamierzam go denerwować. Idźcie już!

Na zewnątrz dwaj agenci popatrzyli na siebie.

- Stara chyba coś kręci.

- I mnie się tak wydaje. Sprawdzamy dalej?

Niechętnie udali się do dyrektora liceum.

Budynek szkoły był ogromny, szary, dawno nieodświeżany. Tynk obsypywał się ze ścian, wywołując nieprzyjemne wrażenie starzyzny. Na ich widok dyrektor zdenerwował się mocno, był pewien, że wizyta ma coś wspólnego z karygodnym wybrykiem kolejnego wychowanka. Gdy dowiedział się, że chodzi tylko o potwierdzenie tożsamości, wyraźnie odetchnął z ulgą.

Poprosił sekretarkę o podanie wody. Podniosła się ociężale zza niemodnego biurka. Trwało to długo. W końcu z obrażoną miną zastukała tipsami w szkło szklanek. Nietrudno było zauważyć, że odnosi się do dyrektora protekcjonalnie, jak kobieta, która po wyjściu gości ma prawo wybuchnąć, żeby nie traktował jej jak służącej. Bo odejdzie. I wiadomo, że to on będzie przepraszał.

Dyrektor starał się ukryć przed agentami dwuznaczne wrażenie. Podziękował za napój i szybko wrócił do meritum.

- A tak, był u nas, w latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery - dziewięćdziesiąt osiem. Całkiem dobrze się uczył - piątki, czwórki, trójka z chemii w czwartej klasie - analizował powoli. - To

odpis jego świadectwa. A to stare dzienniki ocen, przepraszam, są zakurzone.

- Był ostatni na liście. Tyler. Pamięta go pan? Może pan nam coś o nim powiedzieć? Jaki miał charakter, czy koledzy go lubili, wie pan.

Dyrektor bezradnie rozłożył ręce.

- Przykro mi panowie, uczęszcza tu tylu uczniów. Wyż demograficzny co kilka lat, mamy obowiązek przyjmować wszystkich. - Porozumiewawczą miną dał do zrozumienia, że wcale tego nie aprobuje.

- Nigdy nie prowadziłem zajęć w jego klasie. Może wychowawczynie, pani Lipiński, mogłaby powiedzieć coś więcej. Niestety zmarła rok temu. Od tamtego czasu kadra się kilkakrotnie wymieniła, rozumieją panowie, rotacja, słabe pensje. Nauczyciele chętnie przenoszą się do szkół prywatnych... Czemu panowie się nim interesują? Zrobił coś złego?

- Ależ nie. To standardowa procedura związana z awansem.

Dyrektor rozpromienił się.

- Naprawdę? Nie wiem o co chodzi, ale proszę Johnowi pogratulować. Wszyscy się cieszymy, kiedy nasi wychowankowie odnoszą sukcesy. Zyskali w tym liceum solidne podstawy do porządnego życia - dorzucił nieskromnie.

- Oczywiście. Jeszcze jedno. Czy zachowały się jego zdjęcia z tamtych czasów? Chcielibyśmy rzucić okiem.

- Na pewno, zaraz panom służę. Każda klasa prowadzi odrębną kronikę, to tradycja szkoły. Każdego roku przyjeżdża do nas fotograf, uczniowie sami też robili zdjęcia z balu maturalnego.

Na polecenie szefa niezadowolona, a właściwie teraz już wściekła sekretarka wyszperała stare, ręcznie wykonane przez młodzież księgi.

- Poznaje pan, który to?

- Niestety, mówiłem już... Czas zaciera...

- Nie widać wpisów na jego temat... - przerzucali woluminy kartka po kartce.

- Uczniowie to prowadzili. Czasami coś przeoczą. Młodzież jest teraz taka roztrzepana.

- Możemy cyknąć zdjęcia zdjęciom? - uśmiechnął się jeden z agentów.

- Ależ proszę.

Aparat fotograficzny poszedł w ruch. Wkrótce cyfrowe obrazki kronik szkolnych stały się załącznikami do akt osobowych Johna Tylera.

Coraz bardziej zaniepokojeni agenci udali się na uczelnię, na której zgodnie z oświadczeniem studiował ich kolega. Tu sytuacja powtórzyła się – widniał w oficjalnych papierach, ale nie wbił się w pamięć żadnemu profesorowi. Potrafił o nim coś powiedzieć jedynie młody adiunkt.

- Tak, faktycznie, był ktoś taki. A, rzeczywiście, bardzo skromny, nijaki, nierzucający się w oczy. Na imprezach raczej się nie pokazywał, skompromitował się kiedyś po wypiciu zaledwie czterech kieliszków wódki, miał bardzo słabą głowę. Później studenci go nie zapraszali albo może sam nie chciał bywać.

Podziękowali i wyszli. Niepokój ustąpił miejsca przerażeniu. Słaba głowa? To chyba nie Tyler, który potrafi w pubie wypić więcej niż pół doborowego oddziału. Sam adiunkt był o wiele za młody, by pamiętać jego czasy studenckie, o których tak enigmatycznie opowiadał.

- Natychmiast dzwoni do szefa! Mamy kreta! - zdecydował starszy agent.

- John! Dziś ty podwieziesz szefową.

Libor zrobił wielkie oczy. Patrzył wyczekująco na oficera, ale ten nie zamierzał wyjaśniać niczego więcej.

- Dokąd? - zapytał przytomnie.

- Dowiesz się później. Chodź szybko, jesteś wezwany na odprawę.

Słowak nie zdążył jeszcze ukończyć podstawowego kursu na kierowcę kolumn rządowych, nie mówiąc o przewożeniu VIP-a. Widocznie dowództwo uznało jednak, że się nadaje. Albo nie było innego wyjścia. Inna sprawa, że miał do tego predyspozycje.

Poczuł wyrzut adrenaliny, spiął się cały, w pełni gotowy na dowolną improwizację i wykorzystanie nadarzającej się okazji. Wreszcie zobaczy ją z bliska. Szedł za oficerem do części budynku, do której nie miał przepustki. Nagle dostąpił zaszczytu wejścia do ścisłego grona szpiegów, którym powierza się najpoważniejsze zadania. Rozpoczęła się odprawa, opowiadanie farmazonów o odpowiedzialności i perorowanie o planach na najbliższe trzy dni. Libor słuchał z ponurą miną, skoncentrowany, nie chcąc uronić najmniejszej wiadomości. Każdy szczegół mógł się przydać.

Szybko skontaktował się z Traskalskim. Żaden z nich nie zamierzał zmarnować takiej szansy, a przy okazji obydwaj chcieli zabłysnąć. Koń oddzwonił po siedmiu minutach.

- Pan Docent o wszystkim wie. Czekamy. Samochody obstawią trasę przejazdu. Gdybyście zmienili plany, daj znać. Chłopaki stoją w zapasie. Relokują się. Powodzenia! - rzucił niespodziewanie. W jego głosie słychać było wielkie napięcie.

Libor nie wiedział, czy Koń osobiście weźmie udział w akcji, na tym etapie wolał nie znać szczegółów. Był najważniejszą postacią. Głównym kierowcą. W odpowiednim momencie miał zmienić drogę przejazdu, w końcu skręcić na jeden z kilkudziesięciu obstawionych leśnych parkingów, zajazdów pod motelami i tym podobnych miejsc. Możliwości było wiele. Zdecyduje na miejscu, sam wybierze najdogodniejszą opcję. Czuł wsparcie za plecami. Mafia zebrała siły. Na umówione hasło kilkadziesiąt różnych samochodów osobowych i ciężarowych, wszystkie na fałszywych tablicach, przebitych numerach nadwozi i silników, miało zmieniać się, by po kolei przejmować uprowadzoną szefową SAW, kluczyć, a po przejechaniu krótkiego odcinka znów się zamienić. Część z nich miała być tylko zabezpieczeniem na wypadek zmiany planów lub nieprzewidzianych problemów. Na przykład, by zmylić pościg. W sporych odstępach obstawili wszystkie drogi prowadzące od siedziby agencji. W razie kontroli przez policję lub innej wpadki polecono im rznąć głupa i opowiadać bajki o młodzieńczej przejażdżce pożyczonym samochodem, a w najgorszym razie dla odwrócenia uwagi udawać drobnych złodziejasków. Po akcji fury miały być zutylizowane. Libor domyślał się, że kilku ostatnich kierowców, tych najbliższej docelowej meliny, też. Docent już dawno osobiście zapewnił go, że nie zostanie sam w kolumnie Anny.

- Nie wiem, czy uda się we wszystkich konwojujących samochodach - powiedział, obiecując przy tym, że co najmniej w dwóch obok agentów pojedzie chociaż jeden człowiek od niego.

- A reszta? W kolumnie z nią poruszają się jeszcze co najmniej cztery, czasem pięć.

- W wozach z naszymi ludźmi to oni ogarną sprawę. Po prostu odeślą na niebieskie łąki partnerów. Znaczą się, twoich kumpli z SAW. No dobra, Libor, to taki żart - dodał, widząc jego obrażoną minę. - Z pozostałymi będziecie musieli sobie sami poradzić. Ty i oni. My. Prawdziwi przyjaciele - podkreślił. Docent to Docent. Pseudonim obliguje do stosownego wysławiania się, nawet w skrajnym stresie.

- Nie znamy się, nie możemy się umówić. Skąd będziemy wiedzieć, do kogo strzelać?

- Ujawnicie się przed sobą na hasło rozpoczęcia akcji. Ani chwilę wcześniej. Traskalski wam je poda - uciął boss. - Ale nie martw się. Dostaniecie wsparcie z zewnątrz. Niczego nie zostawimy przypadkowi. Nasi staną wzdłuż trasy.

- Czyli gdzie?

- No właśnie, wiesz jak jest. Ustalenie i podanie jej nam to będzie twoje zadanie. Śpiesz się. W końcu chłopaki samolotami nie latają, więc zajęcie pozycji zajmie im trochę czasu.

Po raz pierwszy zobaczył ją z bliska. Przeszła obok, nie patrząc; wyższa i tęższa niż myślał. Postawna, wyprostowana, jak przełożona przedwojennej pensji dla dziewcząt. Każdy jej gest wyrażał pewność siebie. Ubrana w granatowy kostium niezbyt dobrze dopasowany do figury, ale uszyty z tak doskonałej jakości materiału, że nawet ktoś, kto się na tym - podobnie jak Libor - kompletnie nie znał, musiał to zauważyć. Używała wyrazistych, mocnych perfum, chyba w nadmiarze, bo ich zapach otaczał ją gęstą chmurą. Na Słowacji buteleczka kosztowała zapewne trzy średnie pensje.

- Kierunek lotnisko! - poinformował dowódca.

- Tak jest! - odpowiedział Libor. Wcześniej upewnił się, że nadajnik, który ukrył w kieszeni marynarki, działa bez zarzutu i Koń po drugiej stronie słyszy wszystko, co mówią w jego otoczeniu. Przez najbliższy czas nie będzie okazji, żeby się bezpośrednio połączyć.

Czekali na nią w małej grupie.

- Chłodno dziś, panowie, co? Aż gnaty trzeszczą.

- Bez przesady - odezwał się jeden z kierowców. - Ja tam jestem zahartowany.

- Ja też - dodał drugi. - Też jestem zahartowany.

- Nie przesadzajcie, panowie. Zimno, jak diabli, ma kolega rację - dorzucił trzeci, sięgając po chustkę do nosa. Pogadali o niczym i zaraz przyszła ona. Główna pasażerka w asyście jeszcze dwóch ochroniarzy.

Libor już wiedział. „Zahartowani” byli od Docenta. Trzeci zmarzłak, ten uprzejmy, starający się podtrzymać rozmowę, w niczym się nie orientował i prawdopodobnie wypowiedział ostatnie słowa w życiu.

Libor przywitał się i wsiadł na miejsce kierowcy, podczas gdy służalcy, gnąc się w niby to służbowych ukłonach, otwierali przed panią generał drzwi od strony pasażera. Zdawała się ich nie zauważać, w każdym razie nie okazywała wdzięczności. To oni

wszyscy byli tu dla niej, nie odwrotnie. Pozostali wsiedli do oczekujących pancernych limuzyn, kolumna uformowała się błyskawicznie. Po przejechaniu około trzech kilometrów szefowa wreszcie przemówiła:

- Zawracaj!

Spodziewał się tego. Słysnęła z podobnych numerów. Bez słowa wykonał manewr. Siedzący obok agent kiwnął aprobowująco głową. Po kilku minutach znów zmieniła zdanie.

- Poproszę na dworzec kolejowy - zwróciła się do niego jak do taksówkarza.

- Tak jest! - przytaknęła głośno. - Jedziemy na dworzec kolejowy, pani generał. - Wyobrażał sobie, że na dźwięk tych słów wzdłuż domniemanych tras przejazdu Lukrecji trwa drugie przegrupowanie, które Koń musiał zarządzić w mniej niż kwadrans. Wierzył w jego zmysł organizacyjny, ale i tak chciało mu się śmiać. Chyba łąpała go głupawka. Opanował się natychmiast. Funkcjonariusz obok spojrział groźnie, ale się nie odezwał, widocznie szefowa preferowała milczenie i lubiła bez przeszkód zatapiać się we własnych myślach.

Nagle zadzwonił jej telefon, a rozemocjonowany głos po drugiej stronie prawie krzyczał, tak że nie tylko Kovacz, ale nawet Traskalski mogli usłyszeć najnowsze wiadomości.

- Pani generał - meldował ktoś nerwowo - straciliśmy trzech naszych ludzi. Tom, Kirk i Fred nie żyją.

- Jak to się stało? - spytała zaskoczona.

- Wypadek samochodowy. Wjechali w drzewo w pobliżu miejscowości Alistone.

Anna pobladła. Przekłęte miejsce pochodzenia Petera Twigga, Tao Guna i Rasza Cartera. Pępek zła, które wypełzło stamtąd i dostało się również do jej życia.

- Podjęliście niezbędne czynności?

- Tak, ekipy już pracują na miejscu.

- Czy wiadomo coś więcej?

- Na razie nic.

- Zbadajcie ślady bardzo skrupulatnie. Nie wolno niczego przeoczyć. To nie był przypadek - zakomenderowała. - Jest pan za to osobiście odpowiedzialny - obarczyła rozmówcę. - Wszystkie wolne siły skierujcie natychmiast do Alistone. Jak tylko ustalicie coś nowego, proszę meldować mi bezpośrednio.

- Tak jest! - zabrzmiało w słuchawce.

- Czy rodziny zostały powiadomione? - zapytała już ciszej.

- Jeszcze nie zdążyliśmy...

- Więc proszę to zrobić - ucięła - i ustalić ich telefony i adresy.

Po powrocie skontaktuję się z nimi osobiście.

Lukrecja zapadła się w kanapę limuzyny. Wyglądała nieco mniej pewnie. Co tam się stało? Pochyliła się, jakby zwałił się jej na barki stukilogramowy ciężar. Lubiła chłopaków, zwłaszcza Toma. Czowała, że to nieszczęście ma drugie dno.

Libor dyskretnie zerknął na nią parę razy przez wsteczne lusterko. Gdyby mógł, zatarłby teraz ręce, jak już to zapewne uczynił Koń. Lepiej być nie mogło. Wszystkie siły SAW zostały rzucone pod tę dziurę, tym samym schodząc im z drogi. Los sprzyja, choć trzeba troszeczkę zmodyfikować plany.

Dworzec kolejowy był usytuowany niecały kilometr od siedziby gmachu agencji i podobnie jak ona mieścił się w centrum miasta, w zatłoczonej okolicy. Było pewne, że nie da się tutaj porwać nawet jamnika, a co dopiero mówić o wielkiej przestępczej akcji z główną wywiadowczą szychą. Bez słów stało się jasne, że pojedą pociągiem na doroczną galę służb mundurowych i że pojawią się tam od strony peronów w Minn lub, gdyby chytrze chciała się cofnąć o jedną stację, w miejscowości Arden. Podstawione przez SAW zapasowe limuzyny pewnie już tam czekają. Ileż to wszystko kosztowało? Łącznie z przydługim krążeniem opancerzonymi furami wokół punktu, do którego dałoby się dojść piechotą w ciągu dziesięciu minut. I to chore chronienie, i ryzykowne porwanie tej baby, czy warto? Odpędził czarne myśli, nie jego sprawa. Drogi z obu miejsc stwarzały szerokie pole do popisu dla ich przedsięwzięcia. Ciekaw był, czy Koń ma w tamtej okolicy ludzi. Jeśli tak, to czy ich wystarczy? I ile fałszywych osobówek i ciężarówek pędzi teraz w tamtą stronę, by zdążyć przed pociągiem i ustawić się wreszcie we właściwym miejscu?

Rozdział 7

FRANCUSKA OBOJĘTNOŚĆ

Trochę z nudów, a odrobinę dlatego, że był całkiem przyjemny, Anna pozwalała mu niekiedy przytrzymać nieco dłużej dłoń przy powitaniu. Z czasem w ferworze rozmowy pozwalał sobie położyć rękę na jej ramieniu, niby zaaferowany przypadkiem. Wzajemne podchody trwały długo: ani jej, ani jemu specjalnie się nie śpieszyło. Lubiała ten rodzaj subtelnych sygnałów, przekomarzania się, niejasności, z których można wycofać się w każdej chwili, pozostawiając drugą stronę w niepewności co do tego, czy i co naprawdę się wydarzyło, a przy pomysłnych wiatrach prowadzących nieuchronnie do oczywistej puenty. Który to mężczyzna w jej życiu? Czy to ważne? Przestała liczyć facetów dawno temu, i tak było ich za wielu. Zazwyczaj przysparzali jej wyłącznie problemów, dopóki nie nauczyła się utrzymywać nad nimi przewagę. No, może nie do końca. Bywało, że wymykali się, nawet na tamten świat, jak cholerny Horn. A propos, musi wreszcie skłonić Kornelię, by wskazała jego grób, inaczej zacznie na serio przypuszczać, że nie był aż tak martwy, jak opisuje przyjaciółka. Trudno dziś całkowicie komuś ufać.

Ach, jakże ich uczucie różniło się od wszystkich dotychczasowych. Jadali na śniadania jajecnicę i ostrygi, popijali szampanem, w którym on się lubował, i czytali popularne gazety, bez patrzenia w oczy, nawet się sobą zbyt nie interesując. Czasami wymieniali uwagi na temat jakiegoś artykułu. W gruncie rzeczy Lukrecję bardziej interesowały ostatnie wydarzenia niż relacja z ministrem Mathieu Gaudinem. Jego zdaje się podobnie, co jako grzeczniejsza strona tego związku, skrętnie ukrywał. Stare, dobre,

sprawdzone małżeństwo. Bez tego ostatniego elementu. Podobnie jak kiedyś z Philipem, nie pokazywali się razem publicznie. Odpadał teatr, kino, dancing czy spacer. Liczba i rodzaj rozrywek były ściśle ograniczone. Sprowadzały się do seksu, wspólnych kąpieli w wannie, korzystania z domowej sauny, jedzenia i picia drogich trunków, no i rozmów. Te ostatnie udawały, że są głębokie, w rzeczywistości pozostając powierzchownymi. Minister był za dobrze wychowany, by poruszać kontrowersyjne tematy, i zbyt wrażliwy, aby roztrząsać sprawy niewygodne czy bolesne. Gra pozorów toczyła się w najlepsze, nie do końca wiadomo, po co.

- Francuski piesek - mawiała z przekąsem Kornelia.

- Nie przesadzaj, silny typ w jedwabnym garniturze - ripostowała Anna. Ostatnio ciągle się spierały.

Jakiś czas temu Lukrecja postanowiła, że już nie pokocha mężczyzny mocniej niż on ją. Wszak w związku na słabszej pozycji zawsze stoi ten, kto kocha bardziej. Mathieu pasował do takiego układu jak ulał. Nie dało się go bowiem darzyć uczuciem, mocno się angażując. On też nie dawał z siebie wiele. Już nie taki młody, za dużo przeżył miłości, miał zbyt wiele kobiet, temat się ograł, choć nadal pozostawał przyjemny. Wymieniali więc w nieskończoność okrągłe zdania i uprzejme uśmiechy. Dyskutowali na tematy nieważne, starając się pozornie przydać im walory istotności. Jednocześnie oboje myśleli, do czego mogą się sobie przydać. Jego wykwintne maniery i zamiłowanie do luksusu otwierały przed nią drzwi do świata, który mało знаła. Owszem, miewała z nim nieraz do czynienia, dawno temu. Weszła w taki etapi życia, kiedy kobieta nie potrzebuje już niczego od mężczyzny, poza miłym towarzystwem. Dzieci? Czas na nie minął bezpowrotnie. Pieniądze? Miała własne. Prestiż - tak samo. Status społeczny? Nie żartujmy! Mało kto miał wyższy! Anna Litewski, poharatana i formalnie zwycięska, przegrana jedynie w ciszy własnej duszy przytłumionej niewielkimi, acz regularnymi porcjami alkoholu, potrzebowała wyłącznie adoracji. A ściślej, nie brakowało jej nawet tego. Był to po prostu miły dodatek. Najmniejszy gest, inny niżby sobie życzyła, słowo krytyki, nieuważność lub zaniechanie - zwiastowałyby rychły koniec relacji. Do niczego nie zamierzała się zmuszać, w każdym razie nie w tej dziedzinie. Dlatego, zbliżając się do Mathieu, nie kupiła jaskrawszej szminki i po raz pierwszy nie dała się przekonać do dwunastocentymetrowych obcasów. Biegała w nich po wertepach jeszcze za Hornem. Teraz już nie. Ani razu nie wyciągnęła koronkowego gorsetu z przepastnej szuflady ze zmysłową bielizną. Uwierał pod biustem, to go skreślało. Może zresztą taka postawa była wobec niego uczciwsza, bo szuflada

tonąca w pianie upchanych w niej falbanek, gładkości jedwabi, wygięciach fiszbin, resztkach pomieszanych perfum i frywolności fasonów kryła wspomnienia i tajemnice, których wolałby nie znać nowy kochanek. Najbardziej skąpe, najdelikatniejsze ciuszki, porozrywane tu i ówdzie, pamiętały jeszcze czasy Philipa Sandersa. Kiedy czuła się zbyt zmęczona, nie depilowała nawet nóg. Ostateczny sygnał, że się uwolniła od zwyczajowych oczekiwań. Przez pewien czas obserwowała, czy on, koneser życia i kobiet, da jej do zrozumienia, że coś mu się nie podoba. Na przykład skrzywi usta. Lub opowie jej frapującą historię o koleżance z ministerstwa, która reguluje brwi, choćby o czwartej nad ranem, by na każdym posiedzeniu rządu wyglądać perfekcyjnie. Ona, Lukrecja, już nie musiała tego robić. Niczego nie musiała. I on wiedział o tym doskonale, dlatego nie doczekała się uwag, sugestii ani grymasów. Na szczęście dla ministra, który w podobnym przypadku zostałby natychmiast oddalony.

W zamian otrzymywała stosowną porcję wycedzonego przez wąskie wargi chłodnego zachwyty. Ani za dużą, ani za małą. Odmierzoną w sam raz. Nigdy spontaniczną. Wyczuwał jej oczekiwania i zaspokajał je, powiedzmy, w osiemdziesięciu procentach. Nie przysparzało mu to specjalnej chwały, gdyż były niewielkie. Musiała przyznać, że jako jedyny z bliskich mężczyzn, pieścił jej piersi jakby skrzydłem motyla, domyślając się, że są nadwrażliwe i mocniejszy dotyk zamiast przyjemności sprawia ból. Zaskakiwał ją kunsztem w doborze trunków i choć sama знаła się na nich świetnie, za każdym razem przestrzelał z fantazją jej preferencje. Kupował drogie prezenty, ale po trzech odmowach ich przyjęcia – przestał. W sumie to i dla niego korzystne, nigdy bowiem nie wiadomo, jaką wymianę barterową zarzuca im służby przeciwników politycznych, gdy na nieszczęście wreszcie dorwą się do władzy. Finansowo było to bez znaczenia, nie kupował za swoje. Służbowa karta pokrywała wszystkie zachcianki, wystarczyło poprosić asystentkę, żeby na fakturze zamiast „biżuteria” widniały słowa „akcesoria biurowe”. Co dawała w zamian? Co jej się chciało, czyli niewiele. Workowate spódnice i brak czasu. Nieumiejętność chodzenia na kompromisy i zero wspólnych pasji. Kilkanaście nocy na koszt państwa w królewskim apartamencie Grand Hotelu.

- To niepokojące - zauważała pani Huckelberry. - Wybacz, moja droga, ale nie jesteś zbyt atrakcyjną partią. Co on w tobie widzi?

- Dzięki, Kornelio, to miła uwaga.

- Daj spokój i lepiej się nad tym zastanów. Co z tego ma? Bo na altruistę nie wygląda. I jest taki... obły - nie zważając na protesty Anny, kontynuowała niezrażona: - Gdybyś tylko chciała... kiedyś

byłaś inna. Faceci szaleli za tobą i trudno się dziwić. A teraz... miałam kiedyś ciotkę Ursulę. Bardzo mi ją obecnie przypominasz.

- Rozumiem, że to nie jest komplement.

- No nie jest. Tym bardziej zwróć uwagę na to, co mówię.

Nie dało się odmówić słuszności tej opinii. Im więc w bardziej barchanowym szlafroku witała kochanka, tym mocniej zastanawiała się, co jest dla Mathieu prawdziwą podniętą. Może przejęcie nad nią kontroli? W końcu zakres jego kompetencji nie obejmował obszaru zarządzanych przez nią służb, a tego, że jego ambicje wykraczają daleko poza ministerstwo spraw wewnętrznych, była całkowicie pewna. Może kryło się za tym coś jeszcze? Na przykład zlecenie na nią? Wszak niemało byłoby zainteresowanych, a w co on, francuski minister spraw wewnętrznych anglosaskiego kraju, jest uwikłany? Lepiej się nie domyślać. Już sama karkołomna konstrukcja na to wskazuje. Na razie nie udało się go sprawdzić. Podwładni nieformalnie donosili, że jest czysty jak łąza. A tacy są najgorsi. Na razie więc z miłym uśmiechem trzy razy w tygodniu przy śniadaniu podawała mu maleńką, srebrną łyżeczkę do konfitur, a on, zanim dotknęła wykrochmalonego obrusa, całował z namaszczeniem jej dłoń, wypowiadając stanowczo nieśmiertelne:

- *Merci, mon cheri amour!*

- Zabiorę cię w długą podróż. Odwiedziłaś kiedyś zamki nad Loarą?
- dopytywał się. - Ach, Dolina Loary - rozmarzył się. Bujne drzewa, łagodne łąki, winnice obiecujące zapomnienie.

Nie zwiedzała. W ogóle w życiu poznała niezbyt wiele pięknych miejsc. Za to sporo odrażających. Nie przepadała za dalekimi peregrynacjami, zbyt często musiała się przemieszczać, żeby złapać trop, pozbyć się ogona lub ukryć w nowym otoczeniu. Należało to co prawda do przeszłości, ale nadal nie kojarzyło się radośnie. Przygód w życiu miała aż za wiele. Dawno przestały ją ekscytować. We Francji nigdy nie była. Słyszała jedynie, że zamków i pałaców w dolinie Loary jest ponad trzysta, w tym jeden należący do jego rodziny. Pewnego wieczoru wspomniał o tym mimochodem przy kolacji.

Snob! - pomyślała wtedy. Dobrze o nim mówią, że zadufany egocentryk. Oczami wyobraźni widziała szacowne wujostwo ministra, sączące wyćwiczone uśmiechy, mające przykryć pogardę dla obcokrajowców, takich, jak choćby ona.

- Nie znałam wcześniej żadnego właściciela pałacu. Kultywujecie mocarstwowe zapędy, choć czasy dawno się zmieniły -

docinała, nie będąc nic a nic wdzięczna za miłą skądinąd propozycję.

Nie oponował. Snuł ekscytujące historie, których miło było słuchać. Z pasją erudyty opowiadał o szczegółach, jakich próżno by szukać w przewodnikach turystycznych. Mówił ze swadą i sercem, trudno mu się było oprzeć, przypadkiem uchylił przed nią drzwi do swojego świata.

Według relacji Mathieu większość monumentalnych budowli uzyskała tytuł zabytków światowego dziedzictwa UNESCO. Stanowią atrakcje turystyczne i potężne źródło sławy oraz dochodów dla regionu i całego kraju, a o ich pięknie, różnorodności i tajemnicach można by rozprawiać miesiącami.

- Spędzimy tam co najmniej rok. Zamieszkamy u mnie, to będzie nasza baza wypadowa. Nie rozczarujesz się.

- Rok? Chyba na emeryturze?

- Nie, po co czekać? Weźmiemy urlop.

Widać, że gość nigdy naprawdę nie musiał zarabiać - pomyślała Anna. W wysokie stanowiska po prostu się bawi, a może uważa, że wzbogaca rodowy herbarz.

- Zaczniemy od średniowiecznego Sully-sur-Loire, później Blois, klasykę renesansu, który był rezydencją siedmiu królów Francji. W sławnym Chambord zatrzymamy się na kilka dni, zwiedzenie czterystu pomieszczeń w blisko osiemdziesięciu klatkach schodowych zajmuje sporo czasu, ale warto. I gotycki Chenonceau, „zamek dam” stojący na rzece Cher. W przeważającej części zbudowały go, odrestaurowały, mieszkały w nim i dbały o niego kobiety, w tym Katarzyna Medycejska. Będiesz zachwycona!

Lukrecja dyskretnie ziewnęła. Nie bawiły jej zamierzchłe historie, zwłaszcza architektoniczne. Budowanie potężnie rozgałęzionych i ukorzenionych drzew genealogicznych, chlubę tak wielu, traktowała jak zwykłą bufonadę. Przeszłość to przeszłość. Liczy się tu i teraz. Po co grzebać w zatęchłych artefaktach, co z tego wynika? Wszystkie nauki i tak prędzej czy później pójdą w las.

- Pałac w Troussay - ciągnął Mathieu. - Zbudowany w piętnastym, upiękuszony w szesnastym wieku. Chociaż ten może ci się mniej spodobać, nie wiem, czy to twój styl.

Anna nie potrafiła ukryć ironicznego grymasu. Miło z jego strony, że kojarzy ją z jakimkolwiek arystokratycznym stylem. Ciekawe, skąd mu się to bierze.

- Ale słynny jest również zamek królewski w Amboise, i Clos Luce, w którym u schyłku życia mieszkał Leonardo da Vinci - kontynuował niezrażony monsieur Gaudin. Anna się ożywiła.

- Uwielbiam go! Geniusz wszech czasów, samouk i podobno niezwykle przystojny mężczyzna. Wiesz, że był wegetarianinem i obrońcą zwierząt? Co on tam u was robił, przecież był Włochem?

- Przez trzy ostatnie lata pracował i tworzył dla króla Francji, Franciszka I. Przyjaźnili się. Podobno zmarł w jego ramionach. Odcisnął ślad konstrukcyjny na zamku Clos Luce, a w Amboise jest, jak mówią, pochowany. Budowle dzieli tylko pół kilometra, legenda głosi, że można przejść pomiędzy nimi tajnymi korytarzami. -

Pochylił się do niej. - Leonardo był podobno przereklamowany - dodał. - Zyskał sławę dopiero wiele lat po śmierci. Kiedy żył, zawadzało mu pochodzenie. Ikona, można by rzec, ówczesnej popkultury, jakich wiele. Ludzie potrzebują idoli, więc tworzą ich sobie.

- Nie zgadzam się - odpowiedziała - ale cenię, że jesteś bardziej krytyczny ode mnie. Choć niedocenywanie wielkich to domena głupców.

- Wszędzie są perfekcyjnie utrzymane, rozległe, wielohektarowe ogrody i kolejne, zapierające dech w piersiach budowle. Cuda architektury, sztuki, odwiecznej myśli ludzkiej - ciągnął, jakby tego nie usłyszał.

- Wysłuchamy wspaniałych koncertów, obejrzymy feerię światła. No i odwiedzimy winnice, najlepsze francuskie winnice, Anno. Napijemy się dobrego wina!

- No to się faktycznie zabawimy! - skwitowała szefowa SAW.

Patrzył na nią z tęsknotą. Nie wiedziała, czy brakowało mu krainy dzieciństwa, czy to w niej, mimo starań, nie mógł doszukać się godnej, prawdziwej partnerki. Skoro jednak trwał przy niej, musiało mu to w jakiś sposób odpowiadać. Nie chciała spędzać czasu w nieprzyjemnej atmosferze. Podeszła do fotela, na którym siedział i wtuliła twarz w jego włosy, pachnące ziołami i wiatrem zamkniętymi w buteleczce ekskluzywnego kosmetyku dla mężczyzn.

- Nie musisz być taka szorstka - rzekł ciepło, ale nie poruszył się.

Objęła go mocno.

- Inaczej nie umiem.

Odchylił się w jej stronę i czułym gestem odgarnął siwy kosmyk opadający na nos.

- Zaraz kichniesz - uśmiechnął się. I poważniej dodał: - Popracujemy nad tym. Obiecuję. - Może jeszcze kawy, moja droga?

Czasami Mathieu się buntował. Do Anny telefonowała wtedy jego

sekretarka.

- Dzień dobry, pani generał, dzwonię w imieniu pana ministra Gaudina. Pan minister bardzo przeprasza, ale musi odwołać dzisiejsze spotkanie. Wypadły mu pilne sprawy służbowe.

- Dobrze, rozumiem, dziękuję za informację.

Przez kolejne dni nie mieli kontaktu. Żadne z nich do niego nie dążyło.

Wcale mu się nie dziwiła. Nagła oschłość uwiarygodniała go tylko w jej oczach, ostatecznie gdyby miał nieczyste zamiary, trzymałby się jej mimo wszystko. W kolejnych dniach sekretarka odwołała jeszcze kilka oficjalnych wizyt, podczas których mieli razem wystąpić na posiedzeniach gremiów zajmujących się obronnością państwa. To zakrawało na brak profesjonalizmu.

No dobrze, postara się być dla niego miłsza. Zadzwoiła pierwsza. Oboje wiedzieli, że to będzie jeden, jedyny raz.

- Hej, Mathieu - zagadnęła lekko - wpadniesz jutro na śniadanie?

Docenił gest.

- Chętnie.

I po sprawie.

Budziła się coraz bardziej zmęczona. Otwarcie oczu z dnia na dzień zajmowało więcej minut. Półprzytomnego czasu, w którym do głowy dopływały koszmary. Coraz gorsze traktowanie ludzi męczyło ją. Nie chciała tego, ale w konkretnych sytuacjach uważała, że jest słuszne. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Budzę się, a one już stoją przy łóżku, gotowe kasać. Skąd się biorą? - pytała. Zanim wstała i wypija kawę, rozplywały się w powietrzu poranka, pozwalając rozedrganemu ciału przestać się trząść, a guli w gardle zmniejszać aż do zniknięcia wraz z ostatnim łykiem aromatycznego płynu sączonego z delikatnej, porcelanowej filiżanki. To nie była forma agentki specjalnej, nawet zwykłej gospodyni domowej, która ma przed sobą dzień wypełniony praniem, sprzątaniami, rozwożeniem dzieci do szkół i musi temu wszystkiemu podołać. Lukrecja wiedziała, że to stan raczej właściwy osobie, która znalazła się na niewłaściwej ścieżce. Zapamiętała, że sprytem i z poświęceniem pokonała liczne przeszkody i odniosła sukces w dziedzinie, w której nie powinna. Co więc mogłaby osiągnąć, gdyby zajmowała się tym, co zostało jej przeznaczone? Tylko co to jest? Kiedyś, w młodości, przeczuwała, ale nie było czasu i sposobności się tym zająć, a teraz zapomniała.

Zresztą sukces wkręca, bawi, przyćmiewa sedno. Nie da się zwyczajnie zawrócić. Trzeba mieć lwią odwagę, by wbrew temu, co się budowało całe życie, rzucić ten dorobek i odnaleźć siebie. Wziedzie słońce, a ona będzie się śmiała. Kiedy się ostatnio szczerze śmiała? Nie uśmiechała się uprzejmie bądź zgryźliwie lub stosownie kwitowała grymasem czyjeś żarty? O Boże! Nie pamiętała. Czas podjąć decyzję, pora stąd odejść. Co przed nią? Szarpanina. W imię czego? Nie wie. Musi być sobą. Inaczej się wykończy. Od dziecka wykazywała łatwość podejmowania decyzji. Klamka zapadła. Wzięła zwyczajowy rozbieg. Wstała z fotela i jak co dzień, z energią, którą cały dzień, zależnie od intencji, będzie zarażała lub straszyła innych, ruszyła przed siebie. Jeszcze tylko kilka dni. Później odpocznie. O jej kryzysie powiedzą w przyjaznych mediach, że spełniona na każdym polu postanowiła zmienić dziedzinę działalności. Zająć się pracą charytatywną z plaży, na której chwilowo będzie się wylegiwać. Uśmiechnęła się pod nosem. Mały, przytulny prezent, jeszcze od Philipa. Może tam założyliby lokalne SAW, by śledzić nielegalne plantacje kokosów... gdyby żył. Tęskniła za tym, by móc położyć głowę na rozwieszonym przez niego krzykliwie kolorowym hamaku. W ich tajemnym rajku, w którym znikali, lecąc zawsze osobnymi samolotami, w nieco przesuniętych terminach. Taki wymóg stawiał pułkownik. Jej było wszystko jedno, byle się z nim zobaczyć w ciszy. Ten hamak... na pewno już wypłowiał. Zwisają tylko strzepy, w końcu tam przechodzą huragany. Może nie została ani jedna nitka. Tak jak z ich miłości. Nieżyczliwi oznajmią to, co zwykle, co i tak gadają przez cały czas. Że nie podołała, związała, była za słaba, głupia, nigdy się nie nadawała. Ma to gdzieś.

Anthony Moore nie wiedział, czemu odezwały się w nim aż takie emocje. Codziennie uruchamiał system, zgrywał zrzuty ekranów, archiwizował podsłuchy i przez kilka godzin zmuszał się, by wybrać ten numer. W końcu zmęczony i zrezygnowany mówił:

- Jutro! Zrobię to jutro!

A rano wszystko się powtarzało.

Zaczynał nawet rozumieć milczenie Anny, o które ją wcześniej obwiniał, czuć przytłaczający rozmiar porażki, jaką przyniosłoby ewentualne niepowodzenie. W bezruchu pozostawała nadzieja. Kornelii i im, osobom z nią związanym, ciążyła odpowiedzialność na miarę sensu życia i pustki śmierci. Zaczął podupadać na zdrowiu. Zwykły katar przerodził się w potworne bóle głowy, dołączyła

swędząca wysypka, niby nic, ale Anthony był hipochondrykiem. A jak nie zdąży? Jeśli wcześniej umrze? Dręczony strachem i coraz gorszym samopoczuciem obudził się którejs nocy o trzeciej nad ranem. Pora jak pora, ciemna, jak wszystkie inne. Był podekscytowany, rozbity, dłoń ślizgała się po klawiaturze. Poczł, że musi to przecięć. Nie poczeka do rana, zresztą tam chyba jest dzień. Widno. Tak mu mówili. Cokolwiek to znaczy.

Drżącą ręką wybrał numer. Odpowiedział głuchy sygnał. Jeden, drugi, piąty. Skoro zrobił to raz, za drugim poszło łatwiej. Nikt nie odbierał. Widocznie facet śpi. Albo poszukiwania były fikcją, bo może to nie on. Gdzie popełnił bład? Stukał w klawisze już bez zastanowienia, szybko, nerwowo.

- Halo?! - odezwał się nagle głos po drugiej stronie. - Czego?! -

Wyraźnie nie lubił odbierać połączeń z nieznanym numerów. Spodziewał się ankiety wyborczej lub wciskania kolejnej karty kredytowej przez zdesperowanego marketingowca.

- Panie Emilu! - powiedział Anthony mocnym, choć wzruszonym głosem, o który sam by się nie podejrzewał. - Niech pan natychmiast wraca do domu! Zapewnimy panu podróż i ochronę. Matka na pana czeka!

Rozdział 8

NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ

Paul czekał na peronie. Przystudiował sektory, aby dokładnie wiedzieć, w którym miejscu zatrzyma się każdy wagon. Mogły wyskoczyć niespodzianki, na przykład skrócony skład. Liczył się z nimi. Postanowił wmieszać się w tłum. Podróże incognito szefowej SAW miały w sobie element niepewności dla potencjalnych zamachowców, ale też uniemożliwiały służbom sprawdzenie wszystkich ewentualności. W przeciwieństwie do nich on sam właśnie to uczynił. Dołożył wszelkich starań. Był pewien, że nikt go nie skojarzy dzięki lekkiej charakteryzacji i stroju w stylu, w jakim nigdy się nie nosił. Kraciasta koszula w stonowanych barwach błękitu i granatu, ciemna kurtka typu wiatrówka, jeansy, tanie sportowe buty z popularnej sieci handlowej. Podniszczone, zdarte na czubkach, z obszarpanymi sznurówkami. Wystarczyło na nie spojrzeć, żeby wiedzieć, że prawdziwy kapitan Horn nigdy by takich nie założył. Co innego w przebraniu. Na głowie czapka z daszkiem odwróconym do tyłu, okulary z grubymi szklami. Te przeszkadzały mu najbardziej, mimo że były atrapą, bez dioptrii, widział przez nie inaczej niż normalnie. Zawsze szczylił się sokolim wzrokiem i choć przez uraz głowy widzenie się pogorszyło, to nadal było ostrzejsze niż u większości ludzi. Na szyi rzemyk i srebrny łańcuszek, na przedramieniu banalny tatuaż - wystylizowane serce przebite różą. Imię kobiety, niech będzie Gabriela. Reszty dokonała długotrwała choroba, jak na własny użytek nazywał stoczoną walkę o życie. W sumie i bez kamuflażu mało kto by go rozpoznał, nawet szpiedzy, którzy na pewno wkuli w pamięć jego wizerunek prezentowany w różnych odsłonach. Ale nie w takiej - chudej, wyniszczonej i chorej z nienawiści - tego był pewny. Czapka i rzemyk z łańcuszkiem pójdą do kosza pierwsze, za nimi okulary, a na końcu tatuaż, który łatwo zetrze detergentem zawierającym tłuszcz.

Słuchał terkotania kół i raz po raz zerkał w stronę, skąd miał nadjechać pociąg. Maksymalne skupienie.

- Proszę pana, popilnuje mi pan bagażu? - Ze stanu koncentracji wytrącił go głos zaaferowanej kobiety.

- Zaraz wsiadam - odpowiedział. - Niech pani poprosi kogoś innego.

- Ja też! A pan wzbudza zaufanie. Postawię je obok, nie będą przeszkadzały - zapewniała, umieszczając mu pod nogami walizę i dwie spore torby. - Polecę tylko kupić bilet, o tam, na drugi peron!

Nie zamierzał oczywiście niczego pilnować, ale stos bagaży obok dodawał mu wiarygodności.

Jest! Wsiadła z czarnego nissana i szła w stronę dworca. Pociąg zapewne wtoczy się na stację w ciągu pięciu minut. W tłum, na całej długości peronu, wmieszali się kolejni agenci, bo że stali tu dużo wcześniej, był pewny. Udawali zwykłych podróżnych, ale rejestrowali wszystko wokół. Tak jak on. Najciemniej pod latarnią - pocieszał się.

- Proszę pana, proszę pana! Halo! - Kobieta z przeciwnego peronu kiwała mu zamaszycie ręką. Obejrzało się w jego stronę pół agentury.

- Chce pan loda?

- Słucham?

- Czy chce pan loda, bo tu jest budka!

- Nie, dziękuję!

- Na pewno pan nie chce?

- Nie!

Do diabła, kim ona jest? Zdemaskuje go. Wszyscy czekający na pociąg patrzyli w jego stronę, nawet Lukrecja na chwilę odwróciła głowę. Tego się obawiał. Że wyczuje go przez skórę. Zamarł na chwilę, wściekły, gotowy raczej rzucić się pod nadjeżdżającą lokomotywę, niż pozwolić się zdjąć na moment przed akcją. Nigdy już nie wpadnie w jej ręce, to nie może tak się skończyć. Po chwili pasażerowie stracili zainteresowanie sytuacją i zaczęli się wsłuchiwać w rwaną megafonową zapowiedź rychłego odjazdu.

- Proszę! - Kobieta wyrosła mu zza pleców i wyciągnęła w jego stronę rózek wypełniony kolorowymi kulkami.

- Przecież mówiłem, że nie chcę. - Okazałby irytację, gdyby nie to, że pewien wysoki facet wystrzyżony na irokeza dłużej mu się przyglądał. Podobnie jak młody chłopak w roboczym uniformie, podrygujący w takt niesłyszalnej muzyki płynącej ze słuchawek wciśniętych w uszy, którą umiłał sobie zmiatanie peronu.

- Ale tak gorąco. I toreb mi pan popilnował.

- Dziękuję - przyjął poczęstunek. - Ile jestem pani winien?

- Ach nic, nic - machnęła ręką kobieta. - Przecież pan nie chciał... Ale tak sobie pomyślałam, co ja będę sama te lody jadła?

- O, to dziękuję bardzo! - uśmiechnął się do niej. - Pyszny. - Polizał lekko roztopioną, malinową kulkę.

Irokez uspokojony odwrócił wzrok. Stróż oparł się na miotle. Pociąg, hamując ze świstem, wtoczył się na szyny.

Wśród barwnego tłumu szturmującego ostatni wagon do pociągu dostała się Kornelia. Nie umawiała się z Anną na tę podróż, ale nikt nie mógł się temu dziwić. Przyjaciółki co prawda rzadko się rozstawały, ale też nie trzymały się ciągle za rączki. Ekscentryczność pani Huckelberry wymykała się wszelkim standardom. Ochrona mogła być jedynie zadowolona, że nie zdecydowała się podróżować na dachu. Horn wsiadł również innymi drzwiami. Nie popatrzyli na siebie. Anna z niczego nie zdawała sobie sprawy. Przez jakiś czas zastygli na swoich pozycjach, czekając, aż ludzie usadowią się, ulokują bagaże, a pociąg rozpędzi się na dobre. Później Paul przystąpił do działania. Powoli, starając się nie przyciągać niczyjej uwagi, przesunął się do przedziału VIP. Zapobiegliwi ochroniarze od razu utworzyli w wagonie strefę buforową, czyli zostawili kilka wolnych przedziałów. Skutecznie też odrzucali pretensje osób, które wykupiły w nich miejsca. Jednym gwarantowali pięćdziesięciokrotny zwrot cen biletu, innym tłumaczyli, że to ich patriotyczny obowiązek, wyższa konieczność, nagle sytuacja tego wymaga... Horn kątem oka wyłuskiwał rozstawionych na korytarzach agentów. Bał się, że którymś przypadkiem go zatrzyma. Znudzony dziadek ściskający pod pachą sfatygowaną teczkę. Czy przypadkiem nie widział go na zdjęciu z ubiegłorocznej gali stojącego tuż za komendantem głównym policji? Baba z jajkami ułożonymi równiutko w wiklinowym koszyku. Czy to nie w jej dekolt podczas ostatniego balu sylwestrowego zaglądał pupilek Lukrecji, obecny pułkownik sił wywiadowczych SAW, zanim żona publicznie obiała mu mordę? Pisały o tym wszystkie bulwarówki, a baba miała wówczas na sobie małą czarną, tak obcisłą, że na pewno ktoś musiał jej pomagać przy ubieraniu. Jak ją zdjęła i kto wtedy jej pomógł? O tym annały milczą. Teraz zawijała nad koszykiem siermiężną kieczę, pod którą - mógłby przysiąc - skrywała niewielki, podręczny arsenał. Dla kogo robią tę szopkę? Kogo ocenili, że jest aż tak głupi? Umówili się z panią Huckelberry, że to ona skupi na sobie zainteresowanie. Miał jednak wątpliwości, czy da się skutecznie odwrócić uwagę wszystkich

pasażerów, a Kornelia nie chciała opowiadać co zamierza zrobić. Coraz ciężej się z nią rozmawiało. Odpływała, zawieszała się na dłuższy czas. W chwilach wzmożenia stawała się znów groźna jak lamparcica. Problem w tym, że nie było już nikogo, kto potrafiłby przewidzieć wahania jej nastroju. Zaryzykował więc i opłaciło się. Wkrótce oglądał z podziwem prowadzone z rozmachem show. Kornelia pokazała, co znaczy występ wielkiej diwy. Już pojawienie się w zatłoczonym wagonie dwumetrowej tęgiej kobiety obładowanej siatkami wzbudziło zainteresowanie. Zdecydowanie przepychała się w kierunku miejsc siedzących, deptając innym po stopach i szturchając bezpardonowo. Wreszcie zawisała nad podwójnym fotelem, na którym od strony okna siedział rachityczny, przyszczaty młodzieniec, a od strony przejścia korpulentny, łysy jegomość w średnim wieku, czytający z zapamiętaniem poranną gazetę. Żaden z nich nie kwapił się, by ustąpić jej miejsca, więc zaczęła tubalnie kasłać, chrypieć i wydawać rzęzące dźwięki, jakby miała gwałtowny atak astmy lub znajdowała się w ostatniej fazie gruźlicy. Pochylała się przy tym coraz bardziej nad siedzącymi w taki sposób, że siła jej świszczącego oddechu poruszała kartki czasopisma. Jegomość pozostawał niewzruszony, całkowicie zatopiony w lekturze, natomiast chłopak zaczął wiercić się niespokojnie. Aby pomóc mu w podjęciu decyzji, madame wyciągnęła chusteczkę do nosa, spluwając w nią i smarząc tak obficie i głośno, że z wyraźną odrazą poderwał się gwałtownie z miejsca, czmychnął w bok i z widoczną ulgą oddalił możliwie szybko, lawirując między ściśniętymi podróżnymi i ich tobołkami, które zajmowały niemalże każdy skrawek podłogi.

- Dziękuję ci, chłopcze - powiedziała dobitnie Kornelia do jego pleców, po czym niezwykle brutalnie przepchnęła się do wolnego miejsca pod oknem, przy okazji okazałymi gabarytami gnąc gazetę, a nawet robiąc w niej dziurę. Dopiero to ruszyło sąsiada, który gromiąc ją wzrokiem i kiwając na boki głową, zaczął nagle szukać solidarnego potępienia jej manier wśród współpasażerów.

Madame oczywiście nic sobie z tego nie robiła. Rozsiadła się wygodnie, rozłożyła podręczną półeczkę wkomponowaną w oparcie fotela obok i położyła na nim spory kuferek wyściełany pluszem i okuty srebrnymi blaszkami. Atak kaszlu szczęśliwie ustąpił bez śladu. Łysy facet, całkiem zepchnięty do narożnika, z porwaną płachtą papieru w ręku, przyglądał się jej poczynaniom z niemym oburzeniem.

Teraz dopiero rozpoczęło się właściwe przedstawienie. Madame wyjęła z walizki puzderko z kremem i dokładnie wmasowała w twarz jego zawartość, szczególnie uważnie oklepując okolice

oczu. Następnie wyciągnęła tubkę z zieloną mazią i starannie pokryła nią czerwone plamy na policzkach, brodzie i nosie, pocięte gęsto sinoszkarlałymi żyłkami popękanych naczynek krwionośnych. Oznaki nadmiernych emocji i wzburzeń zniknęły pod neutralną warstwą chemicznej substancji, reklamowanej jako kompozyt naturalnych składników. Ochłodziła się wielkim wachlarzem, teatralnie machając rękami. Nie wiadomo kiedy wyciągnęła go z torby, a wachlowanie miało przyspieszyć zaschnięcie specyfiku i wzmocnić wrażenie. Po każdym geście oglądała się ze wszystkich stron w małym lusterku na metalowej rączce, do której przypięta była czarna, plastikowa spinka w kształcie koronkowego motyla. Ludzie zaczęli spoglądać, jedni ukradkiem zerkać, inni całkiem jawnie gapić się, wdzięczni przypadkowi za niespodziewaną rozrywkę podczas nudnej jazdy. Kapitan pomyślał, że przyjaciółka się poświęca, rozcierając po twarzy preparat brudnymi palcami, którymi przed chwilą chwyciła poręcze ściskane przez tysiące osób. Nie każdy przecież udaje kaszel.

- Poproszę bilety do kontroli! - rozległ się skrzeczący głos zza pleców. Konduktor, przeciskając się przez tłum, potrącany i ściskany ze wszystkich stron, starał się kasować wyciągane przez pasażerów świstki i porównywać je z okazywanymi dokumentami. Spotykał się z niechęcią, demonstracyjnie długim przetrząsaniem torebek i kąśliwymi uwagami, że za jazdę w takich warunkach kolej powinna dopłacać pasażerom, a nie zawracać im głowę kontrolą. Konduktor też był zły. Paul podał mu bilet, pragnąc mieć to jak najszybciej za sobą.

Kornelia wyciągnęła tymczasem słoiczek z czymś w rodzaju białego, płynnego gipsu i wysmarowała nim całe oblicze, łącznie z powiekami. Wyglądała jak gejsza. Horn rozejrzał się dyskretnie. W tej chwili w wagonie nie było już nikogo, kto nie obserwowałby tego, co robi kobieta. Jegomość odsunął się możliwie najdalej, na brzeg siedziska, bojąc się, że sąsiadka zaplami mu przyciasny garnitur którymś z kleistych specyfików. Gazeta od dobrych paru minut leżała na podłodze, pobrudzona i zgnieciona, przez nieuwagę sam przydepnął ją butem. Horn posuwał się do przodu krok za krokiem. Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Skład był długi.

W ruch poszedł fluid, cielista zawiesina wylądowała na policzkach, nadając im jasny, jednolity odcień. Zanim Kornelia zaczęła strzepywać nad zaprasowanymi w kant spodniami jegomościa ogromny pędzel unurzany w ciemnobrązowym pudrze, spróbował on zagadnąć jeszcze stojącą nieopodal kobietę, mówiąc o wariactwach niektórych oszołomów. W końcu to intymne

czynności. Nie można było tego zrobić w łazience w domu, tylko w publicznym środku lokomocji, na oczach ludzi?

- Ciii, panie, nie przeszkadzaj pan - zgasiła go pasażerka, najwyraźniej starając się zapamiętać kolejność wykonywanych przez panią Huckelberry czynności i nie uronić żadnego niuansu. - Ta pani musi być znaną wizażystką - powiedziała z uznaniem do jegomościa, a ten zamilkł i na resztę podróży przybrał zacięty wyraz twarzy.

Madame przesunęła delikatnie bronzerem pod kośćmi policzkowymi, sięgając nie dalej niż do jednej trzeciej policzków. Lekko musnęła kwadratowe szczęki, miejsca nad skroniami, podwójny podbródek i skrzydełka zbyt szerokiego nosa. Następnie pomalowała powieki na matowy, ziemisty kolor, zaczynając od najjaśniejszego, piaskowego odcienia w wewnętrznych kąciach oczu, a kończąc najciemniejszym w zewnętrznych. Małą poszarpaną szczoteczką zaznaczyła brwi, z matematyczną precyzją formując ich kształt za pomocą ołówka przykładanego od końca nosa do środka źrenicy i zewnętrznego kąciaka oka. Na tej podstawie narysowała łuk, który unosił się i opadał złamany w odpowiednim miejscu. Przestrzeń pod nim musnęła cieniem w kolorze szampana. Następnie oddała ołówek do potrzymania jegomościowi, który przejął go pokornie, nawet nie protestując.

Paul w tym czasie zgrabnie wymijał kolejnych podśmiewających się agentów. Brak profesjonalizmu, dekoncentracja z tak błahego powodu. Żenada. Lukrecja popełniła wielki błąd, skracając ich szkolenia. Widać, że wpłynęło to na podejście do obowiązków przy pierwszej lepszej okazji. Tym lepiej dla mścicieli.

Kornelia pod czujnym wzrokiem współpasażerów pozostawiła na cienkim wgłębieniu między gałką oczną i dolnymi rzęsami świetlisty ślad białej kredki. Na brzegach powiek utkała gęsto czarne kropki, a następnie wprawnym ruchem, mimo że pociąg chwiał się i podskakiwał na szynach, połączyła je bez wahania eyelinerem w stylową linię. Zaczęła tuszować rzęsy, osobno niemalże każdą, raz, drugi i trzeci. Górne o jeden raz więcej.

Jakie długie - zdumiał się Paul i zatrzymał się na ułamek sekundy. Nie zauważył ich nigdy wcześniej. Później, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, przesunął się w kierunku toalety.

W tym czasie podstarzała diwa wyciągnęła metalowy przyrząd przypominający mininarzędzie tortur. Zakłapała nim przed nosem wystraszonego jegomościa i zaśmiała się niegrzecznie z jego reakcji. Wprawnym, ale delikatnym ruchem, powyginała koniuszki rzęs ku górze i przytrzymała aż zastygły w podkręceniu, dodatkowo ujarzmione twardniejącym tuszem.

Zalotka - uśmiechnął się Horn. Ciekawe, nigdy nie widziałem, żeby jakaś kobieta jej używała.

Pani Huckelberry bawiła się coraz lepiej i coraz szerzej uśmiechała do odbicia w podręcznym zwierciadelku. Paul zaczął się obawiać, że wyleciało jej z pamięci, po co to wszystko robi. Za pomocą ogromnego puszka oprószyła twarz i szyję sypkim pudrem, co sprawiło, że w tej chmurze sąsiad zaczął siarczyście kichać. Spojrzała w jego stronę z pretensją i odebrała mu ołówek. Ciemnobordową kredką obramowała usta. Znów bez najmniejszego drżenia czy przeciągnięcia konturu. Horn dostrzegł w tym geście coś więcej niż tylko wprawę w robieniu make-upu. Niezachwiana ręka snajperki - pomyślał.

Wnętrze warg było już wypełnione pomadką w jaśniejszym o ton odcieniu bordo. Madame przygryzała je kokieteryjnie. Czas się kurczył.

Jeszcze jeden pędzelek z arsenału, sztuczny uśmiech klauna, mający wyostrzyć najbardziej wypukłe miejsca na policzkach, zgodnie z tajemną sztuką kosmetyczną pokrywane różem podobnie jak okolice skroni, ostatnie muśnięcie warg, by nie błyszczały zbyt ostentacyjnie i... gotowe.

W tym momencie Horn zgrabnie wyminął zagapioną ochronę i znalazł się u wejścia do przedziału Anny. Idioci. Skończeni durnie. Pani Huckelberry uniosła głowę i sprawiła, że znów zatrzymał się w progu na ułamek sekundy. Dwaj pijacy z końca wagonu unieśli kciuki w geście aprobaty. Gdzieś tam odezwały się pojedyncze oklaski i pomruki uznania, a po chwili gromko bił brawo cały przedział, nie wyłączając funkcjonariuszy. Pod oknem, obok zdumionego jegomościa, siedziała piękna kobieta, jakieś trzydzieści lat młodsza od tej, która przedzierając się do wolnego miejsca nieuważnie naddarła mu gazetę. Teraz, dumny, że tak atrakcyjna laska wybrała z tłumu właśnie jego na partnera w podróży, puszył się niespodziewanie dowartościowany i wodził dookoła zadowolonym wzrokiem. Kornelia, uśmiechając się słodko, bez pośpiechu spakowała rzeczy, podniosła się, głęboko skłoniła zauroczonemu nią towarzyszowi, przepraszając go za wszelkie niewygody i z godnością, niespiesznie ruszyła w kierunku czoła pociągu.

Kapitan Horn osiągnął cel, czyli wąskie drzwi ostatniego przedziału pierwszej klasy. Niewiarygodne, w jak głupi i prosty sposób dało się przerwać zasieki ustawione w wielu rzędach. Ochroniarze tak

bardzo mieli już dość dziwactw Kornelii i tak dobrze ją znali, że starali się trzymać jak najdalej, a jej cudaczne zachowania co najwyżej były tematami kpin w pubach przy wieczornym piwie. Teraz też, jak się wyszykowała na galę, fiu! fiu! Nieźle, ale boki zrywać. Stara baba, a jaka cwana! Ubaw na cały pociąg, atmosfera zrobiła się swojska, za niecałe dwie godziny dotrą do celu. Paul spojrzął na zegarek. Czekał. Stał spokojnie i obojętnym wzrokiem wpatrywał się w dal uciekającą za oknem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W takim ścisku trudno mieć pretensje, że ktoś szuka odrobiny oddechu. Za czterdzieści pięć minut wjadą do tunelu, czas zacząć akcję. Kornelia zbliżała się z drugiej strony z dumnie uniesioną głową, litościwie pozwalając znużonemu tłumowi podziwiać jej spektakularną metamorfozę. Spakowany kuferek nonszalancko dyndał jej w dłoni. Agenci, rozstawieni wzdłuż wąskiego, zatłoczonego korytarza, nie mając innego wyjścia, dyskretnie torowali jej drogę, rozstawiając nieznacznie szerzej nogi lub odciągając ustawione sztywno łokcie. Udawali, że gapią się na przesuwany się za oknami krajobraz, czytają książki lub grają w strzelanki na smartfonach. Nie byli zadowoleni z tego, że wciśnięto ich w najgorszy tłok i znów muszą zajmować się tą oszalałą babą, choć tyle dobrego, że zaczęła przyzwyczoić się wyglądać. Nie po to się kształcili, ćwiczyli, a w ramach weryfikacji zgodzili się zrobić kilka świństw. Do szefowej było daleko. Przydzielono im podrzędne zadania, podczas gdy nowi stali tuż pod najważniejszymi drzwiami, zaledwie kilka metrów dalej, a jednak w innym, przestronnym i wygodniejszym miejscu. Po opuszczeniu wagonu trzeciej klasy i dotarciu do pierwszej odczuwało się wielką różnicę. Tłok zniknął, a na pustawy, wysprzątnany korytarzyk, z zawieszonymi tu i ówdzie odświeżaczami powietrza w kształcie muszli, wychodziły pozamykane drzwi wydzielonych przedziałów. Osamotniony podróżny palił w przejściu papierosa przy uchylonym oknie. Było to zabronione, ale tym z pierwszej klasy wolno więcej. Nie na darmo przepłacili za bilety. Co ciekawe, zaraz pojawił się ten sam konduktor, który podobnie jak Horn, usiłował delikatnie torować sobie drogę od ostatniego, najgorszego wagonu. Zwyczajowo pijackowie urządzili tam sobie imprezkę, zalewając piąte piwo szóstym lub wzmacniając jego działanie czystą wódką ze stumililitrowej buteleczki w promocyjnej cenie. W prowadzonych przez nich rozmowach ani Horn, ani konduktor nie zamierzali brać udziału. Po przekroczeniu magicznej granicy pierwszej klasy przedstawiciel kolei jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki inaczej zaczął się zachowywać. Odetchnął, wyprostował się, strzepnął niewidoczne pyłki z munduru i wyraźnie odprężony,

z perspektywą przyjemności obcowania z kulturalnymi ludźmi, przechadzał się między przedziałami, uśmiechając się i życząc wszystkim przyjemnej podróży, zapraszając przy tym na kawę do wagonu restauracyjnego, oferującego skromne menu za niebotyczne ceny. Okazywane bilety przeglądał pobieżnie, nie chcąc nikogo urazić brakiem zaufania. Nagle jego wzrok padł na Paula.

- Ja już byłem kontrolowany - powiedział szybko agent. - Konduktor spojrzał na niego triumfalnie, jak na łatwą zdobycz.

- Ale tam! - wskazał przeciwny kierunek. - Wykupił pan bilet w trzeciej klasie, a jedzie w pierwszej. Oj, nieładnie oszukiwać, nieładnie. Poproszę dokumenty, zapłaci pan karę! - zawołał groźnie.

- Ja tylko przeszedłem parę kroków. Chciałem rozprostować kości i złapać haust świeżego powietrza, bo z tyłu duszno niemiłosiernie - próbował zbyć go Horn. Konduktor robił stanowczo za dużo zamieszania. Musi się od niego jak najprędzej odczepić.

- Wszyscy tak się wymigują! - grzmiał tymczasem mundurowy. - Ciekawe, wie pan, że nigdy nie widziałem, żeby ktoś z pierwszej wybrał się, żeby rozprostować kości do trzeciej.

- No, tam raczej trudno o wolne miejsce w takim tumultcie.

- Jak panu nie pasuje, zawsze można złapać samolot! Dokumenty! I zaraz proszę wracać do wykupionej klasy!

- Już, już, proszę - mruknął Paul polubownie, sięgnął do kieszeni i jednocześnie zajął pierwsze wolne z brzegu miejsce. Konduktor wyciągnął długopis i przycupnął obok niego, pochłonięty wystawianiem mandatu.

Obok siedział jeszcze jeden facet, wąsaty i łysy, i kapitan mógł przysiąc, że to agent obserwujący całą scenę spod przymkniętych powiek. Musi ją więc zakończyć finezyjnie.

- Trudno, przyjmuję mandat - westchnął ze skrucą i w miarę głośno. - Ale widzę, że pan też się rozluźnia, jak tylko tu się przedrze. W sumie ma pan rację. Ciężko pan pracuje. W pierwszej klasie można odpocząć. Już pan wszystkich skontrolował, do następnej stacji nikt nowy się przecież nie dosiadzie. Przepraszam za kłopot. - Wyciągnął rękę po odbiór urzędowego papierka.

Konduktor zdziwił się, cóż to za komar kąsa go dotkliwie o tej porze roku. Nie zdążył jednak tego sprawdzić, odgonić owada ani nawet złapać się za piekące miejsce na ramieniu. Tak był zajęty czynnościami służbowymi, że prawie nie poczuł, kiedy kapitan dyskretnie wkuł mu cienką igłę przez tkaninę uniformu. Zamiast tego oparł głowę o wygodny zagłówek fotela i zamilkł, jakby błyskawicznie zawarli komitywę. W poczuciu spełnionego obowiązku, przyłapania niesfornego gapowicza, przedstawiciel regionalnych kolei uciął sobie regenerującą drzemkę.

Przysypiający funkcjonariusz nie zareagował, choć wydarzyło się to prawie na jego oczach, jedynie nieznacznie poruszył ręką. Horn nie był pewien, co dostrzegł i na ile zorientował się w sytuacji, ale obawiał się, że dłoń wścizna spoczęła właśnie na rękojeści schowanego pod marynarką pistoletu. Niby niechcący upuścił dokument i schylił się po niego niezgrabnie, jak człowiek, którego nieszczęśliwie dopadła rwa kulszowa, całkowicie niegroźny i pogrążony we własnym bólu. Gdy się wyprostował, pasażer spał nadal, tylko mocniej. Gdyby mógł zareagować, podrapałby się w udo, które nieprzyjemnie pulsowało i szczypało.

Paul, trzymając mandat na widoku, cofał się w kierunku wagonów dla gorzej sytuowanych. W rękawie miał puste dwie smukłe strzykaweczki. Ich zawartość krążyła w organizmach konduktora i niewczesnego szpiega, sprowadzając na nich kompletną niemoc.

Dobranoc panom! - rzucił kurtuazyjnie w myślach, usiłując dyskretnie wepchnąć głębiej za mankiet opróżnione zastrzyki. Słabsza ręka wciąż nie była dość zwinna. Jedna ze strzykawek wysunęła się niefortunnie i potoczyła pod siedzenie, które zajmował konduktor. Z tyłu wagonu powstał nagły rumor. Cholera! Nie było czasu na szukanie. Nie będzie teraz szperał pod nogami wypoczywających mężczyzn, to od razu przykułoby uwagę pozostałych. Nie mógł też liczyć, że sprzątacze wymiecie ją spod fotela jutro rano i wyrzuci do kosza. Bez wątpienia po zakończeniu akcji technicy przetrząsną i zabezpieczą każdy zakamarek. Została resztką substancji i jego odciski palców. Diabli nadali! Ułatwi im zadanie, jak nierozgarnięty amator. Trudno. Liczy się cel. Nieco zdenerwowany usiadł na styku przedziałów. Rejestrował najmniejszy ruch. Czekał na dogodny moment. Tymczasem w wagonie nastąpiło poruszenie. Jeden z pijaczków nieoczekiwanie zapragnął popisać się przed idącą korytarzem piękną kobietą. Zignorował naklejki na tablicach przestrzegające przed wychylaniem się przez okno podczas jazdy i zawisnąwszy na opuszczonej szybie i wyrzucił na zewnątrz butelkę po wypitej wódce. Wszyscy usłyszeli głośny brzęk.

- Konduktor! Gdzie jest konduktor?! - wołali ludzie. - Czy ktoś tu pracuje?!

Brakowało tylko, by ktoś, chcąc się poskarżyć, zaczął szukać kierownika pociągu. A niech to! Paul kłął pod nosem. Niech Kornelia się pospieszy!

Po drzwiach Lukrecji stał tylko jej nowy kierowca, drugi agent właśnie na chwilę oddalił się w kierunku toalety. Idealny moment. W głębi korytarza narastał szum. Gdy Paula minęła nadchodząca

z przeciwka pani Huckelberry, pewnym krokiem ruszył za nią. Pozostali ochroniarze wymieniali jeszcze z obcymi ludźmi rozbawione spojrzenia, kręcili głowami i przysłuchiwali się prześmiewczym komentarzom. Fajnie było. Pociąg szarpnął, gdy Kornelia chwyciła za klamkę wydzielonego boksu. Stojący przy nim Libor, uchylił je usznię.

- Witam, pani Huckelberry - powiedział.

Zdażył się już dobrze zorientować, kto jakie ma wpływy. Jako jedyny nigdy nie śmiał się z przyjaciółki szefowej.

- Cześć, John! - rzuciła, a ten błyskawicznie zagroził drogę próbującemu wejść za nią Hornowi.

- Co ty wyprawiasz, John! Odsuń się natychmiast! Jesteśmy razem. Cóż to, nie poznajesz mojego syna?

Libor zdębiał. Oczywiście słyszał o poszukiwaniach, huczała o nich cała agencja, plotki przycichły jednak z czasem, niezasilane nowym paliwem. Wciąż brak było efektów starań, a tu taka bomba! Jak mógł to przeoczyć. Zaskoczony, niepewnie odsunął się. Kobieta zamasyście wyszarpnęła mu wejściowe skrzydło i bezpardonowo zatrzasnęła przed nosem. Syn, dla odmiany, wcisnął się do przedziału cicho jak kot.

- Proszę nam nie przeszkadzać - zwrócił się cicho do Kovacza, a potem od wewnątrz cichutko szczęknął marny zamek w cienkich drzwiach.

Lukrecja, zatopiona w lekturze przemówienia, które wieczorem zamierzała wygłosić, nawet nie podniosła oczu znad pliku kartek. Usiedli naprzeciwko w niemym, napiętym milczeniu. Po chwili spojrzęła, już miała przywitać Kornelię, gdy pozdrowienie zamarło jej na ustach.

- Cześć, Lukrecjo! - szepnął Horn, celując jej w pierś z pistoletu.

- Kornelio, co się dzieje? - zapytała, ignorując go, choć sama już się zorientowała. Krew odpłynęła jej z twarzy razem z nadchodzącą pewnością, że oto jest jej ostatnia podróż.

- Gdzie jest Emil? Masz ostatnią szansę - powiedziała spokojnie starsza kobieta. - Nie będę czekać ani chwili.

Pani generał ważyła sytuację. Właściwie i tak było już wszystko jedno. Przyjaciółka stanowiła ostatnią deskę ratunku. Musi powiedzieć jej prawdę i oby w nią uwierzyła. Wtedy, może, przez wzgląd na lata wspólnych przeżyć... Tak, Anna Litewski nigdy się nie poddaje. Potężny policzek pomógł jej podjąć ostateczną decyzję, choć wstrząs odebrał jej mowę, podobnie jak zwichnięta szczęka, w której mocno zachwiała się dolna piątka. Poczwała w ustach słonawo-metaliczny smak krwi. Wyrzaz twarzy pani Huckelberry nie

zmienił się, gdy podnosiła rękę do drugiego ciosu. Anna ją ubiegła.

- Znaleźliśmy go w Argentynie, cztery lata temu - prawie krzyknęła. - Prowadził hulaszczę życie, na które powoli przestawało starczać pieniędzy. Zjadał go hazard. Spalił mosty w wielu miejscach, tak samo jak tutaj. W końcu przestali go wpuszczać do legalnych kasyn. To go nie powstrzymało. Grywał w spelunkach, w coraz gorszym towarzystwie. Staczał się. Zadłużał się bardziej i bardziej, na coraz wyższe odsetki, których nie był w stanie spłacać, u coraz bezwzględniejszych bandytów. Ciągłe liczył, że się odkuje, ale nie szły mu ani karty, ani ruletka. Zaczął oszukiwać, ale nie do końca umiał to robić.

- Zawsze był uczciwy - potwierdziła Kornelia ledwo słyszalnym głosem, z dumą matki zadowolonej z prawidłowego zachowania dziecka.

Gdyby nie groźba wiszącej nad nią śmierci, Annie byłoby teraz tylko koszmarne przykro. Te szerokie, solidne, pocięte sinymi, wystającymi żyłami pieścotliwe dłonie, wyciągające ją z każdej opresji, serwowujące lekarstwa i parzące ziółka, kupujące na targu zdrową żywność, którą nie za bardzo potrafiły później przyrządzić, i utulające w smutku, niespodziewanie zaczęły ją okładać. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że Kornelia mogłaby się na to zdobyć. Nigdy, w żadnej sytuacji. Skoro tak się jednak stało, nie było wątpliwości, że rozpoczęła się ostateczna rozgrywka. Własne życie za wiadomość o Emilu? Też już nie. Zaszły o krok dalej.

- Chcieliśmy go ściągnąć z powrotem, wykupić u gangsterów, inaczej by nie przeżył. To się nawet udało. Nasz człowiek w Buenos Aires dopiął kilka szemranych transakcji. Ryzykował karierą. Wtedy Emil znów zniknął. Zapadł się pod ziemię. Nie wiedzieliśmy, czy jednak ktoś go nie dopadł i nie wykończył. Nie powiedziałam ci, bo nie chciałam rozrywać ci serca. Nie przeżyłabyś tego.

- Oczekiwałam tylko prawdy. To było dla ciebie zbyt wiele. Czego mi oszczędziłaś, chwili pewności, że mój syn żyje? Na tyle lat beznadziei? Odroczenia rozpaczy, choć na jakiś czas? Skąd w tobie tyle okrucieństwa, Anno? Czy muszę to z ciebie wyciągać w taki sposób? Inaczej nadal niczego byś nie powiedziała. Przeliczyłaś się. To ty tego nie przeżyjesz.

- Znów jesteśmy blisko - przerwała nerwowo Lukrecja. - Pojawił się nowy ślad. Anthony natrafił na niego w Szwajcarii. Emil żyje i chyba lepiej sobie radzi, zaczął nawet legalnie używać karty płatniczej. Nasi już zostali oddelegowani do Zurychu. Niedługo ci go przywiozą.

- Nie wierzę ci - odpowiedziała Kornelia, blada i zmartwiała jak trup, z tą różnicą, że plamy popękanych naczynek krwionośnych na

jej twarzy z czerwonych zmieniły się w sinofioletowe. Spuchła, stężała. Jad goryczy wypełnił komórki jej ciała, brudna fizjologiczna woda zatrzymała się w tkankach. Znany wszystkim elegantkom płyn, którego ciężiej się pozbyć niż tłuszczu, wypełnił ściśle wolne przestrzenie w ciele. Szarpały nią emocje nieporównywalne z niczym, czego do tej pory doświadczyła. Nawet to koszmarnie zaginięcie nie wywołało u niej tak skrajnej, druzgocącej reakcji.

- Patrz! - krzyknęła rozpaczliwym szeptem Anna. - To jego zdjęcie! - Oczami wskazała na swój telefon komórkowy.

- Nie ruszaj się - przestrzegła Kornelia. - Niczego nie widzę.

- Odblokuj. Jest na odcisk palca, podsuń mi go - błagała Litewski.

- Nie! - zaproponował Horn. - Zostaw Kornelio. Kto wie, jaką broń ma w telefonie, może gaz paralizujący! To żmija.

- Nie chcesz zobaczyć twarzy syna?! - napierała złapana w potrzask ofiara.

- Znam jego twarz.

- Przepraszam panie - wtrącił się kapitan, wciąż mierzący w pierś Lukrecji z lufy opatrzonej solidnym tłumikiem. - Kornelio, czy wszystkiego się już dowiedziałaś? Czas nagli. - Kobieta milczała, raptownie zapadła się w sobie. Nie mógł dopuścić, by się wahała.

- Więc teraz i ja chciałbym o coś zapytać, jeśli można. Pani generał, czy zechce mi pani wyjaśnić, dlaczego mnie oszukała, wystawiła na odstrzał, zrobiła ze mnie skończonego idiotę, zdradziła i wydała wyrok śmierci, bez pogrzebu, kazała zakopać w leśnej norze jak psa? Ma pani trzy minuty.

Zacisnął szczęki, chrząstki poruszały się bezwiednie pod policzkami na wspomnienie niedoszłych do skutku wspólnych planów, spisku, jaki zawiązali, by jego ówczesna kochanka mogła wyzwolić się i żyć normalnie, a on awansować na szefa agencji w glorii pogromcy bandytów, przestępczości i korupcji na najwyższych szczeblach ówczesnej władzy. Zamierzał stać się członkiem nowej elity, zasłużonej, jasnej, szlachetnej. Poprzednicy, w tym jego bezpośredni zwierzchnik, mieli nigdy nie podnieść się po ostatecznej kompromitacji. Lukrecja zakpiła z niego, wykorzystwała do brudnej roboty i porzuciła jak śmieć. Nieźle się nakombinował, żeby wyrwać byłego wiceszefa SAW z otoczenia strażników więziennych i pospolitych bandytów, a potem wywieźć w bezpieczne miejsce. Niespodziewana wolta Lukrecji sprawiła, że towarzyszył mu jedynie w drodze do kostnicy. Razem ukuli intrygę, dograli szczegóły, przeciwiczyli opcje awaryjne. W międzyczasie się kochali. W każdym razie on zadurzał się coraz mocniej. Cóż, miała

inne zamiary. Bezwzględna, fałszywa kobieta. Osobiście wykończyła byłego kochanka, pułkownika Philipa Sandersa, którego rzekomo mieli uratować, a wyciągnęli z pierdła na jego zgubę. Nie będzie udawać, że nad nim ubolewał. Po prostu nie rozumiał. Choć zastanawiał się długo. Bardzo jednak żałował siebie, zdrowia, miesięcy w szpitalu, beznadziei, wstydu, rozczarowania, utraconej sprawności. I choć to on, oszukany, skończony i ośmieszony, wydał wtedy w sercu wyrok na nią, rosnącą w siłę, a na koniec potężną, za cyngiel znów pierwsza pociągnęła ona. Ręką Kornelii, szarpiącej się w tej chwili z zamkiem okna. Wykończyła go, lecz powstał z martwych. Teraz pożegnają się naprawdę.

Trzy minuty - ostatnie słowa zadźwięczały w głowie Lukrecji - trzy minuty na uratowanie życia. Ostatnie trzy minuty na okazanie hardości. Tak ją zapamiętają.

- Nikogo nie musiałam z ciebie robić. Zawsze byłeś ostatnim durniem.

Pani Huckelberry podniosła się i otworzyła okno na całą szerokość. Anna zorientowała się po co. Zaraz wyrzucą przez nie jej ciało.

- Jak możesz wierzyć takiemu idiocie? - spytała wyraźnie zdruzgotaną madame. Nie poddawała się. - Tyle lat szukałam Emila. Jeśli mnie zabijecie, poszukiwania zostaną przerwane, jesteście tuż, tuż! Wkrótce zobaczysz syna! Poświęcisz go nagle dla tego nieudacznika? Przecież on nawet we mnie nie trafi, spudłuje. Spójrz na jego prawą dłoń, jest o połowę cieńsza niż lewa, niesprawna jak sucha gałąź! On blefuje Kornelio. Chcesz zostać skazana na dożywocie za nieudany zamach na szefową krajowych służb? A co z twoim synem?

- Minuta - wycedził Horn i przyłożył jej lufę do czoła. Nie martw się, teraz trafię. - Starsza kobieta pozostawała obojętna.

- Kornelio, do cholery, ratuj mnie! - krzyczała szeptem, zlodowaciała w środku, wiedząc, że najmniejszy hałas spowoduje pociągnięcie za spust.

Wpatrywały się w siebie jak stare wilczyce, zimno, bez cienia współczucia, choć obie cierpiały dotkliwie, może najmocniej w życiu. Zawiedzione oddanie, rozdęte do monsturalnych rozmiarów, z braku innych zaufanych osób, w mgnieniu oka przistoczyło się w nienawiść czarniejszą i bardziej lepka od smoły. Cuchnęło siarką i Kornelia mogłaby przysiąc, że na krawędzi uchylonej szyby zobaczyła przyczajonego diabła. Znała jego gębę z widzenia. Nie byłby taki najgorszy, gdyby nie to, że też nie chciał odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest Emil. W źrenicach obu kobiet odmalował się zawód, ostateczna przegrana, pewność zdrady,

mocna, dławiąca, niepozwalająca dalej żyć. Diabeł śmiał się, zadowolony.

- Wytłumaczmy to sobie - poprosiła Anna, ale na wyjaśnienia nie było już czasu, a i Kornelia nie przejawiała najmniejszej chęci do rozmowy na temat inny, niż miejsce pobytu Emila.

- Zginiesz! - zwróciła się więc do kapitana. - Jak śmiesz porywać się na mnie, na co liczysz, pokonałoby cię dziecko! - prowokowała specjalnie, niech wytracony z równowagi popełni ostatni błąd. - Wyglądasz jak łachmyta. Nie wiem, po co kiedykolwiek zleciłam ci zadania ani czemu dopuściłam blisko. Jesteś zerem! - szarżowała zapamiętałe, brawurowo, odważnie, starając się dostrzec moment, w którym będzie miała szansę na reakcję, wytraconie broni, kopnięcie w krocze, cokolwiek. Sekundy uciekały. Rozpaczliwie pragnęła żyć.

- Mylisz się - odpowiedział prawie z rozbawieniem, wciskając lufę niemal w głąb jej czoła. Skóra napięta się, podpłynęła wybroczynami. Ostatnia batalia Anny umocniła tylko jego przewagę, zdał sobie sprawę, jak straceńczo walczy, ale jej przedśmiertne, rozpaczliwe ukąszenia nie robiły na nim wrażenia.

- W tunelu wyrzucimy ciało - poinformował rzeczowo. - Pociąg zaraz przyhamuje. Wyjdzie Kornelia, poprosi, żeby ci nie przeszkadzać, bo przygotowujesz przemowę. Wsiądziemy na najbliższej stacji, a funkcjonariusze karnie poczekają pod drzwiami jeszcze ze dwadzieścia minut. Boją ci się przeciwstawić. Nim ktoś coś zauważy, będziemy daleko. Może w Szwajcarii - powiedział złośliwie, a pani Huckelberry bezwiednie drgnęła.

I wtedy zobaczył to, po co tu przyszedł. Na co tyle czasu czekał. Satysfakcja rozlała mu się bezczelnie po wychudzonej twarzy. Jest! Wreszcie! Bingo! Dostrzegł w jej oczach śmiertelny strach.

Kopnęła ją w brzuch ze wszystkich sił. Z pozycji siedzącej, bez poruszenia innych części ciała, nagle. Przez ułamek sekundy pomyślała, że jej sprawność fizyczna zawsze była znacznie lepsza, niż wszyscy przypuszczali. Niegdyś widzieli w niej zdegenerowaną pijaczkę bez kondycji, a w ostatnich czasach starszą babkę w niemodnej garsonce z przyciasną spódnicą. Nie doceniał jej nawet Horn, który znał ją dobrze i nieraz z bliska oglądał oblicze lwicy. On nawet by nie jęknął, tego była pewna. Wyćwiczony i zdeterminowany, w krew wszedł mu trick żelaznego napinania mięśni podczas każdej podejrzananej akcji, tak że stawały się jego naturalną tarczą. Za to Kornelia zawyła z bólu i szarpnęła się do

przodu, mocno potrącając nieprzygotowanego na to mężczyznę. Rewolwer odchylił się, strzał poszedł w okno. W tym samym momencie John wpadł do przedziału wraz z drzwiami, strzelając na oślep w plecy pochylonego nad szefową kapitana.

Dopadła do Huckelberry i chwyciła ją za gardło.

- Jak mogłaś, do cholery, jak mogłaś!

- Zawiodłaś mnie - odpowiedziała tamta bezbarwnie. Kovacz już zatrzaszczywał na jej przegubach kajdanki.

Anna zanosila się płaczem. Czy łkała nad swoim cudem ocalonym życiem? Czy nad darem następnej szansy, który niespodziewanie otrzymała od losu? Czy nad kolejnym martwym kochankiem, stygnącym u jej stóp i wpatrującym się w nią już zza światów otwartymi nieruchomymi oczyma pociemniałymi od bezbrzeżnej nienawiści? Nie, rozdierająco, histerycznie rozpaczła nad największym rozczarowaniem, jakie kiedykolwiek ją dotknęło, nad zdradą Kornelii Huckelberry. Ta we własnym mniemaniu przekonana o tym samym, o tragicznym w skutkach sprzeniewierzeniu się Lukrecji, za którą latami stała murem, służyła jej i narażała dla niej życie, czuła się identycznie. Odkrycie, że najlepsza przyjaciółka nie przybiegła do niej, gdy tylko się dowiedziała, że Emilek żyje, choćby w środku nocy, i nie wykrzyczała radosnej informacji, skazała Annę w jej oczach na wieczne potępienie. Skoro pozwoliła jej cierpieć przez tyle lat, bezdusznie tłumacząc ten fakt jej fałszywie pojętym dobrem, Kornelia nie wierzyła już w nic. Co z tego, że dowiedziałyby się, że syn o nią nie dba, i tak nigdy by tak nie pomyślała. Widocznie miał powody, biedne dziecko, musiał się czegoś bardzo bać. Co za problem, aby matka wsiadła w pierwszy samolot i poleciała do Argentyny? Dlaczego do cholery nikt jej tego nie zaproponował? A że zobaczyłaby brudy życia? Ha, ha, ha! Jakie to śmieszne! Ona? Przecież widziała już wszystko. Wyciągnęłaby go z opresji taranem. Przeciwnicy syna modliliby się o jej łaskę. Ze słów Litewski wynikało, że jej dziecko, tam, na dalekiej ziemi, potrzebowało pomocy. A ona, matka, mu jej nie udzieliła. Wiarołomstwo Anny zabiło w niej wszelką nadzieję. I choć nie sądziła, że kiedykolwiek do tego dojdzie, przestała czekać na Emila. Odpłynęły w dal pokładane nadzieje i starania czynione z nadludzkim poświęceniem. Przepadły niespokojne, intuicyjne sny tuż przed obudzeniem. W Zurych nie wierzyła, podobnie jak w nic innego. Łez w zapasie też nie miała.

Anna, całkowicie straciwszy panowanie nad sobą, wyjąc i rycząc, usiłowała skutą kobietę okładać pięściami po twarzy. Uniemożliwiali jej to ochroniarze, którzy wpadli do przedziału

i usiłowali zapanować nad chaosem. Bronili Kornelii własnymi ciałami, choć zapewne nieraz sami mieli ochotę jej przyłożyć. Ich dowódca klęczał przy Hornie, starając się wyczuć puls i próbując pośpiesznej reanimacji. Obejrzał powierzchownie ranę, po czym pokręcił głową. Nie ma szans. Za późno.

- Co tu się stało, proszę pani? - zapytał Annę, z dezaprobatą patrząc na jej atak szału, choć to przecież wszystko była jego wina. Dopuszczył, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli i wydarzyła tragedia. Naraził szefową na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Poleci za to jego głowa, straci stanowisko, a może coś więcej.

Pani generał nie była skora do odpowiedzi.

- Ty mi powiedz! - warknęła złowrogo.

- Tyler, melduj!

John, ciągle w szoku, nerwowo zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Miał ją porwać, a po tym, co się tu stało, raczej nici z tego. Wezmą ją pod taką ochronę, że jego rola się skończy. Może Docent wolałby, żeby ten koleś ją rozwalił, a on temu zapobiegł. Żeby teraz jego nie odstrzelili. Jednak ratując życie tej kobiecie, zyskał tak wielkie jej zaufanie, że na pewno awansuje i zaskarbi sobie wszystkie łaski w agencji. Akcja odwlecze się, ale nie przepadnie. Skołowany, nieprofesjonalnie potarł lufą nabitego pistoletu zafrasowane czoło. Wbrew procedurom, jakby się prosił o wypadek. Dowódca zgromił go wzrokiem.

- Usłyszałem hałas i wpadłem, strzeliłem, ubiegłem go, chciał zabić szefową - relacjonował chaotycznie.

- Jakim cudem w ogóle wszedł do przedziału?

Libor nie chciał powiedzieć, że sam go wpuścił. Nieoczekiwanie w sukurs przyszła Anna.

- Wyjaśnicie to sobie panowie później - wtrąciła słabszym, ale opanowanym już głosem. Widać, że gwałtownie wyrzuciła z siebie wszystkie destrukcyjne emocje.

Kornelia też odzyskała werwę.

- No i co? - rzuciła zuchwale w stronę Anny. - I co mi zrobisz?

- Jakim prawem mnie skuliście? - zwróciła się do zmieszanego ochroniarza. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie masz świadków, że chciałam wyrządzić ci krzywdę - ziała w stronę Litewski.

- To tylko do wyjaśnienia - zaczął tłumaczyć się dowódca.

- Przeciwnie, broniłam cię przed tym biedakiem - wskazała z bólem na sztywniejące ciało. - Za to kilku twoich podwładnych widzi, że to ty atakujesz mnie.

Faktycznie, agenci nie bardzo widzieli podstawy, żeby zakładać kajdanki przyjaciółce szefowej. Może tylko się pokłóciły. Te kobiety stać na wszystko.

- Fiu, fiu, brawo! Z kim przestajesz, takim się stajesz - zauważyła sarkastycznie Anna.

- Uczę się od najlepszych - odrzekła zimno Kornelia.

Chyba obie sobie właśnie przypomniały, jak potrafią być niebezpieczne.

Pani generał otrząsnęła się pierwsza.

- Żadnego skandalu. Rzeczywiście, zaszła pomyłka. Tak bywa w ferworze zdarzeń. I ciszej o tym - rozkazała swoim ludziom. -

Pani Huckelberry nie brała udziału w zamachu. Jedzie ze mną - oświadczyła wbrew oczywistym faktom i pogardliwie wskazała na Kornelię, nie patrząc nawet w jej stronę. Posprzątajcie tu. I cicho sza! Nic nie może zakłócić ceremonii. Zatrzymajcie pociąg między stacjami, usuńcie ciało! - coraz głośniejsze i pewniejsze wydawała polecenia. - Jedziemy dalej, jak gdyby nigdy nic.

Niedoszłą terrorystkę przytrzymał pod dyskretną strażą. Wyprowadzenie w kajdankach kobiety, która kwadrans wcześniej dała specyficzną sensację dla całego pociągu, wywołałoby szeroko komentowaną sensację, a tego Anna za wszelką cenę chciała uniknąć. Jechały więc dalej razem, zasklepione we wzajemnej niechęci i rozczarowaniu. Gdy pakowali na nosze Horna, madame uniosła skute do przodu dłonie i wykonała nimi znak krzyża.

- Już cię raz chowałam, synu - rzekła ze smutkiem.

- A teraz pochowam go ja - syknęła Lukrecja - a ciebie obok niego. Nawaliłaś! - powiedziała bardzo groźnie.

Dowódca znów spojrzał w jej stronę z niesmakiem. Wskazał Johnowi, żeby usiadł między paniami. Do czasu gdy wysiądzie z pociągu, pozostaje jeszcze dowódcą.

Po chwili odebrał zaszyfrowaną wiadomość. Zdezorientowany, przez moment zawahał się, co ma zrobić.

- Pani generał, musimy porozmawiać na osobności. Mam ważną informację - zdecydował się.

Wykończona Lukrecja nie miała siły bawić się w konspirację.

- Mów!

- To ściśle tajne. Musimy przejść do zapasowego przedziału.

- Jak chcesz stąd teraz wyjść? Może zostawić ich samych? -

Anna wskazała wymownie na skutą Kornelię i leżącego Horna. - Taki chcesz dać im prezent? - patrzyła na dowódcę z wielką podejrzliwością. Wszystko wskazywało na to, że mógł maczać palce w zamachu.

- Chodzi o pani bezpieczeństwo.

- Nie. Napisz mi. Niezbyt dobrze o mnie dbasz.

Mężczyzna zawahał się. Następnie przesłał zaszyfrowaną wiadomość na telefon Anny.

Parsknęła nerwowym śmiechem. Komunikat brzmiał: John Tyler fałszywa tożsamość. Możliwa działalność terrorystyczna. Nie chciało jej się odpisywać, że to człowiek, który jako jedyny spośród gromady podwładnych ocalał ją od śmierci.

Dowódcy nie pozostało nic innego, jak wezwać ambulans. Zwłoki Horna przykryte po szyję złotą folią, spod której nie miała szans wypłynąć ani kropla krwi, wyniesiono na noszach, tłumacząc zaciekawionej gawiedzi, że pasażer zasłabł.

- Chyba dostał zawału - wyjaśnił jeden z agentów przypadłość kapitana zniecierpliwionym podróżnym, niezadowolonym z nieplanowanej przerwy.

- Nie mógł zasłabnąć w domu? - skomentował ktoś.

- Właśnie, jak chory, to niech jeździ taksówką, a nie blokuje cały skład! Śpieszymy się do pracy!

- Ludzie, czy wy nie macie serca? - Dyskusja rozgorzała na dobre, wewnątrz przedziału uwijali się technicy, zabezpieczający ślady.

- Mamy jeszcze dwóch nieprzytomnych. Nasz człowiek i konduktor - poinformował Annę funkcjonariusz pełniący służbę na korytarzu.

- Dlaczego zemdleli?

- Nie wiadomo.

- Pomóżcie im.

Poszkodowanych przetransportowano do karetki. Zespół medyczny podjął standardową reanimację, nie wiedząc do końca, co należy zrobić.

- Ustalcie przyczynę utraty świadomości - polecił nerwowo dyżurny lekarz. Ba, łatwiej powiedzieć, niż wykonać!

- Co się dzieje w tym pociągu? - panikowali pasażerowie.

- Jak to co? Ludzie mdleją w tłoku!

- Ścisk w pierwszej klasie?

- A byłeś? Widziałeś? Wszystko schodzi na psy!

- To skandal! Napiszmy skargę! Wspólne pismo! Kto z państwa się podpisze?

- Tak, pismo, koniecznie! Odezwe do kolei! Skandal, skandal na skalę krajową! Podpisać? Może później.

Po przybyciu na stację poczekali, aż wszyscy wysiądą. Czas się kurczył, standardowe procedury zawsze trwały zbyt długo.

Dowódca poszedł do radiowozu i na rozkaz Anny został skuty dopiero w jego wnętrzu. Zanim jednak wsiadł do auta, po raz ostatni spróbował ostrzec szefową. Był dobrym oficerem. Zawsze na służbie.

Obok stał Libor, patrzył smutno na całe zamieszanie, skołowany spoglądając za dziecinnie głupio oddalającą się szansą na normalne życie. Nagle w słuchawce ukrytej w kieszeni usłyszał klnącego ordynarnie Konia. Dowódca szarpnął się w jego stronę, rozpychając niespodziewających się tego funkcjonariuszy. A potem na ramieniu Słowaka spoczęła ciężka, okuta metalem ręka.

- Prawdziwe nazwisko?

- Słucham?

- John Tyler?

- Przecież pan wie, a o co chodzi? - cofnął się spłoszony.

- Wiem o tobie wszystko, Libor - syknął dowódca.

- Nie, to pomyłka.

- Nie wydaje mi się. Bez dyskusji. Już po tobie, Kovacz. Zostaw ją. Oddał się natychmiast!

- Co pan mu robi? - zainteresował jeden z niedawnych podwładnych, a teraz mimowolnych oprawców. Pozwolił sobie popchnąć dowódcę w stronę więźniarki.

- Pani generał wydała rozkaz! Proszę nie utrudniać! - Szeregowy nie okazał zażenowania. Widocznie wcześniej nie lubił szefa. Albo był do tego stopnia prymitywny.

Z kieszeni dobiegło cichutkie pyknięcie i Traskalski szybko się rozłączył.

Pani generał po poprawieniu makijażu, fryzury i wypiciu podwójnej lampki koniaku ze stonowanym uśmiechem udała się na galę. Nie na darmo zasiadała na tym fotelu. Nie był przeznaczony dla mięczaków. Limuzynę miał prowadzić John Tyler, od tej chwili jej ulubiony szofer.

Trząsł się, szcząkał zębami, wiedział, że nie tylko Koń słyszał wszystko. Docent cały czas na pewno też siedział na nasłuchu. Ich reakcji nie potrafił przewidzieć. Już się spodziewali, że akcja nie wyjdzie. Wielkie środki, które zaangażowali, na razie przepadły, a rozbuchane plany wzięły w łeb. W każdym razie wisiały na włosku. Paradoksalnie cieszył się z tego. Po raz pierwszy w życiu zdawało mu się, że naprawdę może wejść do lepszego świata. Na legalnych warunkach. Sam prawie w to uwierzył. Gdzieś od zawsze drzemało w nim pragnienie, które jako nierealne spychał do

najgłębszych warstw podświadomości. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Błyskawicznie, krótką akcją, wkupił się w łaski Lukrecji, jednej z najpotężniejszych kobiet w kraju. Zyskał protektorkę, która skinieniem palca potrafi dać mu prawdziwe, normalne życie, nie to co Docent, Krogulec, Koń i im podobni, jedyni ludzie, jakich do tej pory znał. Nie wiedział, czy nie zechcą go wykończyć jeszcze dzisiaj. I nie domyślał się, że znów ma pecha i jak zwykle żadnego wyboru. Rozmarzył się, że opowie o wszystkim Vladimirowi i jego matce. Ciekawe, co u nich słyhać. Może znów założą wspólny ogród, tym razem ogromny, pachnący różami, z egzotycznymi roślinami, równo przystrzyżoną nisko trawą, małą fontanną z gipsową rzeźbą nagiej kobiety, kolorowymi leżakami i siatkowymi hamakami rozpiętymi między drzewami, gdzie tylko się da. Będą odpoczywać i wylegiwać się bez końca. Matka Vladimira odpocznie. On odpocznie. Przez chwilę żył szczęśliwą ułudą, nie domyślając się jeszcze, że został zdemaskowany.

Wycieńczona Lukrecja jechała w stronę triumfu, nieświadoma tego, że towarzyszą jej zdrajcy, zawodowi nieudacznicy i spaleni mafiosi. Na dodatek zwycięstwo nagle straciło smak. Zrozumiała, jakie jest tanie i powierzchowne. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek pod kołdrą, licząc na to, że Kornelia pogłaszcze ją po plecach, poda kubek gorącej herbaty, a później po raz tysięczny wytłumaczy, że wszystko guzik warte. Ale koniec z tym! I choć Anna nie potrzebowała słuchać banałów, uświadomiła sobie, jak wielką siłę pompowała w nią ich dziwaczna bliskość. Teraz straciła wszystko. Pustka była zimna i dławiąca. Już jej nie wypełni. Wraz z jedyną przyjaciółką straciła ostatnią resztkę dobra. Ale brnęła twardo w bagno z wysoko podniesionym czołem, inaczej nie umiała i nie chciała.

- Usiądź z przodu! - poleciła Anna Kornelii, która wykonała rozkaz automatycznie jak kukła. - Tylko my troje! - odpędziła agenta, który chciał im towarzyszyć. - Pojedziesz pierwszy. Na galę! - rozkazała Liborowi.

Jechali w ciężkim, przytłaczającym milczeniu. Pomyślał, że nie powinna się tak pokazać, z rozmazanym okiem i oczkiem w pończosze. Chyba na razie się tym nie przejmowała.

- Pokaż to zdjęcie! - pani Huckelberry zwróciła się do Lukrecji żądającym tonem.

- Masz! Patrz! - Obie wwierciły się wzrokiem w ekran komórki.
- I co? On? - zapytała złośliwie Anna. - Głupio ci teraz?
- Nie wiem.
- Nie rozpoznajesz go, do cholery?!
- Niewyraźny obraz. To może być każdy.
- Ale jest Emil.

- Może jest - pani Huckelberry straciła zainteresowanie - jak na tysiącu innych fotografii, kłamczucho.

- A tyle się mówi o sercu matki - zadrwiła Lukrecja.
- Co ty o nim wiesz?
- Dawaj!

Na tle wymiany zdań obu pań Libor usłyszał w słuchawce ledwo słyszalny, świszczący szept Konia.

- Lepszej okazji nie będzie! Skręć za trzysta metrów w lewo, w równoległą drogę. Wzdłuż czekają nasi. Nie martw się. Podjedź trzy kilometry do motelu w lesie - urwał.

Kovacz wahał się. Dopadła go bandycka powinność. Sekunda, dwie. Wszystko mrzonki. Odkryli go. Nie ma innego wyjścia. Delikatnie poruszył kierownicą. Skierował samochód na boczną drogę. Pozostałe służbowe limuzyny podążyły za nim. Wyciszył łączące je z nimi głośniki. Lekko przyspieszył. Dyskusja kobiet była mu na rękę. W emocjach nawet nie rozglądały się dookoła, pochłonięte ustalaniem tożsamości postaci ze zdjęcia i wzajemnym obrażaniem. W rzucanych zgryźliwościach aż zgrzytało od tego, co niedawno między nimi pękło. Mógłby je teraz wywieźć na koniec świata. Po chwili we wstecznym lusterku nie widział już jadącej z tyłu kolumny. Domyślał się, co zrobili ludzie Konia. Na pewno przerzucili przez drogę przeszkodę, którą tamci musieli ominąć i na ułamek sekundy skręcić lub zwolnić. Niewykluczone, że podnieśli kolce na specjalnej taśmie tuż po tym, jak on przez nią przejechał. Nie było słyhać przy tym żadnego huk. Ciekawe, jak się ich pozbyli. No tak, w samochodach mieli siedzieć nasi, pewnie przejęli stery. Może nawet nie musieli strzelać, szybkie uśpienie środkiem odurzającym po wcześniejszym zabezpieczeniu własnych dróg oddechowych i zgrabne przejęcie kierownicy. Nie musieli przecież prowadzić dalej, wystarczyło się zatrzymać. Wszystko szło aż za gładko. Z daleka dostrzegł motel i stojące pod nim trzy identyczne, białe furgonetki. Krzątali się przy nich ludzie w strojach przypominających uniformy mechaników. Wiedział, co będzie dalej. Wyszarpia z jego samochodu Annę, oszołomią eterem, chloroformem lub paralizatorem. Co za różnica? Za chwilę będzie leżała na podłodze jednego z dostawczaków, z których każdy pojedzie w inną stronę. Stara zginie. Dalej nie jego sprawa.

Spotkają się zapewne u Docenta. Może na orgii.

Nagle poczuł na potylicy twardy, zimny kształt.

- Pomyliłeś drogę, John. Zawracaj. Natychmiast! - poleciła łagodnie szefowa, trzymając go na muszce. Jednocześnie lewą ręką wykonała zwinny, koci ruch, wyciągając broń z jego kabury.

- To jest skrót, proszę pani. Jedziemy równoległą trasą, bez korków - zachował zimną krew, udając przy okazji idiotę.

- Do przodu! - Traskalski po drugiej stronie słuchawki przestał się kryć.

Huckelberry podniosła sztywno głowę, raptownie czujna.

Lukrecja nie dała się podejść. Szczęk naciąganego cyngla przekonał go skuteczniej niż słowa. Zanim kula przebiła czaszkę, wykonał gwałtowny zwrot i wymijając zaskoczonych, klnących wściekle kolegów i dwie rządowe limuzyny z rozprutymi kołami, w których po kierowcach zostały tylko smużki krwi ciągnące się w kierunku lasu, ruszył pędem z powrotem. Koń wył z wściekłości. Rzucił dookoła komendy, metodyczne i wulgarne, jak mało co.

- Przejąć ich! Ruszajcie! Za żadną cenę nie mogą wrócić na główną drogę! - Tu posypały się przekleństwa tak okropne, że nawet Kornelia wyglądała, jakby chciała sobie zatkać uszy.

Jak na komendę, wyrwały się za nim samochody poukrywane nie wiadomo gdzie po bokach. Zza zarośli wystartowała zdezelowana furgonetka i uparcie usiadła im na ogonie. Najwyraźniej pod niepozorną pokrywą miała wmontowany gigantyczny silnik. Kovacz nie mógł w żaden sposób jej się pozbyć. Ze zdziwieniem we wstecznym lusterku rozpoznał za kierownicą ogorzałą twarz dawnego kumpla z baru, w którym grali niegdyś w karty, czekając na przerzut narkotyków. W dniu, kiedy wyciągnął go stamtąd Koń. Widocznie Docent przejął już wszystkich ludzi Krogulca. Śmiali się kiedyś i obgadywali barowe dziwki. Teraz jednak życzliwy wówczas koleś, manewrując sprytnie, wyciągnął karabin i oddał w ich kierunku serię przez opuszczoną boczną szybę.

- Skurwysyn! - zaklął Libor.

Strzały odbiły się od opancerzonej karoserii generalskiego samochodu, dawni koledzy nie dawali za wygraną, pościg szedł pełną parą. Libor prowadził pewnie, manewrował wśród kul, wykonywał nagłe zwroty, parł naprzód. Poszły wszystkie opony, poprzebijane na rozciągniętych na asfalcie kołcach, grzali na gołych felgach, walcząc o życie. Na chwilę stali się jedną brygadą, zjednoczoną przez groźbę otrzymania kulki w łeb. Dobrze wiedział, że jeżeli ich dopadną, Lukrecja przeżyje. On nie. Chyba że sam jeszcze do nich dołączy. Swoi. Którzy to teraz byli? Nie na darmo

szkolił się na kierowcę kolumny VIP-ów. Prowadził najlepsze auto i miał najwyższe umiejętności.

Kornelia Huckelberry stalowym głosem zażądała broni i minimalnie opuściła szybę. Zamierzała się ostrzeliwać, opanowana i zacięta wyglądała jak maszyna bojowa. Był pewien, że bez trudu trafiłaby w pędzących z zawrotną szybkością przeciwników i tym samym zwiększyła ich szanse. Anna tkwiła w bezruchu, celując w kierowcę. Wiedziała, że gdyby odpuściła, natychmiast oddałby je obie w ręce bandytów. Nie musiał do nich wracać, wystarczyłoby, gdyby się zatrzymał. Nie zdecydowała się jednak na przekazanie pistoletu Libora niedawnej przyjaciółce. Wszyscy tkwili w śmiertelnym klinczu, żwir i piach pryskały spod kół, gwałtowne zwroty kierownicy rzucały ich ostro na boki. Madame Huckelberry, widząc, że nie dostanie broni, zadowolila się małym nożem, który w pewnym momencie wyciągnęła z bocznego schowka w drzwiach. Gdy jednak doszła do wniosku, że i tak go nie użyje w celach obronnych, zaczęła kroić słodką bułkę z budyniem, którą zapewne wcześniej ukryła w barku. Jakby nigdy nic pogryzała ją ze smakiem. Nie miała wpływu na to, co się dzieje, więc straciła zainteresowanie sytuacją.

Stara jest bardziej walnięta, niż mówili - pomyślał z przerażeniem Libor.

Poobijani, ale bezpieczni, dotarli do wlotu głównej trasy. Tuż za nimi eksplodował niewielki ładunek wybuchowy. Odskoczył bagażnik, samochód niebezpiecznie zahaczył prawą połową o przydrożny rów.

- Jedź! - wycedziła przez zęby Anna. - Jedź!

- Cofnij się, gnoju! - darł się Traskalski zachrypniętym głosem.
- Już po tobie!

- Słyszałeś, co powiedziała pani generał? - upewniła się Kornelia, kończąc bułkę i przystawiając mu oblepiony okruszkami nóż do mocno pulsującej pod skórą szyjnej aorty.

Parł do przodu wzięty w dwa ognie przez zdesperowane kobiety, mając za sobą piekło rozpętane przez rozjuszonych mafiosów, przekonanych, że ich zdradził.

Jeszcze tylko ostatni, łagodniejszy skręt, łupnięcie podwozia o wystające kamienie ułożone wzdłuż podziurawionego starego asfaltu i limuzyna wróciła na równą, nowoczesną, główną trasę. Przy okazji prawie staranowała nadjeżdżający samochód, którego kierowca, mający pierwszeństwo, nie spodziewał się, że wtargnie mu przed maskę auto widmo, pogięte, podziurawione przez kule, z wyciekającymi płynami tworzącymi za nim tłustą smugę. Oburzony kierowca natychmiast połączył się z policją.

- Jedź! - powtarzała Lukrecja jak mantrę, a Kornelia czyściła serwetką nóż, uznając, że spełnił zadanie i nie jest potrzebny. Jego koniuszek wciąż trzymała skierowany w stronę Libora, ale nie atakowała - przecież był kierowcą i mogło się to dla wszystkich źle skończyć.

Przejechali główną bramę witani salutami przez zszokowanych wartowników, którzy natychmiast wszczęli alarm. Rzucili się za samochodem, który wyminął ich zgrabnie i ruszył w głąb placu. Pani Huckelberry, siedząca obok Libora, nie wyglądała na przestraszoną z powodu próby porwania, choć doskonale zdawała sobie sprawę z konsekwencji. Ponownie zagłębiła się we własnych, niewesołych myślach.

- Zaparkuj pod drzewem - prawie szczeknęła Anna suchym, władczym tonem. - Wsiadaj pierwszy!

Sięgnął do zamka pasa bezpieczeństwa i wtedy poczuł chłód lufy przesuwający się błyskawicznie do jego prawej skroni, a w samochodzie rozległ się cichy trzask. Zdezorientowana Kornelia zerknęła, czy to odskoczyła jego zapinka, ale nie. Słownik z rozpiętym od jej strony bokiem czaszki bez jednego jęku oparł głowę na kierownicy. Krótki strzał, dobry tłumik, spory kaliber.

- Potrzyj - Lukrecja wcisnęła pistolet w jej dłoń, a następnie zdjęła rękawiczkę.

Wsiadła z samochodu zgrabnie, z gracją.

- Do pierdła z nią! - poleciła dobiegającej ochronie. - Zastrzeliła kierowcę.

Zdumieni funkcjonariusze pochylili się i ujrzeni przez szybę siedzącą sztywno Kornelię z bronią w dłoni, a obok zakrwawionego i nieruchomego Johna Tylera.

- I zdejmijcie wszystkich z równoległej trasy mojego przejazdu i najbliższego motelu. Każdego w promieniu pięciu kilometrów. Personel hotelu, kierowców, przechodniów, grzybiarzy. Szybko! Właśnie teraz wam uciekają. Oddziały służb w milczeniu ruszyły w kierunku wskazanym przez szefową, a ona sama na chwiejnych nogach poszła do wyłożonej marmurem toalety, w której chciała się przygotować do występu. I zwymiotować.

- Ma pan dla mnie zapasowe rajstopy? - rzuciła w przelocie do wysokiego rangą oficera, weterana walk wojennych, który został, aby dotrzymać jej towarzystwa. - Jeśli nie, proszę gdzieś kupić i szybko mi przynieść. - Upokorzony mężczyzna wyglądał, jakby chciał do niej strzelić.

Pani Huckelberry, wciąż osłupiała, w eskorcie kilku funkcjonariuszy przesiadła się do wezwanej w trybie nagłym zakratowanej więziennej karetki, która natychmiast ruszyła do

najbliższego aresztu. Lukrecja nawet nie spojrzała w jej stronę. Nie poszukała zdezorientowanych, przepełnionych wyrzutem oczu spoglądających przez cienką drucianą siatkę. Niespodziewany manewr pani Huckelberry poruszyła ją bardziej, niż ciało Horna leżące z dziurą w plecach na podłodze wagonu. Wbrew temu, co wszyscy o niej myśleli, opłakała go, gdy nikt nie widział. Z Kornelią, uosabiającą tęsknotę za matką, dającą poczucie bezpieczeństwa i gwarancję stabilności, rozstawała się po raz pierwszy. Bez pożegnania.

Rozdział 9

SAMOTNOŚĆ

Strażniczka prowadziła ją z rezerwą, jaką znawcy siłowych obszarów życia zachowują wobec osób o ponadprzeciętnej tężyznie fizycznej. Sięgała pani Huckelberry do ramienia, nadrabiała więc miną i trzymanym w pogotowiu paralizatorem. Wolno było go używać jedynie w wyjątkowych przypadkach, a za taki uznano próbę pozbawienia życia szefowej Specjalnej Agencji Wywiadowczej. Ogromna kobieta nie sprawiała jednak wrażenia agresywnej. Weszła do celi otępiała, wysłuchiwała formułki o przysługujących jej prawach i informacji o tym, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin skontaktuje się z nią adwokat z urzędu, siadła na pierwszej wolnej pryczy i bez protestów pozwoliła zamknąć drzwi. Jedna z osadzonych podbiegła do nich i desperacko próbowała wydostać się przez malejącą szparę. Strażniczka uderzyła ją w czoło otwartą dłonią i pogroziła, sięgając po przytroczoną do pasa pałkę.

- Uspokój się wreszcie, do cholery! Bo nigdy stąd nie wyjdiesz!

- Dzieci, moje dzieci! - zawodziła kobieta. - Zostały same! Są małe!

- Mówiłam ci, że zajmie się nimi opieka społeczna. Lepiej niż ty! Są już w domu dziecka.

- W którym? - wołała kobieta. - Dokąd je wywieźliście? - darła się, waląc pięściami w stalową blachę. Resztki rozmazanego makijażu spłynęły jej aż na szyję, układając się w poprzecznych bruzdach i pogłębiając je. Wyglądała na starszą o piętnaście lat, niż była w rzeczywistości. Musiała mieć około trzydziestki, ale kusa spódnica i podarte kabaretki, choć miały zrobić z niej lolitkę, opięte na zbyt okrągłych kształtach, czyniły z niej smutnośmiesznego klauna.

- Niczego złego nie zrobiłam! Wypuście mnie! Bandyci!

Skurwysyny! - Co jakiś czas podbiegała do drzwi, waliła w nie zdartymi do krwi kłykciami, kopała zmiażdżonymi noskami szpilek. Później zanosila się płaczem i na przemian wyrywała kosmyki włosów w kolorze platynowy blond.

Następna aresztowana, młoda, chuda, z czarnymi włosami wystrzyżonymi po męsku na krótkiego języka widocznie przybyła tu niedawno. Miała tatuaże z maszkaronami i trupimi czaszkami. Widać je było spod rękawów więziennego kombinezonu, oplatały anorektyczne łydki i wypływały zza kołnierzyka na długą, szczupłą, klasyczną łabędzią szyję, szpecąc ją niemiłosiernie. Bardzo błada twarz i nienaturalnie rozszerzone źrenice przez nieustaloną chemiczną substancję, która jeszcze nie wywietrzała z organizmu, dopełniały całości. Od pierwszej chwili spoglądała na Kornelię zaczepnie, choć wyglądała przy niej jak mały, wyleniały kurczaczek. Widocznie zwiódła ją apatia kobiety, a i solidna dawka narkotyków nie ułatwiała trzeźwego osądu sytuacji.

Pani Huckelberry tymczasem zegnała się z życiem. Miejsce, w którym się znalazła, wcale jej nie przygnębiało. Dramat, jaki rozegrał się między nią a wieloletnią przyjaciółką, osobą najbliższą po synu, zbladł równie szybko i gwałtownie, jak rozdarł umysł, pozostawiając ziejącą wyrwę, która nie miała szansy się zrosnąć. Lata wiary, kosmicznego wysiłku, starań, na które nie stać byłoby chyba nikogo, odeszły w dal, straciły znaczenie w ciągu kilku godzin. Modlitwy do Chrystusa, Allacha, Buddy, przekupywanie i szantażowanie wszystkich świętych, powoływanie się na zmarłych z rodziny własnej i nieszczęsnego ojca Emila, bo nie wykluczała, że w poprzednich pokoleniach mógł być w niej ktoś porządny, kto z zaświatów zatroszczy się o praprawnuka, wydały się śmiesznej jałowe. Potężne jak na kobietę mięśnie, zwiotczałe raptownie pod niemodną suknią, nie posłużą już do niczego. Nie wydobędą syna z łap przestępców. Nie obiją mord jego krzywdzicieli. Tyle lat, dni i godzin z jednym pragnieniem. Minut zbliżających ją do wzięcia go w ramiona. Sekund wątpliwości, odganianych jak natrętne muchy. Wszystko zawiodło. Emil umarł. Ona umarła. To koniec.

Mała zbliżyła się do niej szerokim, męskim, agresywnym krokiem, niczym kapitan sunący po chyboczącej się na falach łodzi. Trudno to było zaprezentować na dwóch metrach kwadratowych wolnej przestrzeni, ale się starała.

- Mówi się dzień dobry! - zaczęła.

Starsza kobieta nie dosłyszała. O dwudziestej drugiej zgaśnie światło. Przegryzienie żył nie zajmie dużo czasu, zawsze miała mocne zęby. Krew, nienapędzana na przykład alkoholem i gorącą kąpielą nie wypływa jednak z człowieka szybko. Jest bardzo

prawdopodobne, że ktoś zauważy, poślizgnie się w kałuży, wstając do obskurnej toalety, albo poczuje słodkawy, charakterystyczny zapach. Wszyscy tutaj dobrze go znają, rozpoznają od razu. Żadnego ratowania, koniec zabawy. Zatem trzeba inaczej. Połknięcie języka, nie zawsze skuteczne i o tyle niedyskretne, że podobno człowiek wydaje przy tym charakterystyczne dźwięki. Charcze, pluje, kurczę, ależ jesteśmy biologiczni! A może oderwałaby wędzidełko? Na szczęście nie wpadli na pomysł, żeby obciąć jej paznokcie. Były szponiaste, twarde prawie jak zęby. A więc tak czy siak? A może jeszcze inaczej? Jedno jest pewne - jutra nie będzie.

- Mówi się dzień dobry! Nie nauczyli cię? - Mała stanęła przed nią w rozkroku.

- Nie dałam im kaszki, bo jeszcze spały! Wysłałam tylko na chwilę, a one zostały bez śniadania! To są maluchy! - darła się platynowa.

- Ale się zapuściłaś! - Młoda najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że choć z innych powodów, nie wygląda wcale lepiej.

Kornelia, pogrążona w wewnętrznym świecie, mierzyła w głowie długość języka i upewniała się, czy na pewno wypełni szczelnie gardło. Wychodziło na to, że nie. Trzeba sprawić, by język spuchł. Niestety jako okaz witalności nigdy nie była na nic uczulona. Od czego może spuchnąć język zdrowej osoby? Uderzenia? Jakiego? W które miejsce? Ile razy? Czy wystarczy przygryzienie lub ściśnięcie powodujące pęknięcie naczyń krwionośnych i wewnętrzne wylewy w jego obrębie? Aż się uśmiechnęła. Na to miała siłę, za trzech, dziesięciu... Zmiażdżenie nawet stu języków nie stanowiło problemu dla kowalskich dłoni, na które nie pasował żaden pierścionek. Może dlatego nigdy się nie zaręczyła.

- Hello! - Młoda machała ręką przed niewidzącymi oczami olbrzymki. - Jaka brzydka baba! Na tym łóżku śpię dziś ja! Spadaj na krzeselko! Tam w rogu! Won! - Uderzyła ją w twarz.

Prostytutka przerwała zawroźnienie i spojrzała z zainteresowaniem. Cios się powtórzył, bez reakcji. To było nudne.

- Gdzie moje dzieci?! - zawyła znowu. - Bandydzi, nie policja! One się boją!

- Wstawaj! - zażądała mała. - I ustąp mi miejsca. - Policzek raz za razem. Aż zapiekła drobna dłoń. Huckelberry nie poczuła.

- Zmiataj na podłogę! - Ach, jak pięknie smakuje czyjaś słabość w sytuacji beznadziejnej. Gdy samemu leży się na glebie. Jaka to wielka wartość, gdy okazuje się, że znajdujemy w biedzie kogoś, kto leży metr pod nią! A gdy jeszcze, choć jest duży, boi się - bezcenne!

- No już! Ja tu dzisiaj śpię! - Ciosy przeniosły się niżej, na piersi i brzuch. Pięści, z wytatuowanym „Kocham mamę”, waliły w żołądek, potem w spojenie łonowe.

Kornelia ocknęła się ze zdziwieniem. W końcu poczuła ból. Nikt nie lubi, gdy komar gryzie zbyt natrętnie. Przerwała układanie planu.

- Zauważyłaś mnie, krowo? - ucieszyła się mała.

- Tak - odpowiedziała pani Huckelberry. - Przeszkadzasz mi - poinformowała spokojnie i podniosła agresorkę za głowę. Kilka razy obróciła w obie strony. Chude ręce bezładnie próbowały chwytać w powietrzu potężne, muskularne przedramiona Kornelii, rozpaczliwie usiłując się wydostać z kleszczy. Drobną szyjką trzeszczała, górne kręgi ostatkiem sił broniły się przed skręceniem i w perspektywie co najmniej wózkiem inwalidzkim.

- Widzisz jak dobrze, że jesteś szczupła? - tłumaczyła spokojnie Kornelia wiszącemu ciałku przyczepionemu do wystrzyżonej głowy. Emilce też powtarzałam zawsze, że nie należy się nadmiernie objadać. Zwłaszcza przed snem. Gdybyś ważyła więcej, gdy tak potrząsam, pękłby ci kręgosłup, rdzeń się wylał i kaput. Tak to działa - wyjaśniała podduszonym, zmętniałym, utkwionym w niej oczom dziewczyny.

Upuściła ją nagle, oszołomioną, odpełzającą w niewiadomym kierunku po podłodze.

- Ratunku! - dobiegł ją rozdzierający wrzask. - Zabierzcie stąd tego potwora! Ja muszę przeżyć! Ja mam dzieci!

O dziwo, strażniczka przybiegła błyskawicznie, zadając kłam opowieściom o nocnej znieczulicy w więzieniach. Tym razem w asyście już pięciu mundurowych z wycelowanymi paralizatorami przeniesiono Kornelię, grzeczną, cichą i spolegliwą, do pojedynczej celi. Niektórzy nie byli zadowoleni, że obudzono ich bez powodu w środku nocy. W nowym miejscu nie zgaszono światła. Za wizjerem do rana stał strażnik, klnący pod nosem, ale wiedzący, że musi obserwować. Ta babka była zamieszana w grubszą sprawę... Prycza w tej celi była jeszcze węższa, godziny do rana umykały. A więc jednak pozostał jeszcze jeden dzień tortur. Niezbadane są wyroki boże.

Ach, dlaczego wszyscy, którzy doskonale się na tym znali, nie dostrzegali symptomów rozwijającej się choroby? Czemu zlekceważyli rozmowy ze zmarłymi, dziwaczne zachowania, płonne nadzieje urągające zdrowemu rozsądkowi? Z sympatii dla Kornelii

czy ze strachu przed nią? Może z powodu spodziewanych korzyści? Albo z nadziei, że jest już stara i niedługo i tak umrze, więc nie ma sensu wszczynać rabanu? Jak w przypadku każdego drastycznego przestępstwa służba więzienna zleciła standardowe badania. Lekarz zajmie się penitencjariuszką za trzy dni, wtedy ma pierwszy wolny termin.

Byłe do wieczora, ostatniego wieczora - myślała tymczasem Kornelia. Jako szczególnie niebezpieczną, nie wypuszczono jej z pozostałymi na spacer, a poza procedurami „zapomniano” dostarczyć obiad.

- Odchudzisz się, gruba babo - zażartowała strażniczka, zabawiając się własną błyskotliwością. Sama miała pokaźną nadwagę. Wiadomo, paskudna praca, zajadanie stresu, ale nie wyspała się w nocy przez Huckelberry, więc miała prawo. Niech tamta wie.

Starsza kobieta nadal nie sprawiała wrażenia głodnej ani agresywnej. Chyba już nie słyszała. I nie widziała. Śmierć siedziała spokojnie w kącie celi, podobnie jak ona. Mierzyły się wzrokiem i jasne było, że za chwilę zaczną rozmawiać. Postać miała niebieską sukienkę, w ulubionym kolorze pani Huckelberry, za długi, ostry nos, ale poza tym prezentowała się całkiem ładnie. Głupio tylko, że zaprzeczała, iż wie, gdzie jest Emil. Kornelię to denerwowało. Już i tak wszystko jedno, po co te pozory. Szła do nieba, by go ujrzeć.

- Kornelia Huckelberry! - wrzasnęła strażniczka. - Do pokoju widzeń!

Kobieta nie ruszyła się. Wysportowane nogi okazały się za ciężkie, waga dała znać o sobie. Brak chęci do życia również.

- Ogłuchłaś? Masz gościa! Dziesięć minut widzenia!

- Mnie nie wolno mieć gości - zauważyła przytomnie pani Huckelberry. - Nie na tym etapie procesu - dodała prześmiewczo.

- Tego wolno! - ucięła strażniczka.

Stopy prawie jej nie niosły. Myśli nie nadążały za powolnym ruchem. Minuty, z przydzielonej puli dziesięciu, uciekały leniwie.

Weszła do sali rozmów, pustej o tej porze, niechętnie podniosła słuchawkę, wpatrując się w lekko matową szybę. Brudną od lepkich pocałunków kochających się osób siłą posadzonych z dwóch jej stron, rozdzielonych bezlitosną, cienką, ale mocną, sztuczną przesłoną. Niejeden pragnąłby ją rozwalić, ale nikt tego nie zrobił. Kornelia z trudem go dojrzała. Wysokiego, chudego, postarzałego przedwcześnie, ze szpakowatymi przerzedzonymi włosami i paskudną, źle leczoną blizną na policzku. Nie usiadł, może nie podstawiono krzesła, a może nie pozwoliły mu na to emocje.

- Cześć mamó! - powiedział Emil. - Przyniosłem ci paczkę.

Oboje zamarli na długą, trudną, pełną niedowierzania chwilę, a potem ona kopnęła w szybę z całą mocą automatycznych ruchów, wyćwiczonych cierpliwie podczas nauki wschodnich sztuk walki. Z siłą rozbijającą stos cegieł. Zrobiła to z impetem stu dwudziestu kilogramów żywej wagi i mocą do żywych trzewi stęsknionej przez lata matczynej miłości. Osłona pękła, lecz nie rozsypała się. Była kuloodporna.

Potężne serce, nadwątlone tęsknotą i osłabione wieloletnimi morderczymi ćwiczeniami, przerastającymi wydolność i możliwości fizyczne kobiety w jej wieku, nie wytrzymało napięcia. Pani Huckelberry wyciągnęła przed siebie dłoń, starając się jak przez mgłę dotknąć twarzy syna, palce ześliznęły się po szybie, a ona z ogromnym rumorem upadła na posadzkę. Strażniczka podbiegła w podskokach. Przestraszony Emil nie wiedział, co ze sobą począć.

- Nic ci nie jest, mammo? - zapytał. - Ja niczego nie zrobiłem - zapewniał strażniczkę wzywającą przez krótkofalówkę dyżurnego lekarza.

Kornelię przewieźli na oddział intensywnej opieki medycznej szpitala więziennego. W drodze wyjątku pozwolili, by towarzyszył jej syn. Niechętnie i niezdarnie usiłował pogłaskać ją po ramieniu, idąc korytarzem przy mobilnym łóżku pchanym przez barczystego pielęgniarza. Nie wiadomo jakim cudem, mimo że nieprzytomna, schwyciła jego rękę w żelazne kleszcze i nie chciała wypuścić, ani kiedy przenosili ją na drugie szpitalne łóżko, ani gdy podłączali do migającej wokół aparatury. Emil czuł się z tym niezręcznie, wiercił się i kręcił, nie mógł znaleźć sobie miejsca na krzeselku stojącym przy łóżku. Odzwyczyił się od niej. Ale lekarz polecił stanowczo:

- Niech pan z nią zostanie!

- Ale po co? Może przeszkadzam. Przyjdę później.

Zgasił go wzrokiem.

- Czy moja matka umiera?

Brak odpowiedzi.

- Panie doktorze?

- Niech pan lepiej poczeka i przekona się, czy będzie jakieś później.

Kornelia oddychała dzięki respiratorowi. Z nosa wystawała jej rurka. Miała przyczepione kolorowe elektrody na splecionych, ogumowanych, czerwonych i niebieskich przewodach. Na lewym przegubie widać było przyklejony plastrem wielki wacik podbiegły różowawym osoczem. Wykresy na monitorach wciąż podawały inne wartości. Zmęczone serce ledwo biło, podrywając się i gasnąc nierówno, bez ładu i składu.

- Mammo, czy ty masz zawał? - Emil patrzył na szarobladałą twarz,

na posiniałe paznokcie, które zastygły jak przyspawane do sękatych palców oplatających jego dłoń. Czuł wielkie wzruszenie, ale lata rozłąki zrobiły swoje. Widział na łóżku nieprzytomną, starą kobietę, obcą i daleką, inaczej ją zapamiętał. Myślał, że lepiej sobie poradzi. Była taka silna. Co się z nią stało?

Chciało mu się płakać. I siusiu, bardzo.

- Puść mnie mamo, muszę pójść do toalety. Zaraz wracam. -

Uścisk nie zelżał. - Muszę na chwilę odejść - zwrócił się do pielęgniarki, która wtoczyła stojak z kroplówką. - Niech mi pani pomoże się wyswobodzić.

Dziewczyna zerknęła na przyrządy.

- Niech pan teraz nie wychodzi. Bo jeszcze pan przegapi.

- Co?

Szybko połączyła cienką rurkę z wenflonem tkwiącym w żyłę kobiety, upewniła się, że krople sączą się w odpowiednim tempie i wyszła.

- Halo, jest tu jakiś personel? Mamo, nie wygłupiaj się, puszczaj mnie, zaraz wracam! - Na siłę odgiął zgrabiałe palce, prawie wyłamując je ze stawów. W toalecie przemył twarz zimną wodą, był wykończony. Ledwo stał na nogach. Dygotał. Gdy po kilku minutach wrócił na OIOM, nad ciałem matki kłębił się tłumek postaci w białych kitlach.

- *Fibrillatio ventriculorum* - padła niezrozumiała diagnoza - migotanie komór! Defibrylator, natychmiast!

Medycy uwijali się jak w ukropie. Niczym w nierealnym filmie oglądał jej rozerwaną na piersiach koszulę, słyszał głos lekarza, krzyzącego:

- Teraz!

Ogromne ciało podskoczyło. Dopiero w tym momencie zerknął na monitor i biegnące przez niego dwie równoległe linie proste.

- Wal! - zakomenderował lekarz. - Kolejny wstrząs.

- Na cztery, jeszcze raz! Jeden, dwa, trzy, cztery! - Coś piknęło. Monitor zamigotał.

Emil roztrącił białe postacie i z krzykiem złapał matkę za rękę, na siłę oplatał jej palce wokół swoich, nie chciały teraz się zginać, ustąpić, nie podjęła współpracy.

- Mamo! - płakał. - Przepraszam! Wszystko nadrobimy! Będziemy zawsze razem, przysięgam. Tylko obudź się, proszę. Wybacz mi! Byłem taki głupi, wszystko jeszcze da się odbudować, mamo!

- Wróciła! - oznajmił doktor, ocierając z ulgą pot z czoła. - Mamy ją!

Uśmiechnięte pielęgniarki starały się odsunąć Emila, który

przywarł do łóżka matki, utrudniając im pracę.

- Już dobrze - powiedziała najstarsza z nich. - Niech się pan uspokoi. Proszę zaczekać na korytarzu.

- O nie! Zostanę przy niej.

Twarz Kornelii, choć nadal sina, wypogodziła się.

Doktor ordynował lekarstwa, podawał niezrozumiałe nazwy i określał dawki. Emil stał obok, całkiem skołowany.

- Tylko na chwilę. - Pielęgniarka z łagodną perswazją dotknęła ramienia Emila. Musimy ją przebrać. Jest pan takim dobrym synem - szepnęła serdecznie. - Jeszcze będziecie mieli swoje „później”.

Rozdział 10

KORYTARZ DO RAJU

Na gali zebrał się tłum oficjalnych gości i nieproszonych gapiów. Wytypowanych do zaszczytów uprzedzono wcześniej i dokładnie wyjaśniono, kiedy mogą zabrać głos. Udawali jednak, że to wielka niespodzianka i absolutnie spontanicznie wygłaszają mowy dziękczynne, wykute uprzednio na blachę, napisane przez spin doktorów. Pierwsze rzędy zajęli prominenci. Gubernator, od szesnastu lat zapewniający, że to jego ostatnia kadencja. Hrabina Josephina Delphina di Orsini, stuletnia starowina, obwieszona kosztownościami ważącymi więcej niż ona sama łącznie z nowoczesnym wózkiem inwalidzkim. Zaproszono ją na trybunę honorową, gdyż jej drugi mąż, generał, dowodził kilkoma bitwami w nieskutecznie podbijanym przez ojczyznę wrogim, prymitywnym, godnym pogardy kraju. Natomiast czwarty z małżonków szczyił się stopniem admirała na statku nieszczęśliwie zatopionym przez zbłąkaną torpedę podczas ćwiczeń wojskowych u wybrzeży Marsylii. Nie wiedzieć czemu zgromadzili się na trybunie również przewodniczący stowarzyszeń strzeleckich, ochotniczych legionów patriotycznych, zwolenników ochrony przyrody, myśliwych, przedstawiciele poszczególnych ziem i okręgów, miłośników twórczości sławnych malarzy i pisarzy tak zwanego głównego nurtu, bractw rycerskich, fanów topowych zespołów muzycznych, kół gospodyń wiejskich, hufców ochotniczych straży pożarnych, służb sanitarnych, filatelistów, wegan, federacji niszowych dyscyplin sportowych, hodowców gołębi i rybek akwariowych. Imprezę, choć z nazwy branżową, charakteryzowała pełna otwartość.

W zgiełku, ogólnej nieuwadze i rozproszeniu rozpoczęły się przemówienia, tradycyjnie wzniosłe, przydługie i zbyt nudne, by rodziny z dziećmi mogły ich wysłuchać w skupieniu. Zwłaszcza

najmłodszy zainteresowani byli głównie kolorowymi balonami i rozstawionymi stoiskami z zabawkami i łakociami. Obserwowali te atrakcje, zamiast zapamiętywać wskazywanych przez rodziców niskich i grubych burmistrzów, naczelników urzędów, komendantów posterunków i innych wpływowych, równie nieciekawych, ale czołowych przedstawicieli ważnych obszarów życia społecznego, z którymi znajomość może się kiedyś przydać obecnym czterolatkom.

Główny punkt uroczystości stanowiły nominacje i awanse oficerskie, a także wręczenie odznaczeń szczególnie zasłużonym. Uformowała się długa kolejka. Znużeni dziennikarze pstrykali standardowe fotki do jutrzejszych relacji typu „ranking najmłodszych oficerów”, „lista odznaczonych w naszym regionie”, „rekordowa liczba nominacji na stopień podpułkownika”. Czymś trzeba zapełnić szpalty, wierszówki same się nie wklepią.

Jedno z czołowych miejsc zajmował godnie generał Peter Twigg, a minister spraw wewnętrznych, podziwiając go od chłopięcych lat, przygotował gratulacje zwięzłe, ale wymowne, serdeczne i przepelnione wdzięcznością za służbę. Osobiście wykreślił niepotrzebne słowa i puste ozdobniki, dorzucając od siebie kilka sformułowań ku niezadowoleniu szefa biura prasowego. Wymienił długą listę nazwisk ważnych osób polecających, zaświadczających i wychodzących do kapituły z inicjatywą, aby sir Petera Twigga odznaczyć najwyższym państwowym orderem przyznawanym za zasługi w czasie pokoju. Najbardziej zabiegała o to zafascynowana i wzorująca się na nim następczyni, obecna szefowa Specjalnej Agencji Wywiadowczej... która właśnie trzęsła się w duchu ze śmiechu. Było to jej jedyne pocieszenie w tym koszmarnym dniu. Satysfakcja, jakiej nie odpuściła za cenę złamania wszystkich procedur dotyczących bezpieczeństwa w obliczu zamachu na własne życie. Za nic nie mogła pozwolić, by generał triumfował, choć po niedawnych zdarzeniach i to nagle straciło nieco na znaczeniu. Twigg z kamienną twarzą znosił kolejne niezręczności. Jakże musiał palić go metal orderu, jak głęboko drażnić pochwały. Dziwne, że w ogóle się zjawiał. Była pewna, że wymówi się stanem zdrowia. Nie było tajemnicą, że przeszedł atak apopleksji.

Z ironią obserwowała scenę, w której dawny dowódca mocno uściśnął dłoń ministra i wypiął dumnie pierś, pozwalając przypiąć symboliczną wstążeczkę z medalem. Następnie przejął mikrofon, ścisnął go zbiegającymi palcami, stanął na baczność i teatralnym gestem oderwał order od munduru.

- Panie ministrze - zaczął gromkim głosem przywykłym do wystąpień w szerokich gremiach - dziękuję za zaszczyt. Ta chwila

byłaby uhonorowaniem mojej kariery i przykładem dla młodych. Dziękuję wszystkim, którzy zawsze życzyli mi dobrze i swoimi nazwiskami poparli przyznanie mi najwyższego odznaczenia państwowego. Wszystkim, którzy uznali, że na nie zasługuję, wyrażam wdzięczność i melduję gotowość do dalszej służby i poświęceń dla ojczyzny, aż do ostatniego tchnienia.

Rozległy się pojedyncze brawa. Lukrecji nie podobał się patos, niepodobny do generała, znanego raczej z krótkich, błyskotliwych przemówień, z których lapidarne i nad wyraz trafne bon moty cytowano później przez wiele miesięcy w kuluarach urzędniczych i wojskowych gabinetów. Jego gest wydawał się co najmniej tandetny i delikatnie zaczęła w jej głowie pulsować czerwona lampka. Zasłoniła ją myślą, że jednak Twigg zachorował ciężiej niż przypuszczano i oto daje publiczną próbkę niedomagań umysłowych wywołanych przebytym udarem. Skurczybyk i nieudacznik. Psuje jej smak zwycięstwa.

- Jest jedna rzecz, która kładzie się głębokim cieniem na dzisiejszej uroczystości, podniosłej i ważnej dla wszystkich zebranych. - ciągnął generał. - Sprawa, która uniemożliwia mi przyjęcie zaszczytu. Oficerski honor - panie ministrze - nakazuje mi odmowę. - Zwrócił się do zaskoczonego Francuza i wyciągnął w jego stronę rękę z odznaczeniem. - Proszę państwa - zawiesił głos, robiąc dłuższą pauzę - mówię to z ogromnym bólem i rozczarowaniem, ale nie mogę przyjąć niczego z polecenia szefowej Specjalnej Agencji Wywiadowczej. Nie godzę się na to, aby u schyłku życia świadczyła na moją korzyść osoba uwikłana w mafijne zależności, zdominowana przez największych przestępców w kraju - zawiesił głos. - Panie ministrze, wstrząśnięty i oburzony, z bólem zwracam panu order!

Zapadła cisza. Wszyscy się uspokoili, a tych, którzy nie dosłyszeli i próbowali gadać lub się dopytywać, szybko uciszyli sąsiedzi.

Minister podszedł do mikrofonu. Był blady i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

- Co za niespodziewana sytuacja, panie generale. Zdaje pan sobie sprawę z wagi tych oskarżeń i publicznego ich przedstawienia? Czy dysponuje pan dowodami? - pytał kompletnie zaskoczony.

- Oto one. - Twigg podał mu elegancką małą teczkę z odpisem weksla i protokołów z przesłuchań.

Drugą, pokaźną, wypchaną dziesiątkami kopii przygotował dla dziennikarzy. Obszarpane oryginały, znalezione u Wasylisy, zostawił w bezpiecznym miejscu, dla sądu. Żurnaliści rzucili się w jego

stronę.

Lukrecja nie spanikowała. Zastygła wewnątrz w sople lodu. Zerknęła porozumiewawczo na ministra. Niech da jej czas. Dziesięć minut, kwadrans, tyle wystarczy, niczego więcej od niego nie chce. Oto próba dla nas, Mathieu!

Minister odwrócił głowę, nie patrzył w jej stronę. Przeklęty Tao, nadal szkodzi z za grobu! Nie wystarczyło go zabić. A Twigg? Jego powinna wykończyć już dawno. Niewykorzystane okazje się mszczą. Można było przeciw niej zgromadzić tak wiele innych papierów, że prawie zapomniała o wekslu. Tao nigdy nie robił niczego za darmo, mimo że wiedział, iż nie będzie z niego finansowego pożytku, bo Anna nigdy nie dysponowała tak wielkimi pieniędzmi. Zmieniło się to dopiero teraz, gdy prawie bez ograniczeń może rozporządzać funduszami państwowymi, a tego przecież nie mógł przewidzieć. Lubił trzymać wszystkich w garści, więc zażądał, aby podpisała „na wszelki wypadek”, jak mówił, bo potem nie będzie kiedy. Był to jeden z warunków, jaki postawił, aby lata temu skłonić senatora Alberta McKenzie’ego do fikcyjnego ożenku. Całą intrygę uknuł Peter Twigg, zamierzając dobrać się do Tao Guna właśnie, a ona przystała na nią, chcąc przy tym ogniu upiec swoją pieczeń. Obrócić ostrze spisku przeciw generałowi. Pozbyć się przekleństwa i zarazem miłości życia, pułkownika Philipa Sandersa. Podpisała bez większych oporów, przecież *padrino* miał już i tak długo nie żyć. Kontakt z nim był jej niezbędny, by zrealizować plan, więc drobny koszt w postaci szantażu na trzy miliony dolarów nie mógł być przeszkodą... Nawet nie pamięta dokładnie kwoty, nie o nią chodziło. Teraz jednak tę sumę przez wszystkie przypadki odmieniają redaktorzy różnych mediów. Czołówki gazet zmieniają właśnie tytuły, a transmisje telewizyjne w krajowych i lokalnych stacjach przecięły czerwone paski z sensacyjną wiadomością. Dokumentów rozpraw nie wykradła, dostała je od Phila Sandersa i podrzuciła gangsterowi w bonusie. Musiała jakoś zacząć z nim rozmowę. I tak wszyscy je znali. Hieny ostrzą teraz zęby, zaraz ją rozszarpią. Lub je na niej połamią. Niewiarygodne, żeby wpaść na takiej głupocie.

Skinęła na pierwszego z brzegu kierowcę, poleciła, żeby odpalił silnik. W nieco oszołomionej asyście skierowała się w stronę limuzyny. Z przeciwka szli w jej kierunku policjanci. Poszukała wzrokiem Francuza.

Daj mi do cholery pięć minut, zaraz odjadę. Tyle mi wystarczy. Przecież to pomówienie, plotka, będziemy ją długo wyjaśniać, zagmatwamy sprawę, odeprzemy zarzuty, co jest z tobą, Mathieu! - wołała do niego w myślach.

Odwrócił się plecami, niby zajęty ożywioną dyskusją ze współpracownikami.

- Pani generał pozwoli z nami - zwrócił się do niej oficer policji.
- Nie róbmym przedstawień. - dodał, widząc jej wahanie. Opór nie miał sensu.

Bohater dnia wrócił do domu w znakomitym humorze. Dziennikarze wprost wyszarpywali udostępnione materiały, o mało nie rwąc w strzepy kopii weksla. Udzielił kilku krótkich wypowiedzi sygnalizujących ponadczasowy skandal. Jako wytrawny gracz podgrzewanie atmosfery i brylowanie w mediach zostawił na później. Rozłożył to na etapy. Będzie dawkował napięcie i smakował doznania powoli. Delektował się postępującym upadkiem następczyni. Odebrał gratulacje od nadgorliwych i ostrzeżenia od ostrożnych, że jeśli nie ma wystarczających dowodów, to za rzucenie podobnych kalumnii niechybnie pójdzie siedzieć. Nie zmartwił się tym. Zmierzył się z nieproporcjonalną do rozmiarów afery niechęcią i dziwną oschłością ministra spraw wewnętrznych. Na tyle go to zaciekało, że postanowił później dowiedzieć się czegoś więcej. Minister powinien być mu wdzięczny, a zareagował wręcz nieukrywaną wściekłością. Francuzi... W tłumie wypatrzył kątem oka Lukrecję zmierzającą w otoczeniu kilku policjantów w cywilu do więziennej karetki. Pomyślał, że to ciekawe, skąd się tu nagle wzięli w takich strojach, podczas gdy wszyscy ich koledzy przeżyli dumnie muskuły w galowych mundurach. Z pewnym zawodem stwierdził, że postawa Litewski nie wyraża rezygnacji. Nic nie szkodzi, wkrótce się złamie! Wreszcie zmęczony, ale szczęśliwy, odmłodzony o parę lat, z buzującą w żyłach adrenaliną, wsiadł za kierownicę luksusowego wozu, obiecując wcześniej stawić się bezwzględnie na każde wezwanie prokuratury, by złożyć wyczerpujące wyjaśnienia... Wracał do domu, pogwizdując. Satysfakcja rozpierała mu piersi. Dawno nie czuł się tak dobrze. Wystukiwał sygnetem o ramę kierownicy pogodną melodyjkę sączącą się z radia.

Masz, suko! - myślał, nie mogąc się doczekać, kiedy otworzy butelkę najlepszego szampana, jedną z nielicznych, których nie wytlukł w ataku szału po tym, jak Anna Litewski ośmieszyła go i podstępem pozbawiła stanowiska. Szkoda, że nie ma z kim się napić. Może zawoła do towarzystwa panią Smith, niech się kobieta ucieszy. Przynajmniej będzie z nim świętowała ze szczerego serca.

Kiedy wjeżdżał przez bramę, obok przemknął cień.

Zaferowany, nie był pewny, czy do ogrodu ktoś się nie dostał. Rozejrzał się uważnie, lecz niczego nie zauważył. Na wszelki wypadek wysiadł z samochodu z odbezpieczoną bronią. W mroku za starym klonem dostrzegł czającą się postać. W tym momencie wysunęła się zza osłony i nagle stanął twarzą w twarz z dawnym ogrodnikiem.

- Pan Smith - wzdrygnął się nieprzyjemnie - przyszedł pan po żonę?

Starszy, niewysoki, żylasty mężczyzna nie odpowiedział.

- To dobrze - kontynuował generał - nakłaniałem panią Smith, żebyście państwo ze sobą porozmawiali. Zdaje się, że macie problemy.

- Pan jest naszym problemem. Ukradł mi ją pan! - starzec prawie płakał. - Przekłety złodziej żon! Ja już jej nie chcę. Niech pan ją sobie weźmie.

Chorobliwa zazdrość ogrodnika o swą otyłą, nie pierwszej młodości małżonkę, doprowadziła kiedyś niemalże do śmierci generała. Paraliż po udarze nieubłagane ogarniał jego ciało, a ten dureń zwlekał z wezwaniem pogotowia, czekając na śmierć pryncypała. Niewiele brakowało, a pewnie by się doczekał, ale tchórzostwo wzięło górę i jednak pękł. Na szczęście. Po tamtym incydencie Twigg zwolnił małżeństwo z pracy. Do byłego robotnika odnosił się teraz z wrogą niecierpliwością.

- Panie Smith, niech pan powściągnie niedorzeczne podejrzenia. Proszę zabrać żonę i natychmiast opuścić mój dom. Sprawy małżeńskie proszę załatwiać między sobą i nie próbować mnie w to wciągać. Nie pracujecie już tutaj, mam to panu przypomnieć? Trudno się państwa pozbyć, jak nie drzwiami, wchodzicie oknem. Pana żona też nie rozumie, że nie życzę jej sobie tutaj. Nie chcę was więcej widzieć, jasne? - Dość certolonia się z państwem Smith. Zwłaszcza ten zdradliwy prymityw nie będzie mu psuł tak udanego wieczoru.

- Moja małżonka nie rozumie?

- Nie, widocznie to u was rodzinne. Jednak stanowicie dobraną parę. Żegnam! - Generał wyminął stojącego z zakłopotaną miną ogrodnika i ruszył w stronę drzwi wejściowych. Nieproszonego gościa opuściła werwa, nie ruszał się, przygaszony, z zaokrąglonymi plecami i najwyraźniej nie wiedział, co robić.

Mięczak - pomyślał Twigg. - Własna żona go nie szanuje i ma rację. Nagle poczuł w boku rozdzierający ból. Zgiął się wpół i z wrażenia upadł na kolana. Próbował docisnąć uszkodzoną tętnicę, jednak błyskawicznie tracił siły.

- Ja też żegnam - odpowiedział Smith, przyglądając się z trwogą

krwi tryskającej jasnym strumieniem wokół dawnego chlebowdawcy. Sam nie dowierzał w to, co zrobił. A potem wyrzucił nóż w krzaki i uciekł.

Przez okno w kuchni Pani Smith dojrzała padającego generała. Wybiegła z rozziewionymi krzykami, przytuliła jego głowę, krew pryskała wszędzie, nie mogła jednocześnie jej tamować i dzwonić po karetkę, musiałaby zresztą wtedy przestać trzymać ranę i wrócić do domu po telefon. Nie pamiętała, gdzie go odłożyła, ręce trzęsły się jej tak, że nie byłaby w stanie trafić w klamkę.

- Ratunku! - krzyczała wniebogłosy, najpierw widząc jeszcze plecy oddalającego się męża, później już tylko do pustki za wysokim murem okalającym posesję. Życie uciekało szybko. Peter Twigg zemdłał, krew buchała dalej, jak z dziurawego sita, jasna, spieniona, w regularnych pulsacjach, lecz coraz słabiej, coraz węższą strużką. Nie zdążyłaby niczego zrobić. Nie umiałaby zadziałać racjonalnie. Nikt by nie umiał. Mogła tylko szlochać nad ciepłym jeszcze ukochanym ciałem i wzywać Boga, żeby uczynił cud.

Prowadzili ją wąskim korytarzem. Do niedawna pośrednio zarządzała tym miejscem, a w każdym razie miała znaczący wpływ na jego funkcjonowanie. Tęga strażniczka odebrała jej pasek ze sprzączką, spinę do włosów zakończoną ostrym szpikulcem, rajstopy. Odnosiła się do niej z zawodowym dystansem, jak osoba, której już nic nie zdziwi.

Osadzono ją w pojedynczej celi, czekała na wezwanego w trybie pilnym adwokata. Przybył najsprytniejszy wyga w mieście, wniósł powiew nadziei. Kiedy wygłaszał swoje tyrady - wręcz pewności odparcia zarzutów, gdy milczał - grozy możliwych konsekwencji. Sprawa życia. Prestiż. Od momentu, w którym ujawniono, że to on ją poprowadzi, dobijały się do jego drzwi tłumy dziennikarzy. Odmawiał komentarza, zasłaniając się dobrem klientki i toczącego się śledztwa. Uwielbiał ich zainteresowanie, rajcowały go napływające zewsząd zaproszenia do publicystycznych audycji telewizyjnych i radiowych. Czuł, że wskoczył na konia.

- Kompromitację przekujemy w sukces, za dwa dni pani wyjdzie - oznajmił z przekonaniem. Pozyskanie na stałe tak znakomitej klientki uznał za priorytetowe. Cóż za chluba dla niego osobiście i całej kancelarii! Oczywiście pod warunkiem, że wygra.

- To tylko medialna burza, przypuszczalnie czyjeś zlecenie,

udowodnimy, że celowa potwarz, bla, bla, bla - zapewniał, choć to ostatnie - o paradoksie! - przypadkiem było prawdą. - Weksel? I co z tego? - przekonywał. - Przedstawimy wersję dobraną w zależności od tego, czy była pani wtedy osobą prywatną, czy podpisała go, będąc na służbie.

- Kiedy wróciłam do agencji.

- To i gorzej, i lepiej. W takim przypadku będziemy utrzymywać, że podjęła pani z Tao grę operacyjną.

- Na własną rękę - dodała Anna. - Twigg tego nie potwierdzi, a jestem przekonana, że po moim ówczesnym zadaniu nie został w papierach najmniejszy ślad.

- Nie szkodzi. Wykażemy złą wolę generała.

- Ciekawe jak?

- Pani Anno - niepotrzebnie skrócił dystans i Lukrecja groźnie zmarszczyła brwi - od czego ma pani mnie... Wracając do sprawy - dowody na Killingtona, Osmana i Wara to twarde orzechy do zgryzienia. Skąd Gun je miał? Proszę powiedzieć prawdę, to ważne.

- Ode mnie.

- Taak... prawnik zasępił się. - Zatem będziemy ten właśnie fakt najbardziej podawać w wątpliwość. Z jakiego powodu mu je pani przekazała?

- Nie pana sprawa.

- Pani generał, bardzo proszę! Stoimy po jednej stronie. Nie pytam z ciekawości. Podpisywała pani coś, pobierając je z archiwów SAW?

- Ma mnie pan za idiotkę? Zresztą nie pochodzą z pierwszej ręki.

- Rozumiem. Nawet nie pytam, z czyjej wobec tego.

- Słusznie.

- Właściwie wiązanie pani z faktem, że dowody wykradzione z SAW trafiły w ręce przestępców, jest oparte na słabych poszlakach. Proszę się tym nie martwić.

- Wie pan co? - Lukrecja uśmiechnęła się sardonicznie. - W sumie siedzę za to, co jest moją najmniejszą winą.

- To się często zdarza - potwierdził poważnie adwokat. - Proszę nie mówić mi nic ponadto, o co panią zapytam - zaasekurował się. - W najgorszym przypadku będzie pani miała sprawiedliwy proces - zakończył, chcąc ją podnieść na duchu, nie podejrzewając, iż tego właśnie obawiała się najbardziej.

Nie chciała przez to przechodzić. Nie zamierzała siedzieć na pryczy

w szorstkim, nietwarzowym uniformie w kolorze przedwczorajskich wymiocin i zastanawiać się, kto na zewnątrz zechce zadbać o jej interesy. Zdawać się na łaskę i niełaskę wymiaru sprawiedliwości, którego wadliwe mechanizmy działania znała aż nazbyt dokładnie. Cholerny Mathieu Gaudin! Śliski typ! Nie musiał jej od razu łapać, nikt by mu nie zarzucił opieszałości, a ona byłaby już daleko. Oboje znali przynajmniej tuzin przepisów umożliwiających niepodjęcie akcji, a przynajmniej poważne jej opóźnienie. Mógł się powołać na dowolny z nich, był jej to winien w imię łączących ich więzów. Co to dla niego za problem pozwolić jej odnaleźć się w innym życiu? Z dała od intryg i niebezpieczeństw. Uwili sobie z Philipem małe gniazdko na końcu świata, w miejscu, w którym słychać szum oceanu, czuć zapach kwiatów pomarańczy, gdzie ciepły piasek przesuwa się pod stopami, a opaleni surferzy szczerzą śnieżnobiałe zęby w szerokich uśmiechach i odgarniają z mokrych czoł słone kosmyki włosów wypłowiałych od słońca. Schemat dotarcia do małej, ale wygodnej chatki z każdego punktu globu miała opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Nie spakowała bagaży, tam wystarczą dwie letnie sukienki. Albo i palmowa przepaska. Potrzebowała tylko chwili, ale i tej nie dał jej kolejny mężczyzna. Zawiódł ją. Mieli zostawić za sobą wszystko. Philip z sukcesem potrafiłby się zająć czymkolwiek, zresztą nie musiałby przecież nic robić. Umówili się, że gdy już się dość tu ubrudzą, tak że będzie tego za wiele, bez sensu... Lecz wciąż a to ją, a to jego, trzymały nierozliczone porachunki i wybujałe ambicje. Akcja jeszcze jedna i kolejna, już prawie ostatnia... To zresztą nie miała być emerytura. Szansę, że jej doczeka, Anna oceniała jako znikomą. Wygodne zaplecze, odskocznia psychiczna, dzięki temu, że ucieczka do raju jest możliwa, gdy tylko powinie się jej noga. Na przeczekanie. Dla kurażu. Na przeszerogowanie sił. Tak jak dziś. Próbowwała zasnąć, lecz światło wpadające przez szparę pod drzwiami dekoncentrowało ją. Nie mogła zmrużyć oka, mimo koszmarne stresu i wyczerpania. Zastanawiała się, czy wie, co przeżywał Philip Sanders. Tego dowiedziałyby się po dziesięciu latach w twierdzy, tak jak spędził je on. Więc nie dowie się nigdy. Zaraz stąd wyjdzie. Adwokat zrobi wszystko, a może naprawdę dużo. Zawodowo mu ufała, życiowo – już nikomu.

Tymczasem mecenas szalał. Aby się wykazać, stosował naraz wszystkie tricki, jakie wpadły mu do głowy. Do obrony klientki opracował strategię, kogo i w jakiej kolejności zaatakować. Na

zwołanej konferencji prasowej dramatycznie obwieścił, że wszyscy zebrani są świadkami zamachu stanu. Szefowa SAW, niesłusznie pozbawiona wolności, przebywa w koszmarnych warunkach. Choć nie powiedział tego wprost - na to był zbyt przebiegły - zasugerował, że jest torturowana!

- Ale się trzyma - zapewnił wzruszająco ku pokrzepieniu serc.

Dziennikarze, dotąd nieprzychylni Annie, na taką wieść zaczęli zmieniać front. Prawnik zacierał ręce.

- Ma pan na to dowody? - dopytywano zewsząd.

- Chyba nie do końca państwo wierzą w naszą służbę więzienną. Oni nie zostawiają śladów. To profesjonaliści. Ale dowody, owszem, mam. Mocne dowody - powiódł na wskroś przejętym, ponurym wzrokiem po wzburzonej sali. - Ujawnię je w stosownym czasie.

- Czy nie nazbyt brawurowo pan działa, panie kolego? - mitygował go szef, poważny, sędziwy doktor nauk prawnych. W odpowiednim momencie porzucił, dzięki Bogu, karierę naukową i wszedł na ścieżkę praktyki adwokackiej, a potem partnerstwa w kancelarii. Dzięki temu nie tylko miał większe doświadczenie życiowe, lecz także zdobył fortunę.

- To okazja jedna na tysiąc - odpowiadał rozgorączkowany prawnik Lukrecji. - Opłaca się zaryzykować. Wizerunkowo i finansowo.

Trudno było temu zaprzeczyć. Jednak na starszym przedstawicielu palestry nie wywierało to wielkiego wrażenia. Bronił już możliwych tego świata. Zazwyczaj okazywali się winni.

- Jeśli się nie powiedzie, może nas jednakże wizerunkowo i finansowo zrujnować - zauważył ze stoickim spokojem.

- Powiedzie się. Musi!

Urywające się telefony „z góry” zmusiły naczelnika więzienia do wizyty w celi Anny.

- Będzie się pan z tego tłumaczył! I proszę nie zaprzeczać! Zarzuty potwierdza renomowana kancelaria adwokacka! - grzmiał przewodniczący Komisji Praw Człowieka, a przedstawiciele licznych organów państwowych i organizacji pozarządowych dokładali swoje. Mecenas zacierał ręce. Tylko się mówi, że taki szum nie ma wpływu na decyzję trybunału. Sędziowie to też ludzie, oglądają telewizję. Jego szef sceptycznie kręcił głową.

- Przecież to wierutne bzdury! Fałsz! Stracą za to pozwolenie na prowadzenie działalności! - przyparty do muru naczelnik odpierał niesprawiedliwe pomówienia.

Wparował do niej gwałtownie z samego rana, wściekły, ale uprzedzająco grzeczny. Znali się. Lukrecja uważała go za wyjątkową mendę, w przeszłości mieli nawet drobny konflikt. Z kim go zresztą nie miała?

- Dzień dobry, pani generał! Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

- Dlaczego? Nie lubi pan swojego miejsca pracy?

- Lubię.

Zlustrowała go od stóp do głów. No tak, psychopata. Była pewna, że nagrywa rozmowę.

- Czy odwiedza pan wszystkich więźniów?

- Staram się. Przyszedłem zapytać, czy wszystko w porządku. Czy nie skarży się pani na warunki?

- Jest pan bezczelny, panie naczelniku. Proszę się ze mnie nie naigrywać. I pamiętać, że znalazłam się tu tylko na chwilę.

- Wszyscy tak mówią, proszę pani.

- Czego pan ode mnie chce?

Naczelnik, czerwony na twarzy, zastanawiał się szybko, jak sprowokować ją do wypowiedzi, którą można by zinterpretować jako pochwałę lub przynajmniej aprobatę dla warunków, w jakich była. Trzymał nerwy na wodzy, co przychodziło mu z trudem i celował w jej usta ukrytym w kieszeni mikrofonem dyktafonu.

I wtedy Anna głośno się rozplakała.

Naczelnik wycofał się w popłochu, mieląc w ustach niedosłyszalne przekleństwo i zegnając się z osadzoną zaledwie skinieniem głowy.

Strażniczka otwierająca przed nim drzwi patrzyła w niego jak w obraz i nie wiedzieć czemu zmieszana, przyglądała palcami włosy.

W środku nocy światło na korytarzu zgasło. Anna natychmiast odnotowała nietypową zmianę. Wkrótce po tym zazgrzytały rygle w stalowych drzwiach. Spięta się, czekając na najgorsze. Czy za chwilę przyjdzie jej znów walczyć? Czy tym razem nie skończy tak, że rano gazety poinformują opinię publiczną, iż szefowa SAW, nie wytrzymując presji, popełniła samobójstwo w przydzielonej jednoosobowej celi? Żadnych świadków, nagranie z monitoringu pewnie już dawno leży odpowiednio spreparowane we właściwej szufladzie. Czy taki będzie jej koniec? Ile razy można mieć szczęście?

Weszła strażniczka, po cichutku wcisnęła jej w dłoń małą,

zadrukowaną karteczkę.

- Niech pani przeczyta i spuści w kiblu - poleciła.

Żarówki znów rozbłysły. W słabej poświacie Lukrecja odczytała tylko jedno zdanie:

- Musiałem, *mon cheri!*

Uderzenie przyszło z lewej. Nieosłoniętej, od serca. Akurat przez moment spoglądała w prawą. Przyciągnął ją blask fałszywego światełka, które okazało się odbiciem błysku latarni w brudnej kałuży. Cios zadany w maleńki skrawek gołego ciała, na którym zabrakło kawałka pancerza. Dwóch, trzech blaszanych łusek. Wystarczy, żeby wbić włócznię. Nikogo ani niczego na świecie nie było jej tak żal, nad niczym nie bolała tak mocno, jak nad zdradą Kornelii. Nie do końca rozumiała jej pobudki. Choć oszukana niejedną raz przez wielu, Lukrecja, nie wiedzieć dlaczego, trwała w irracjonalnym przekonaniu, że jej wielkiej Anny Litewski się nie zdradza. A każdy, bez wyjątku, kto by się na to odważył, musi ponieść srogą karę. Pies, jeśli raz ugryzie... Piekielny Horn, oby szcezył w piekle, w którym już od dawna powinien się smażyć. Namieszał w głowie tej kobiety, uderzając w najczulszą, najwrażliwszą strunę. Podły drań. Ona, Anna, nie szukała Emila, zataiła coś ze złośliwą premedytacją? Jakie to niesprawiedliwe!

Zgrzyt zasuw. Podniesione głosy zza stalowych drzwi.

- Moja klientka ma prawo do informacji o każdej porze doby! Zapewnia jej to paragraf czterysta siedemdziesiąty szósty! Wyrokiem Sądu Najwyższego z dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku uznano jego wyższość nad regulaminami więziennymi, w tym ograniczającymi godziny wizyt pełnomocników! - grzmiał wysoki, piskliwy, tryskający oburzeniem, sztucznie modulowany głos sławnego adwokata. Z kolei wytrzeszczone, baranie oczy i rozczochrane włosy strażniczki świadczyły o tym, że znów nagle przerwano jej drzemkę.

- Ten wariat do pani! - oznajmiła i już bardziej obudzonym głosem dodała: - Siedem minut!

- To aż nazbyt długo! - odgryzł się prawnik, ubrany w nienagannie wyprasowany garnitur, mimo późnej, a może wczesnej, pory.

- Pół miliona dolarów! - oznajmił triumfalnie. - Ma je pani chyba? - spytał z niepokojem, przygotowany na zademonstrowanie oburzenia, gdyby okazało się, że zaprzepaściła jego wirtuozerską wymianę ciosów z sądem. - Na taką kwotę ustalono wysokość kaucji

- objaśnił zwycięsko, widząc jej brak zrozumienia. - I jutro może pani wyjść - uśmiech rozlał się szeroko po jego cwaniackiej, luksusowo wypielęgnowanej twarzy.

- To drobna kwota - uspokoiła go Lukrecja. - Tylko zablokowano mi dostęp do konta.

- Jak to możliwe?

- Mam potężnych wrogów. A tu nie mam nawet laptopa.

- To się załatwi.

- To nie wystarczy. Namierzono mój rachunek bankowy w Szwajcarii.

Prawnikowi zaświeciły się oczy.

- I co z tego? Berno jest niezależne, od lat największe mocarstwa ostrzą sobie zęby na jego kapitały, władze zawsze odmawiają, tłumacząc się tajemnicą bankową. Dlaczego w pani przypadku miałyby być inaczej, pani generał? Spokojnie, rozumiem, że jest pani wzburzona, ale sprawy trzeba oceniać chłodno. Od tego ma pani mnie.

- Powtarzam panu, że nie mam chwilowo dostępu do konta. Bez szczegółów. - Annie nie spieszyło się do wyjaśnień, że jest ono zarejestrowane na madame Kornelię Huckelberry. Najwierniejszą z wiernych. Najmniej materialną z istot obleczonej w ciało. Wyposażoną w dyspozycje na wszelkie przypadki. Oprócz własnej zdrady.

Prawnik nie odpuścił.

- Niech ktoś pani pożyczy. Naprawdę nie ma pani człowieka, który wpłaciłby za panią kaucję? Ruszył oszczędności, zapożyczył się, ukradł? Nie ma pani, do cholery, matki, przyjaciela, kochanka? Co jest z panią nie tak? - brnął w zapamiętaniu, coraz bardziej czerwony na twarzy, coraz mocniej zdenerwowany procesową porażką i wizją pieniędzy utraconych również dla niego, na wyciągnięcie ręki, a jednak niedostępnych. Włożył w tę sprawę zbyt wiele emocji.

- Niech pan za mnie założy.

- Ja? - zdziwił się. - To chyba pani powinna mi płacić.

- I tak zrobię. Za jakiś czas. Oddam z odsetkami i zyska pan moją wdzięczność na wieki wieków. Podobno dobrze mi pan życzy.

Adwokat przyjrzał jej się uważnie.

- Towarzyszę pani przez wzgląd na wielką do niej sympatię. Nie ma chyba pani co do tego wątpliwości, skoro do tej pory nie wypłaciła mi nawet dolara. Ale sytuacja jest trudna. Proszę nie handlować łaskami z za krat, nie są wtedy wiele warte. Szansa nie spada z nieba, a tę ja wywalczyłem dla pani. Niech pani kombinuje, przecież ktoś, kto stoi na czele największej agencji szpiegowskiej,

musi mieć głowę na karku. Nie wmówi mi pani, że dostała się na to miejsce bez porządnego zaplecza. Chyba że tak? – otworzył szeroko oczy z przestachu. – Nie odkładam rozliczeń na później. Jestem praktykiem. Proszę mi nie psuć roboty.

Nie wspomniał, że w razie porażki obawia się wyrzucenia z kancelarii. Jego pryncypał w dalszym ciągu podchodził sceptycznie do sprawy szefowej SAW.

Lukrecja pomyślała, że eleganckie ciuchy nie przykryją jego pochodzenia z dołów społecznych, z których musiał się wyrwać za wszelką cenę. Zdradzało go prostackie słownictwo, który wymykało mu się w chwilach zdenerwowania, i chciwość, zasadniczo obca ludziom od pokoleń bogatym. Szybkim ruchem chwyciła go za gardło.

– Wynoś się! – powiedziała. – Rezygnuję z twoich usług. Jak na komendę otworzyły się drzwi celi, a stojąca za nimi rozkudłana strażniczka uśmiechnęła się pogodnie.

– Nie obroni się pani sama. Aż tak dobrze nie zna pani procedur. Każdy inny na mieście jest gorszy ode mnie. Nie ma pani do niczego dostępu, nawet do własnej forszy, to głupia decyzja – przekonywał jeszcze.

– Osadzona powiedziała, że żegna – przytomnie stwierdziła strażniczka. – Czas minął. Zamykam!

No i dobrze! Niech nas wszystkich w końcu szlag trafi! Horna, Kornelię, Twigga, Emila i mnie! – Lukrecja ukryła twarz w dłoniach, wciąż podświadomie czekając na wybawienie. Nie umiała przestać w nie wierzyć. Przyjdzie, przyjdzie. Nie wiadomo skąd, nie wiadomo od kogo, ale ona, Anna Litewski, nie może skończyć tak marnie, jeszcze nie teraz. Nie w pustej celi. Otoczona wrogami. Bez forszy. Bez wyjścia. Wykiwana i sprzeniewierzająca się sama sobie. Wyznawała już tylko jedną zasadę, regułę, której bez względu na okoliczności pozostawała wierna: nigdy się nie poddawała.

Kolejne dni przebiegały ponuro. Prawnik na chwilę zamilkł, później zaczął słać pisma procesowe, ale już jej nie odwiedzał. W każdym razie całkiem jej nie opuścił, mimo braku wynagrodzenia. Nic nie zwiastowało przełomu, raczej zbliżającą się katastrofę: mający zapaść wyrok podtrzymujący areszt tymczasowy.

W porze obiadowej zamek zazgrzytał punktualnie. Strażniczka weszła, ale nie przyniosła lurowatej zupy i porcji kaszy z kawałkiem rozgotowanego, tłustego mięsa. Uśmiechała się od ucha do ucha. Czy ona zawsze musi być taka nieuczesana? – zastanowiła się Lukrecja, uświadamiając sobie jednocześnie, że i jej fryzura pozostawia wiele do życzenia. Zrezygnowała z upinania koka, a w ciemnych, rozpuszczonych włosach siwe nitki przeobraziły się w białe pasma. Co ciekawe, odnosiła wrażenie, że strażniczka ją na swój sposób lubi. Jakby na potwierdzenie odezwała się:

- Dziś zje pani na mieście. Przysługuje pani jeszcze jedna porcja, ale pomyślałam sobie: co tam, taka elegancka babka nie będzie żreć tego gówna, na pewno woli pani te pół godziny wcześniej wyjść.

- Jak to wyjść?

- Na wolność. Ktoś wpłacił za panią kaucję.

Tego się nie spodziewała.

- Kto?

- Nie wiadomo. Sąd bada legalność przelewu i ustala dane darczyńcy, ale to potrwa, a forsa wpłynęła w terminie, taki był warunek. Jest pani wolna. Idziemy!

Anna zerwała się szybko i omiotła wzrokiem cełę. Nie, nie miała stąd niczego do zabrania. Przy wypisie chaotycznie odbierała rzeczy i wtykała je, gdzie popadnie, byle tylko już wyrwać się z koszmaru. Na słońce. Za ponurą, litą bramą przystanęła zdezorientowana. Dokąd teraz? Pozostawał stary dom. Nie miała przy sobie kluczy, zostały w jej biurku w SAW, teraz już tam nie wejdzie. Nie wpuszczą jej ludzie, których osobiście zatrudniała. To nic, wybije szybko, miejmy nadzieję, że Kornelia nie zostawiła zamkniętych okiennic.

Gdy szła ścieżką, średnio co metr widziała świeże wgłębienia, jak po wbijanym kijku. I ślady osoby drobiącej niepewnie stopa za stopą. Ktoś na nią czekał. Nie miała przy sobie broni, ale nie bała się. Już niczego. Coś miękkiego otarło się o łydkę.

- Hej! - pochyliła się, głaszcząc wychudzonego, rudego kota. -

Skąd się tu wzięłeś? Dawno nikt ci nie dawał jeść? Zaraz coś dla ciebie znajdę, mały.

Na ganku, w zielonym fotelu w czerwone kwiatki siedział Anthony. Ciekawe, jak go tu przyciągnął. Z daleka słyszał jej kroki, rozpoznałby je w każdym miejscu, śmiał się do niej i machał. Pomachała odruchowo. Gdy stanęła przed nim, podniósł się. Objęli się mocno.

- Wiedziałeś, że tu przyjdę?

- Tak. Wpłaciłem za ciebie kaucję. Zresztą, dokąd miałabyś

pójść?

- To ty? - nie dowierzała. - Skąd miałeś pieniądze? Aż tyle ci nie płaciłam - uśmiechnęła się przewrotnie.

- Sprzedałem cały sprzęt. Łóżko, biurko, nawet bransoletki z elektroniką. Na nic by mi się zdały. Bo przecież już tam chyba nie wrócimy, co? Zostawiłem komputery, nie daliby ich wynieść, ale o innych rzeczach powiedziałem, że to moja prywatna własność.

- Nie wrócimy - potwierdziła - nie ma szansy. Ale skłamałeś. Zaraz się zorientują. Poza tym sprzedać wszystko za pół miliona? Było warte kilka razy więcej. To niegospodarność. Zostałeś z białą laską? Nie żal ci było?

- A skąd! Kornelia. - Anna wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia, z zamkniętych oczu Anta potoczyły się łzy. - Wszystko wiem - powiedział smutno. - Ale ona mówiła, że te sprzęty są czarne i ponure. Emitują złą energię. A laska, cóż, jest najlepszą przyjaciółką niewidomego. I tak na nic by mi się już nie przydały - powtórzył. - Ktoś przejmie mój pokój, prawda?

- Raczej tak. SAW ma problemy lokalowe, wykorzystują każdą wolną powierzchnię.

- Nie wiedziałem o tym.

- Nieważne. Gdzie znalazłeś amatora błyskawicznej transakcji?

- Nie doceniasz potęgi internetu i siły ludzkich nieszczęść. Pewien zmartwiony angielski ojciec ucieszył się, że może nabyć te rzeczy po okazjonalnej cenie dla osiemnastoletniego syna, który zdaje się od urodzenia choruje na to samo co ja. Nie zadawał pytań. Zorganizował transport, przewiózł nawet to - Anthony wskazał fotel. - Ujął mnie tym, że przewoził stary mebel z takim samym pietyzmem i zabezpieczeniem, jak horrendalnie kosztowne urządzenia. Mnie też podrzucił w ramach bonusu. Nawet nie wiesz, jaki był uradowany, o ile oczywiście nieszczęśliwy ojciec może się w pełni cieszyć.

- Niechby zabrał i ten śmieć! Po co ściągnąłeś ten grat? - rzuciła ze złością. W obojgu odezwały się wspomnienia i przez chwilę było tak, jakby to Kornelia rozsiadła się na kolorowym, starym fotelu.

- Nie mów tak. To prezent. - Anthony pogłaskał oparcie. -

Zobacz, jaki mięciutki. - I znów zapłakał. Kot wskoczył mu na kolana i zwinął się w kłębek. - Ty też jesteś mięciutki - dodał przez łzy, muskając zmiętoszoną sierść. - Trzeba go nakarmić.

Anna stała bezradnie, usiłując do niego nie dołączyć, poddała się jednak i szlochając, pytała dalej:

- Sprzedałeś za bezcen mienie agencji. Teraz ty również jesteś przestępcą. Wszyscy nimi jesteśmy.

- Musimy zatem uciekać. Kryminaliści zwiewają, prawda? Zanim ich złapią.

- Jeśli mają szczęście.

- My mamy.

- Czyżby? Zwialibyśmy, Ant, w pewne piękne miejsce. Wyspa, morze, palmy, biały piasek. Słońce, ciepło. Bez pośpiechu. Słomiane dachy domów. Kolorowe muszelki i drinki. Miałam tam zamieszkać z kimś bardzo mi bliskim... Dawno temu, chcieliśmy rzucić wszystko... I okazuje się, że zamieszkać. Z tobą. Co ty na to?

- A gdybym się nie przyzwyczył?

- Nie wygłupiaj się, Anthony. Człowiek nie musi się przyzwyczajać do szumu morza. Całe życie nosi go w sobie. Przecież podobno wszyscy stamtąd wyszliśmy. Odlecielibyśmy moim samolotem, ale jak się domyślasz, mam oficjalny zakaz opuszczania kraju. A samolot został zarekwirowany jako nielegalne mienie innej przestępczyni - pani Huckelberry. Ugrzęźliśmy Ant. Przewidziałam wszystko, tylko nie to.

- I nie to, że została nam jeszcze moja awionetka.

- Masz samolot?!

- I licencję pilota! - Lukrecja usiadła z wrażenia na kolorowym fotelu.

- Co ty gadasz?

- Sam się zdziwiłem. Załatwił mi ją jakiś Francuz, monsieur Bastien, czy jakoś tak. Licencja jest fałszywa, ale samolot najprawdziwszy. Widocznie nie wiedział, że jestem ślepy albo czegoś nie rozumiał. Jest już dosyć stary.

- Dostałeś w prezencie samolot?

- Z obietnicą, że nie będę musiał wykorzystywać licencji i szybować osobiście. Pilot stawia się na każde moje żądanie. Czekałem tylko na ciebie.

- Anthony - powiedziała smutno. - Oni nas nie wypuszczą.

- Przekonajmy się! - namawiał gorąco.

- Ty możesz żyć. Ale ode mnie trzymaj się z daleka. Przyniosę ci pecha.

- A ja tobie szczęście - uśmiechnął się.

- Kto nam zrobił taki prezent?

- O ile wiem, szkołka lotnicza, jeden z jej instruktorów poleci z nami. Szkołka jest własnością pana Mathieu Gaudina.

- A samolot zapewne któregoś z jego bogatych wujów. Opowiadał mi o tym, ale nie słuchałam - przyznała ze wstydem.

A więc jednak, kto by pomyślał. Minister spraw wewnętrznych, pozornie letni w uczuciach, zblazowany Francuz. Zawsze tylko bawił się życiem. Kornelia się myliła, obie źle go oceniły. Nigdy się

nie zdradził, że kochał ją bardziej. Nie pomylił się tylko Anthony Moore. Żyłka hazardu znów zapulsowała w jej głowie.

- Więc lećmy! - zgodziła się.

- Dzień dobry, państwu. Ze względów bezpieczeństwa wyruszamy w nocy - instruktor przywitał się i ustalił krótki plan. - Pojedziecie osobno. Na pewno jesteście śledzeni. Pani sobie poradzi, ale pan może napotkać trudności - zwrócił się z troską do chłopaka wspierającego się na białej lasce.

- Ze względów bezpieczeństwa? Lecieć w nocy taką łupiną? To chyba zakazane? I niech się pan nie martwi, on sobie poradzi lepiej ode mnie.

Instruktor nie wydawał się przekonany. Nie bawił się w dyplomację.

- Pana zabiorę od razu. Możemy przecież polatać rekreacyjnie, ma pan prawo mieć taki kaprys, wielu ludzi o tym marzy, trochę przyjemności nie zaszkodzi. A pani dotrze sama. Startujemy bezpośrednio z łąki, teren jest prywatny, podam dokładny czas, miejsce i nazwisko właściciela. I proszę się nie martwić, owszem, to zakazane, ale jestem dobrym pilotem, a niebezpieczeństwo nocnego lotu wcale nie jest największym, na jakie jesteśmy narażeni. O rzeczach zakazanych też zdaje się wszyscy tutaj wiemy sporo. -

Spojrzał surowo na Lukrecję. Po co te szopki?

- Dobry pilot - pomyślała - i dobrze opłacony. Mathieu, wuju Bastien, dzięki wam!

Ubrała się w długą, wysoko rozciętą czarną spódnicę, prostą bluzkę i ciężkie wojskowe podkute, wysoko sznurowane buty. Włosy spięła w koński ogon, twarz przyozdobiła ostrym, wulgarnym makijażem. Nie wyglądała tak na co dzień. Przybrała barwy wojenne, być może, na ostatnią drogę. Dodawały jej sił. Nie zamierzała uciekać. Wróci. Była wojowniczką. Na razie wycofa się na upatrzoną pozycję. Później - biada jej wrogom. Informacja od pilota przyszła zwyczajnie, SMS-em. Na kartę prepaid, kupioną w pierwszym z brzegu kiosku. Ostatni bastion anonimowości, choć była pewna, że wszystkie jej ruchy są uważnie monitorowane. Nie dbała o to. Tych, którzy ją śledzą, jest więcej. Mogą ją odstrzelić w każdej chwili. Znów nie trzymała w ręku żadnej karty. Jedynie opcję, że niewygodnie będzie ją zabić lub uwięzić. Dla niektórych korzystniejsze okaże się stracić ją z oczu. Może jej pozwolą. Gdyby

jednak nie... Pod jej domem stał nieoznakowany samochód. Pusty. Kamery rejestrują obraz i przesyłają go wprost do analityków SAW. Sama upowszechniła tę metodę na szerszą skalę. Kto ją teraz ogląda? Kto tam rządzi? Na użytek tego kogoś i własny przekręciła klucz w zamku. Przed progiem wystawiła trzy miseczki z mlekiem. Na zapas. Na szczęście w dzisiejszych czasach mleko ma pół roku przydatności do spożycia.

- Cześć, przyjacielu! - powiedziała do kota. - Pilnuj naszego królestwa. Postaram się wrócić do ciebie.

Co dalej z SAW i jej ucieczką? Wszystko wyczyta z jutrzejszych gazet, jeśli dożyje. Z wysoko uniesioną głową podeszła do swojego wozu i niedbale wsiadła do środka. Ruszyła z piskiem opon i niemal natychmiast przekroczyła dozwoloną prędkość. Zmierzchało. Po drodze minęła trzy patrole policji, nie zatrzymały jej. Widocznie Gaudin wstrzymał swoich ludzi.

- Dziękuję, Mathieu - szepnęła po raz kolejny. Dawała im pretekstów tyle, ile mogła, widząc jak po kolei odpadają, jak nie wykorzystują żadnego, by ją zatrzymać. Nie życzyła im tego, głupia kontrola drogowa... prawie żal tych chłopców. Na fotelu obok leżał karabin maszynowy. Przykryła go niedbale długą, czerwoną apaszką. Nie lubiła takiego sprzętu, był ciężki, toporny w obsłudze, bolesny odrzut gwałtownie uderzał w ramię. Jak miała w zwyczaju, do podwiązki, przypominającej skórzany pasek z wyciętym symetrycznie wzorem niby koronki, przymocowała kaburę ulubionego pistoletu. Z numerami seryjnymi startymi przez rzemieślnika w Indiach. Broni, z której zginął Phil. I nie on jeden. Nikt jej nie przestraszy. Nie ma takiego, który by sprawił, że zdrzży przed śmiercią. Ona jej pragnie. A od wyprostowanego kręgosłupa kula potrafi się odbić, jak od stali. Kto się ośmieli? Każdy metr pokonany przez obrót kół zbliżał ją do celu.

Zaparkowała na skraju zagajnika. Między drzewami prześwitywała łąka, a na niej widoczna jak na dłoni awionetka. Jej silnik mruczał cicho. W niewielkiej odległości zobaczyła radiowóz, potem drugi. Na kamieniu siedział facet z irokezem, poznała go, należał do jej niedawnej ochrony. Na niemal skamieniałej twarzy maskował napięcie większe niż jej. Za drzewami stali inni, kryjąc się nieudolnie. Idioci. Rzeczywiście słabo ich wyszkoliła. Wysiadła z samochodu, w rękę ścisnęła karabin, z którego zwisała apaszka. Już nie pora na kamuflaż. Jest bezczelna, wie o tym. Patrzcie i podziwiajcie! Pistolet delikatnie obijał się o udo. Szefowa SAW nie

sprzeda tanio skóry. Wiedzieli o tym wszyscy zgromadzeni w tym odludnym miejscu, które nagle zaroiło się od szpiegów. Czują, że boją się jej bardziej, niż ona ich. Jeszcze krok, jeszcze dwa. Niech tak ją zapamiętają. Trzy, cztery. Irokez odwrócił się. Pięć, sześć. Osiąga schodki samolotu. Teraz, jeżeli zamierzają to zrobić, dostanie strzał w plecy. Siedem, osiem. Chyba ją puszczają. Nie przyjechali jej zabić. Pilnują, żeby odleciała. To nie jest pluton egzekucyjny, ale eskorta. Jej obecność jest dla kogoś bardzo nie na rękę. Dla kogo? Zastanowi się nad tym w hamaku rozpiętym między palmami. Dziewięć, dziesięć. Otworzyły się drzwi.

- Szybko! - ponaglił pilot, pomijając zwyczajowe instrukcje i prezentację kapitańską.

Usiadła w ciasnym fotelu. Obok nieruchomo spał Anthony. Zasnął z przemęczenia i emocjonalnego wyczerpania.

Jeszcze chwila. Co się teraz stanie? Czy wybuchnie bomba podłożona pod kadłub? Czy kapitan wstanie zza sterów i okaże się zdrajcą? Czy na pewno wylądują na wskazanym przez nią lotnisku? Na jej wyspie? Czy to tylko oszalała, rozbuchana wyobraźnia?

- Proszę zabezpieczyć broń i odłożyć dalej od siebie - polecił zniesmaczony lotnik. Najwidoczniej miał w stosunku do niej podobne podejrzenia, co ona do niego. Ciekawe, ile mu zapłacił czcigodny wuj Bastien za przewiezienie trefnej pasażerki. Ant obudził się i wytrzeszczył ze strachu niewidome oczy. Był to przykry widok. Przytulili się.

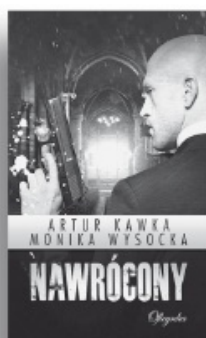
Silniki zawarczały. Śmigła obracały się coraz głośniej. Lukrecja ścisnęła rękę wzruszonego i przestraszonego chłopca.

- Lecimy, Ant, lecimy!

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387

